

JACEK GALIŃSKI

KONIEC SIĘ PANI NIE UDAŁ



Wydawnictwo
ab
two

KOMEDIA KRYMINALNA

Jacek Galiński

KONIEC SIĘ PANI NIE UDAŁ



Copyright © by Jacek Galiński, MMXXII
Wydanie I
Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

Rozdział 1

Życie jest jak biegunka: nigdy nie masz gwarancji, że na pewno się skończyło. Tak też było tego dnia.

– Czy pani coś wie? – spytałam kobietę siedzącą na krzeselku obok mnie.

– Tak – odpowiedziała nieco zaskoczona.

– Niech pani mówi.

– Ale o czym?

– Jak to o czym? Gdzie jesteśmy i co tu się dzieje.

– To pani nie wie?

– Oczywiście, że wiem! Dlaczego miałabym nie wiedzieć?! – oburzyłam się. – Po prostu myślę, że to pani nie wie.

Popatrzyła na mnie, po czym stwierdziła:

– Umarłyśmy.

– Naprawdę?! – wrzasnęłam przerażona.

– Tak.

– Jasna cholera! – Zerwałam się na równe nogi. – I tak spokojnie pani o tym mówi?!

Chyba za szybko wstałam, bo aż mi się w głowie zakręciło. No tak, tak mogło być. Nie żyłam. No i co teraz? Trudna sytuacja. Jak sobie poradzić? Jakoś będzie trzeba. Rozejrzałam się. Nie było ani okien, ani żadnego wyjścia. Można było tylko iść do przodu, jak w Ikei.

– Niech pani usiądzie – powiedziała. – To może jeszcze potrwać. Kazali czekać.

– Od razu wiedziałam, że umarłam – przyznałam, siadając. – Dla mnie to żadna wielka rzecz. Phi...

To jakiś absurd. Kto by w to uwierzył? A jeżeli to prawda? Po chwili ogarnęła mnie panika. Pierwszy raz od dwudziestu lat nic mnie nie bolało, nie bałam się, nie byłam zmarznięta, zmęczona i głodna! To prawda! Nie żyłam!

Co teraz będzie? Co z Henrykiem? Co z moim synem? Czy on sobie beze mnie poradzi? Ma czterdzieści lat, czyli jest prawie

dorośli, ale czy będzie potrafił żyć bez moich rad, podpowiedzi, uwag dotyczących wyglądu, zachowania, braku zaradności życiowej czy mankamentów urody jego partnerek? Nie sędzę.

Rozejrzałam się. Zarówno z jednej, jak i z drugiej strony ciągnął się nieskończenie długi korytarz obstawiony po obu stronach krzesłami. Miały one metalowe nogi, drewniane siedziska i oparcia jak z Zakładów Meblarskich Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Wyglądały ładnie, natomiast bardzo trudno było na nich wysiedzieć. W moich czasach takie właśnie produkowano, żeby ograniczyć kolejki do specjalistów. Tych zawsze brakowało, a ponieważ nie można było regulować rynku ceną, robiono to twardością tyłka. Jeżeli ktoś był w stanie siedzieć kilka godzin na twardej desce, mógł liczyć na przyjęcie, na przykład do lekarza.

Wszystkie krzesła były zajęte. Poza tym nawet gdybym chciała się przepchnąć, to i tak nie wiedziałam, w którą stronę. Trwałam więc dzielnie na swoim miejscu, zachowując wiarę. Wiarę w to, że trud się opłaci.

W chwilach, gdy się trochę uspokajałam, czułam nawet pewną podniosłość, wyjątkowość tego miejsca. Nie wiedziałam jednak dlaczego. Może przez otaczającą nas głęboką, nieskończoną i czystą biel. Coś mi przypominała. Coś bliskiego, co znałam i co było antropologicznie zakodowane w mojej podświadomości. Kojarzyła mi się z ciepłem, bezpieczeństwem, rodziną i domem. Tak. Przywodziła mi na myśl moją ulubioną reklamę proszku Vizir.

Zaraz potem ogarniała mnie rozpacz, gdy znowu pomyślałam, że nie żyję. To takie przykre. Choć przecież życie też takie było. Nie mogłam odżałować tylu spraw. Tylu rzeczy nie zdążyłam przed śmiercią zrobić. Na przykład znaleźć tych dziesięciu złotych, których szukałam od dwóch tygodni; mogły być już tylko w małej kieszonce starego płaszczka. Tylko tam jeszcze nie zajrzałam. I co teraz? Henryk na pewno do niej nie zajrzy. Matko jedyna, a mogłam sobie kupić taką piękną perfumetkę. Tę, którą widziałam na bazarze, kolorową, trochę efekciarską. A teraz wszystko przepadło.

– Czym się pani tak denerwuje? – spytała kobieta siedząca obok mnie.

– A pani się nie denerwuje? – odpowiedziałam.

– Przed śmiercią odwiedził mnie ojciec, wszystko wyjaśnił i uspokoił.

– Ja też się nie denerwuję.

– Wydawało mi się, że widziałam łzę.

– Po prostu się cieszę – odparłam z uśmiechem, który z pewnością mógł przypominać szczery.

– Nie czuje pani tej wszechogarniającej miłości oraz akceptacji? – dociekała, być może sądząc, że mojemu uśmiechowi jednak jeszcze sporo brakowało do szczerości.

– Oczywiście, że czuję – odpowiedziałam. – Dlaczego miałabym nie czuć?

Z obłędem w oczach zatoczyła rękami obszerny krąg.

– To niewiarygodne, jak wszechobecne jest tu poczucie spełnienia – kontynuowała. – Pani też to czuje?

– Pewnie, że czuję. – Wzruszyłam ramionami. – Jeszcze bardziej niż pani.

Co ona sobie myślała? Że byłam jak ci żenujący nieszczęśnicy, którzy w obliczu śmierci rzucali się, skamleli, stawali się pożałowania godni i żałośni do tego stopnia, że nie dało się na nich patrzeć, a co dopiero im współczuć?

Ja to co innego... przecież moja śmierć... moja śmierć... ja nie zasłużyłam...

– Ja chcę żyć! – Rzuciłam się na nią i zaczęłam jęczeć. – Ja chcę żyć!

– Niech się pani uspokoi... – odezwała się łagodnie. – Wyprostuje, zamknie oczy, weźmie głęboki wdech, licząc do sześciu, potem taki sam wydech, powtórzy sekwencję trzy razy, oczyszczając umysł, wypełniając serce bezwarunkową miłością i akceptacją, zsynchronizuje się z częstotliwością wibracji wszechświata, pozwoli, żeby płynęła przez nią energia kosmosu...

– Ja chcę żyć! – krzyczałam przez łzy, szarpiąc ją za rękaw. – Niech pani coś zrobi! Co pani tak siedzi?!

– A niech się pani wreszcie zamknie, do jasnej cholery! – wrzasnęła nagle. – Bo zaraz panią strzele!

Zamilkłam. Nie ze strachu, rzecz jasna, a z zaskoczenia.

– A cóż to miało znaczyć? Przemoc? Nie mogę uwierzyć. Uderzyłaby pani starszą osobę? W twarz?

– Oczywiście, że tak.
– Nie powiedziałabym, że pochodzi pani z patologii.
– Oczywiście, że pochodzę.
– Nie wygląda pani. A proszę mi wierzyć, że nie mam skłonności do prawienia komplementów.
– Właśnie zauważyłam – powiedziała, poprawiając włosy i uśmiechając się, wyraźnie zadowolona – że korzystnie tu wyglądam i czuję się także jakaś młodsza. Pani u siebie też to zauważyła?

– Nie, nie zauważyłam – odpowiedziałam oziębło. – Ja, proszę pani, już wcześniej wyglądałam korzystnie i młodo.

Westchnęłam. Śmierć to jednak stres.

Nie bardzo wiedziałam, po co to wszystko i do czego prowadzi, ale skoro tyle ludzi siedziało i czekało w kolejce, to trzeba było czekać z nimi. Na pewno coś tam dawali.

Siedzieliśmy więc dalej, bo co innego było do roboty po śmierci. Popatrzyłam na innych. Wyglądali jakoś dziwnie. Z początku nie wiedziałam dlaczego, ale zaraz się zorientowałam. Odebrano im telefony! Rozumiem, że umierając, każdy porzucał dobra doczesne. Uczyli nas tego w szkole i na religii, ale przecież to było, zanim pojawiły się smartfony. Dlaczego nie pozwolono zabrać ich ze sobą? Tak się nie robi. To za duża zmiana. Po pewnym czasie niektórzy zaczęli dziczeć i przejawiać społecznie prymitywne i cywilizacyjnie zapóźnione zachowania. Zaczęli komunikować się i nawiązywać relacje w stadzie. Jakież to było zwierzęce. Zauważyłam, że i na mnie spoglądał starszy pan z naprzeciwka. Siedział wyprostowany. Trudno było ocenić jego wzrost, skoro nie stał, ale po długości kończyn dało się wywnioskować, że był całkiem wysoki. W końcu przełamał nieśmiałość i spytał:

– Dlaczego pani się tak wydzierała?

Wydzierała? Co on sobie myślał?! Siwa pokraka?!

– A co, pan nie chce żyć? – odpowiedziałam. – Jest pan tu może na wycieczce?

– Tak dobrze pani było w tym jej życiu?

– Co za głupie pytanie? Oczywiście, że... oczywiście... – Tak mnie zdenerwował, że przez moment nie przyszły mi do głowy żadne przykłady. – Co za głupie pytanie!

Bezczelny typ. Ja miałabym nie tęsknić za moim życiem? Poprawiłam się na krześle, bo od słuchania tych bzdur aż mnie zadek rozbolał.

– Nawet pan nie wie, jakie ja miałam życie – zwróciłam się do niego, podnosząc znacząco brwi. – Miałam zrobione zakupy, zapłacone rachunki, wykupione recepty, i to prawie wszystkie! A mąż, proszę pana, to nawet mówił, że mi nowe buty kupi w przyszłym roku!

– Niewiarygodne – odpowiedział. – Aż tak?

– Proszę pana, ja miałam o tak! – Pokazałam dłonią poziom powyżej głowy. – Ja byłam emerytką w Polsce!

Najchętniej wstałabym i odeszła obrażona, ale nie mogłam sobie pozwolić na utratę miejsca siedzącego. Podejrzewam, że nikt by mi nie ustąpił, a nie wiedziałam, czy tu wypada się awanturować tak jak w środkach transportu miejskiego.

– Myśli pani, że pobyt będzie, jak by to powiedzieć, z pełnym wyżywieniem? – zwróciłam się do kobiety z patologii.

– Przypuszczam, że tak – odpowiedziała po chwili zastanowienia.

– I wszystko zapewnione? Zakupy, rachunki, recepty... do tego może jakaś gimnastyka, wieczorek taneczny...?

– Skoro nie zabraliśmy ze sobą nic z życia ziemskiego...

– Wszystko opłacone?

– Trudno się spodziewać, żebyśmy mieli za coś płacić. To byłoby bardzo nie w porządku.

– W takim razie może faktycznie nie ma co tak rozpaczać. Jakoś to będzie. Nie to, co w moim ziemskim życiu, rzecz jasna, ale jeżeli obniżyłabym wymagania, to może mogłabym się jakoś przyzwyczaić. Z czasem.

Obie pokiwałyśmy głowami na znak, że na takie wyrzeczenia byłybyśmy gotowe. W ostateczności.

– Jeżeli będziemy tak tu siedzieć, to jeszcze się spóźnimy na kolację – dodałam, wzdychając.

Wychyliłam się, żeby ocenić, ile nas tu właściwie jest, bo cokolwiek by dawali, to bułek i szynki zawsze zabraknie. Nie po to umierałam, żebym się miała napychać chlebem z dżemem.

Korytarz zdawał się nie mieć końca. Choć wrażenie to mogło być wywoływane przez dziwne światło, które od pewnego miejsca

znacznie ograniczało widoczność. Miało w sobie coś osobliwego. To o nim kobieta z patologii mówiła, że jest przepełnione bezwarunkową miłością, akceptacją i błogosławieństwem. Ja natomiast, jako zapewne lepiej wykształcona i inteligentniejsza, wiedziałam, że to tylko efekt tych unijnych energooszczędnych żarówek.

Niestety nie sposób było nas zliczyć. Może bym wszystkich dojrzała, gdybym wstała, ale nie byłam taka głupia. Wytrawny pasażer warszawskiego transportu publicznego, gdy już raz usiądzie, podnosi zadek najwyżej na dwa, trzy centymetry. Jeżeli podniesie się wyżej, siadając z powrotem, usiądzie już na kolanach współpasażera czekającego na wolne miejsce.

– Mam na imię Zofia – odezwała się kobieta z patologii, sądząc zapewne, że odwracając się w jej stronę, chciałam ją zachęcić do pogawędki. – Jak pani zmarła?

– Nie patrzyłam na panią, tylko w głąb korytarza – opowiedziałam.

– Proszę powiedzieć.

– Wolałabym nie.

– Ja zmarłem... – wtrącił się posepny mężczyzna z naprzeciwka – ...na raka odbytu.

Matko jedyna, co to za temat do rozmowy?

– Po co pan to powiedział? – Skrzywiłam się.

– Zwariował pan? – dołączyła kobieta z patologii. – Obrzydliwość.

– Przepraszam – bąknął, spuszczając wzrok.

– Są pewne granice.

– Niech pani opowie, jak pani zmarła – zwróciła się do mnie. – Ze starości?

– Z jakiej starości?! No też pani wymyśliła!

– Na raka, została zamordowana?

– Kaczyński mi się oświadczył.

Kobieta z patologii otworzyła szeroko oczy i zakryła ręką usta. Ludzie wokół zareagowali podobnie.

– Proszę pana – odwróciła się do posepnego mężczyzny z naprzeciwka – to niech pan już opowie o tym raku odbytu.

Uśmiechnął się, zadowolony, że jednak znalazł audytorium, i już miał zacząć mówić, ale zanim zdążył otworzyć usta, szerokie drzwi,

których wcześniej nikt nie zauważył, otworzyły się i wyłonił się z nich młody chłopak przed pięćdziesiątką w pięknym szarym uniformie urzędnika powiatowego. Wąska góra i szerokie spodnie nadawały jego sylwetce szczególny wdzięk.

– Zapraszamy kolejną grupę – powiedział. – A co was tak dużo?

– Wojny, choroby, wypadki podczas nagrywania filmików na Instagrama... – odpowiedziała pierwsza kobieta obok drzwi.

Urzędnik pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ja zmarłem na raka odbytu – wtrącił się posępny mężczyzna z naprzeciwka. – Właśnie miałem opowiedzieć.

– Obrzydliwość. – Urzędnik się skrzywił.

– Panie same prosiły. – Mężczyzna rozłożył ręce w geście niewinności.

– Ech, ci mężczyźni. Tylko o jednym – westchnęliśmy ciężko.

Ruszyliśmy do szerokich drzwi, nie wiedząc, czego się spodziewać. Czy będziemy wchodzić pojedynczo, czy wejdziemy wszyscy? Ktoś spytał, czy może być pierwszy, bo on tylko o coś zapytał. Inny powiedział, że wizytę rezerwował sobie wcześniej. Młodzieniec w wąskiej marynarce i szerokich spodniach okazał się zupełnie bezduszny. Ignorował wszelkie roszczenia i zagonił wszystkich bezlitośnie niczym na świąteczne zakupy.

Znaleźliśmy się w przeogromnej i promieniejącej jasnym światłem sali. Monumentalne wnętrza zapierało dech. Doniosłość chwili i miejsca czuli wszyscy. Taką przestrzeń, piękno, bogactwo i nieskończoność impulsów atakujących zmysły miało tylko Tesco na Kabatach.

Nie było tu jednak miłych sercu regałów z towarami. W oddali rząd równo ustawionych stanowisk, przed każdym kolejka, a jeszcze wcześniej dziesiątki, jeżeli nie setki oszołomionych ludzi próbujących się zorientować, o co w tym chodzi, i właśnie teraz chcących w pośpiechu zrobić to, czego nie udało im się dokonać przez całe ziemskie życie: odgadnąć, która kolejka posuwa się najszybciej.

Obserwując cały ten chaos, zdałam sobie sprawę, że znalazłam się w miejscu, gdzie nie obowiązywały żadne ludzkie prawa, mieszczącym się poza znanymi nauce wymiarami, którego człowiek

nie był w stanie objąć rozumem. Macierz wzorcowa Zakładu Ubezpieczeń Społecznych!

Dotarło do mnie, że muszę przez to przejść i stanąć w którejś kolejce, ale nie mogłam. Nie mogłam wybrać, bo wszystkie wydawały się mieć podobną liczbę petentów. W końcu wypatrzyłam, że na samym środku było mniej ludzi, ale gdy tam podeszłam, niemal trafił mnie szlag. Znajdowały się tam najbardziej zbrodnicze wynalazki ludzkości. Kasy samoobsługowe!

Nieważne, ile się miało lat, jakie wykształcenie, jak skomplikowane urządzenia potrafiło się obsługiwać. Kasa samoobsługowa nawet z Alberta Einsteina zrobiłaby idiotę.

Wolałam nawet tam nie patrzeć. Choć domyślałam się, że musi to przypominać tę aplikację na smartfona, Spowiedź online. Jak to miałyby działać? „Proszę odnaleźć pierwszy grzech w danej kategorii, proszę zeskanować kartę stałego klienta, proszę wybrać sposób płatności...”. Ale nie to było w tym najgorsze. Takiemu ekranowi dotykowemu nie sposób przecież zrobić awanturę.

Jeszcze raz spojrzałam na ludzi w kolejkach i zdecydowałam się stanąć za skromnie ubraną kobietą. Cóż ona tam mogła w tym swoim życiu nagrzeszyć? Ci w garniturach natomiast to z pewnością złodzieje. Odstąpiłam swoje, próbując coś usłyszeć, ale harmider skutecznie zagłuszał wypowiedane do urzędników słowa. Wyglądało więc na to, że pójdę bez przygotowania. Trudno. Kto jak nie ja miał tu sobie poradzić?

Posuwając się powoli do przodu, zaczęłam delikatną rozgrzewkę stawów, lekkie i dyskretne rozruszanie mięśni, wzięłam kilka głębokich oddechów, odchrząknęłam i spojrzałam, czy na podłodze będzie wystarczająco dużo miejsca. Byłam gotowa.

Gdy nadeszła moja kolej, podeszłam pewnym krokiem, a urzędnik spojrzał na mnie i się uśmiechnął, niczego się nie spodziewając. Wtedy padłam na kolana, wzniosłam ręce, spojrzałam w górę i zaczęłam wyć, głośno i żałośnie:

– Olaboga! Olaboga! O ja biedna, nieszczęśliwa!

Kątem oka spojrzałam na niego. Wprost oniemiał. Bardzo dobrze!

– Co ja zrobię?! Jak sobie poradzę?! – kontynuowałam, widząc, że świetnie mi idzie. – Jak teraz związę koniec z końcem?! Bez pracy i środków do życia!

Urzędnik rozejrzał się, po czym zwrócił się dyskretnie do drugiego, podobnie wyglądającego, który rozmawiał z petentem przy sąsiednim stoliku.

– Pssst! Słyszysz mnie? – powiedział do niego. – Nie wiem, co się stało tej kobiecie.

Spojrzeli na mnie obaj. Ja natomiast, jak natchniona, to podnosiłam się, wznosząc do góry ramiona, to znowu padałam na ziemię, lamentując przy tym lepiej niż posłowie partii rządzącej w sprawie podwyżki. Obaj byli młodzi i zszokował ich widok tak cierpiącej starszej osoby, bo patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami i nie mieli pojęcia, co powiedzieć. Mogłam z nimi zrobić, co tylko chciałam.

– Co robić? – spytał pierwszy.

– Nic – odpowiedział drugi.

– Na pewno?

– Tak. To bardzo częste zachowanie.

– Dlaczego się tak zachowuje?

– Chora psychicznie. Albo z Polski.

– Mamy na to jakąś procedurę?

– Nie, zaraz sama przestanie.

– Olaboga... Olaboga... Olaboga... – Cały twórczy entuzjazm i energia nagle zniknęły, a taka byłam dumna, czując ponad wszelką wątpliwość, że był to mój zdecydowanie najlepszy występ. – Co żeście powiedzieli, łachudry?! Już ja was zaraz urządzę! Tylko się podniosę... Ja chora?!

– Czyli z Polski! – zawołał radośnie urzędnik, zadowolony, że razem z kolegą znaleźli przyczynę.

Wstałam powoli z kolan, podpierając się o stół.

– Może byście panowie pomogli? – zwróciłam się do nich.

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedzieli, ruszając z pomocą.

Chwycili mnie pod ramiona i postawili na nogi, a ja pomyślałam, że lepiej będzie udać, że nic się nie stało. Nie znałam panujących tu zasad, ale chyba nie było to najlepsze miejsce do wszczynania

awantur. Przynajmniej pierwszego dnia. Umarłam niespodziewanie, bez przygotowania. Nie byłam pewna, czy w nie najlepszym momencie i czy przez ostatni okres nie nadwyreżyłam nieco nieskazitelnej opinii i nie zaprzepaściłam ogromu dobrych uczynków, których wykonywaniem przez całe życie zagwarantowałam sobie już dawno miejsce w pierwszym rzędzie między aniołami w niebie. Choćby z tego względu lepiej było zachować ostrożność.

Może trochę poniosły mnie emocje, ale ten mały błąd nie powinien zaważyć na mojej całościowej ocenie. Miałam jeszcze w zanadrzu kilka sprawdzonych sztuczek. Postanowiłam użyć niezwykle skutecznej broni, jaką było powołanie się. Już przy wejściu zauważyłam ogromne, majestatyczne wizerunki wybitnych ludzi. Niebawem szczęście, że wśród tych najważniejszych osobistości życia publicznego znalazł się także nasz proboszcz! Byłam uratowana! Choć nie znałam go zbyt dobrze, bo w ostatnim czasie z różnych przyczyn nie brałam jakiegokolwiek udziału w życiu Kościoła, między innymi dlatego, że nie było mnie stać. A proboszcza dopiero niedawno przenieśli do naszej parafii. Podobno za zasługi. Sąsiadki mówiły, że chwalił się przyjaźnią z samym ojcem Rzykiem. Ja też kilka razy go spotkałam w pobliskim dyskoncie i prawie zawsze się przywitałam, ukloniłam i chwilę porozmawialiśmy. Bardzo się troszczył, pytał, czy mam emeryturę, jak wysoką i czy w ogóle jest mi potrzebna.

– Pan chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, kim ja jestem – zwróciłam się do urzędnika. – Ja osobiście znam tego pana z gabloty. Księdza, trzeciego od lewej.

Wychylił się, żeby spojrzeć na gablotę, która z tego miejsca była już najlepiej widoczna.

– Tam. – Wskazałam dumna. – Niedaleko ojca Rzyka.

Popatrzył na mnie.

– To jest gablota, proszę pani – oznajmił – z listą osób, których nie obsługujemy. Część z nich jest poszukiwana. Kiedy i gdzie widziała pani tego księdza?

Westchnęłam ciężko, zastanawiając się nad swoim kolejnym krokiem, gdy odezwał się urzędnik.

– Niepotrzebnie się pani tak denerwuje – powiedział, uśmiechając się do mnie, może nawet szczerze. – Ja mam do pani tylko kilka prostych pytań. Już dawno mielibyśmy to za sobą.

Spojrzałam na ludzi odchodzących z uśmiechem od sąsiednich stolików i radośnie udających się do jasnego i świetlistego korytarza.

– Dobrze więc – oznajmiłam. – Niech pan mówi, ale wcale nie obiecuję, że na nie odpowiem. Niech pan powie, a ja się zastanowię.

Kilka stanowisk dalej dostrzegłam znajomą z krzesełek. Chyba nie szło jej najlepiej. Do stolika, obok którego siedziała, podszedł kolejny urzędnik, potem jeszcze jeden. Uśmiechali się do niej i coś tłumaczyli. Ona miała niewyraźną minę. Jakby nie wierzyła w to, co się działo. Rozmawiali z nią chyba najdłużej ze wszystkich. Było oczywiste, że miała poważne kłopoty.

– To naprawdę nic trudnego – stwierdził urzędnik. – Nie musi pani być taka podejrzliwa. Trzy pytania i może pani iść dalej. Wszyscy sobie doskonale radzą.

Zdenerwowałam się. Oby tylko nie sport, religia albo muzyka rozrywkowa.

– Coś z literatury poproszę – zwróciłam się do niego. – Może historia? Druga wojna światowa?

Spojrzał na mnie, podnosząc wzrok znad okularów.

– Kategoria: sport...

Może jednak sobie poradzę? Przecież jeżeli ktoś w Polsce odniesie sukces w jakimkolwiek sporcie, to z miejsca w narodzie budzi się trzydzieści sześć milionów trenerów, specjalistów, komentatorów i selekcjonerów kadry narodowej danej dyscypliny. Nawet jeżeli danego sportu nie da się uprawiać i jest kompletnie nienaturalny i karkołomny, to tysiące gospodyń domowych, niepotrafiących zrobić choćby skłonu czy przysiadu, cytuje nazwiska i narodowości finalistów rozgrywek z kilku ostatnich lat. Na przykład niezapomniany Turniej Czterech Skoczni z 2001 roku w Oberstdorfie, gdzie na podium stanęli Fin Janne Ahonen, Niemiec Sven Hannawald i nasz wspaniały orzeł z Wisły Adam Małysz...

– Oto pytanie – przerwał mi piękne wspomnienia. – Ile kosztowała sukienka żony Roberta Lewandowskiego, którą miała na sobie na gali rozdania nagród Globe Soccer Awards 2020 w Dubaju?

Co to w ogóle za pytanie?

– Dokładna cena czy przedział? – spytałam.

– Dokładna cena.

– Z metki czy faktycznie zapłacona?

– Którakolwiek.

– Cena metkowa sukienki Saint Laurent wynosiła dwanaście tysięcy złotych.

– Dobrze – odpowiedział zdawkowo, po czym przełożył karteczkę, ponownie spojrzął na mnie znad okularów i powiedział: – Kategoria: religia...

Może jednak sobie poradzę? Przecież wiadomo, że to właśnie Polacy są narodem wybranym. Obroniliśmy Europę przed Tatrami, a wcześniej razem z innymi dzielnie mordowaliśmy plemiona pogańskie. Mieliśmy papieża Polaka – już za to wszyscy powinniśmy wejść bez biletu. Matka Boska lubi nasz kraj, bo objawia się tylko w Polsce. Mianowaliśmy Jezusa królem, a niedawno dostał od nas nawet elektrownię.

Co prawda węglową i nierentowną, ale działającą.

– Proszę wymienić narzędzia chrystianizacji.

– W poprzednim czy w obecnym tysiącleciu?

– W jednym i drugim.

– Chodzi o przedmiot?

– Tak.

– Podłużny i z takim jakby poprzecznym elementem?

– Jak brzmi pani odpowiedź?

– Narzędziem chrystianizacji w poprzednim tysiącleciu był miecz, a w obecnym fiut.

Zakrztusił się, poczerwieniał i przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

Ja zachowałam spokój, co sprawiło, że i on po chwili doprowadził się do porządku i ponownie zwrócił się do mnie.

– Prawidłowa odpowiedź to krzyż. W obu tysiącleciach. I bardzo żałuję, że przy tym krzyżu nie pozostaliśmy.

– No dobrze, już dobrze, niech pan się tak nad sobą nie rozckliwia, tylko zada trzecie pytanie.

Westchnął, przełożył karteczkę, spojrzął na mnie znad okularów i powiedział:

– Kategoria: język polski...
– Ha! No to pięknie! Trzeba było tak od razu!
– Na podstawie nowego kanonu lektur szkolnych wskaż najwybitniejszego twórcę literatury polskiej.
Zaśmiałam się.
– Przecież to oczywiste, Sienkiewicz.
– Źle.
Uśmiech zniknął z mojej twarzy.
– Żeromski.
– Źle.
– Mickiewicz, Słowacki, Krasicki... Szlag!
– Tu nie przeklinamy.
– Chyba nie chce pan powiedzieć, że Remigiusz Mróz?
– Jan Paweł II.
Opadłam na krzesło. Jak mogłam nie wiedzieć?
– Dziękuję pani bardzo. – Urzędnik wstał i się uklonił. – Proszę iść.
– Jak to? – Spojrzałam na niego niepewnie. – Nigdzie nie pójde.
– Wszystko w porządku. Proszę iść.
– Nie ma mowy. Dokąd niby miałabym iść?
– Tam, gdzie wszyscy.
Wskazał wzrokiem złote, świetliste przejście, do którego kierowali się przepełnieni radością niemal wszyscy ludzie.
– Jeszcze chwila. – Spojrzałam na niego podejrzliwie. – To wszystko? A są jakieś zasady, regulamin, coś drobnym druczkiem?
– Nie ma.
– Wszystko wolno?
– Nie można przeklinać i zamieniać się na miejsca.
– A uciec?
Spojrzał na mnie zaskoczony.
– Pytam dla koleżanki.
– Odprowadzić panią?
– Sama pójde! Co pan taki spięty?
Uśmiechnął się krzywo i pomachał mi na pożegnanie.

Rozpościerał się przede mną niezbyt długi rząd drzwi. Pierwsze piękne, bogate, przyciągające wzrok niczym wejście do trzygwiazdkowego hotelu na wycieczce last minute. Każde kolejne znacząco gorsze, aż do ostatnich, zdezelowanych, odrapanych, z wiszącą klamką i pokrytych pajęczyną. Przypominały nieco te do mojego mieszkania na Miedzianej.

Ruszyłam w stronę tych pierwszych, mieniących się złotem niczym szata biskupa, zwłaszcza że już biegły do nich kolejne osoby.

– Niech się pani tak nie pcha – powiedziała kobieta przede mną. – Podobno starczy miejsc dla wszystkich.

W tym czasie do tych ostatnich, zdezelowanych podeszła kobieta z patologii. Pomyślałam, że może niedowidzi, i chciałam ją zawołać, powiedzieć, że chyba jest głupia jakaś, że tam idzie, ale się wstrzymałam. Pewnie urzędnicy ją tam skierowali. Poza tym, co by było, gdyby jednak nie dla wszystkich były miejsca i akurat dla mnie zabrakłoby leżaka? Każdy jest kowalem własnego losu. Cały nasz kraj, który jest w końcu Chrystusem narodów, opiera się przecież na zasadzie: „A niech sobie starzy radzą sami!”.

Niestety zaraz potem padłam ofiarą własnej dobroci i altruizmu. Kobieta z patologii zauważyła mój wzrok i sama do mnie zagadnęła.

– Przepraszam panią – zaczęła niby uprzejmie. – Czy mogłaby mi pani zająć kolejkę?

Rozejrzałam się. No, jak by nie patrzeć, to stała tam sama.

– Chciałam jeszcze pójść do łazienki przed podróżą. Nie wiadomo, kiedy potem będzie można skorzystać – dodała.

Spojrzałam na nią z politowaniem. Cóż to była za upadła osoba. Zamiast interesować się wzniosłymi sprawami, szukać odpowiedzi na najważniejsze pytania, ona szukała łazienki.

– Nie musi pani opuszczać swojej kolejki – kontynuowała. – Wystarczy, że jak ktoś zapyta, powie pani, że zaraz wrócę.

– No dobrze – westchnęłam, jako że moje poświęcenie dla innych nie znało granic. Poza tym być może i ja niedługo mogę potrzebować do łazienki, więc warto było się dowiedzieć, gdzie się znajduje.

Poszła. Odprowadziłam ją wzrokiem, a potem w ramach ćwiczeń umysłowych zajęłam się liczeniem osób znajdujących się przede mną w kolejce oraz ich dyskretną i nienarzucającą się obserwacją.

Byli to ludzie zadbani, dorodni i beztroscy. Jako że po śmierci nie liczyły się już majątek i układy, w końcu dołączyłam do takiego towarzystwa, na jakie zasługiwałam, z jakim zawsze chciałam obcować i do jakiego należeć.

O kobiecie z patologii nie myślałam. Miała to, na co zasłużyła, a ja jako pokorna służka Pana nie zamierzałam zmieniać boskiego porządku. Rzuciłam natomiast przelotne spojrzenie w stronę tamtych drzwi i wtedy coś zauważyłam.

Do cudzej własności nigdy nie miałam żadnych ciągót. Cudza własność wręcz mnie odpychała. Ale miałam także niepokojące przeświadczenie, że jeżeli ja nie podniosę tego małego, smutnego, kolorowego zwitka, który dostrzegłam na podłodze, zrobi to ktoś inny. A tego bym przecież nie zniosła!

Jastrząb wypatrujący polną mysz z wysokości kilkudziesięciu metrów czy amerykański dron bojowy z jeszcze większego pułapu zrzucający bomby na głowę niewinnego muzułmanina nie jest tak bystry, precyzyjny i szybki jak ja w pogoni za zwiniętym dziesięciozłotowym banknotem.

Miało być co prawda pełne wyżywienie, ale kieszonkowe też by się przydało.

Zrobiłam mały krok w bok bez rozglądania się i zdradzania celu. Mimo to zostałam namierzona przez kilka ciekawskich par oczu. Wszystko pod kontrolą. Potrzebowałam jedynie zasłony dymnej.

– Łysy tam nie stał! – krzyknęłam, wskazując na początek kolejki.

Natychmiast podniosły się szum, szepty i zrobiło się małe zamieszanie.

– Na chama się wepchał! – podbiłam sygnał.

Jakiś łysy zawsze się w okolicy znajdzie. Polska jest na ósmym miejscu na świecie pod względem łysienia. Kilku facetów z przodu popatrzyło na siebie nawzajem, zastanawiając się zapewne, którego z nich mogłaby już dotyczyć ta przykra przypadłość. Z tyłu kolejki natomiast uformowała się niewielka, ale dziarska grupka krzepkich dermatologów amatorów, pragnąca przywrócić w jej górnym biegu prawo i sprawiedliwość.

Tego mi było trzeba. Niezauważona przez nikogo posunęłam się o kolejny krok, przydepnęłam zwitek i schyliłam się po niego,

udając, że poprawiam coś w bucie. Następnie chwyciłam go, nawet bez patrzenia.

Mam!

Zaraz potem, podekscytowana, spojrzałam dyskretnie na skrywaną w dłoni zdobycz.

– O nie! – wrzasnęłam rozczerowania. – Oszustwo!

Niestety, co z tego, że amerykański dron bojowy jest taki bystry, precyzyjny i szybki, skoro zanim w końcu trafi w cel, musi najpierw wysadzić w powietrze kilka szkół i szpitali. Tak i ja zamiast zasłużonego banknotu trafiłam na jakąś cholerną wakacyjną ulotkę.

Nie było jednak czasu na żale ani w szczególności na próby łagodzenia sporu, który zupełnie wymknął się spod kontroli i eskalował w niebezpiecznym kierunku na początku kolejki, ponieważ nagle odrapane, zdezelowane drzwi z wiszącą klamką zaskrzybiały i się otworzyły. Wyjrzał zza nich mężczyzna o nieco zdezorientowanym spojrzeniu.

– Czy może ktoś do nas? – spytał z nadzieją w głosie.

Już miałam się zaśmiać i odpowiedzieć, że chyba zwariował, ale pomyślałam, że jeżeli doszłoby do jakiejś kolejnej selekcji, to dobry uczynek mógłby mi się przydać, zwłaszcza że nie mogłam sobie przypomnieć żadnego innego. Oczywiście wyłącznie dlatego, że nie mogłam się skoncentrować w tym bałaganie. Postanowiłam więc spełnić prośbę kobiety z patologii.

– Stoi tu do was jedna pani... – zaczęłam.

– Zapraszamy. – Uśmiechnął się radośnie, po czym chwycił mnie za ramiona i pociągnął zdecydowanie w swoim kierunku.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie zrozumiał mnie pan!

Na nic się zdały moje protesty. Krzepę miał, jakby codziennie mięso jadł.

– Co pan wyprawia?! – broniłam się. – Ludzie, ratujcie!

Nikt się nie ruszył. Co oni sobie pomyśleli? Że mnie tam urzędnicy skierowali? Całkowita znieczulica. Pewnie się ucieszyli, że jedna mniej! Bo co by było, gdyby akurat dla nich zabrakło leżaka? Tak najłatwiej. „Niech sobie starzy radzą sami”. Zwyrrodnialcy.

Mimo że się opierałam, urzędnik, nie dając mi nic wyjaśnić, poprowadził mnie do jakiegoś wąskiego, dusznego korytarzyka bez okien.

– Proszę mnie w końcu wysłuchać! – gorączkowałam się.
– Dobrze, niech pani mówi – zgodził się, prowadząc mnie dalej w nieznane.

– Tłumaczę panu, że zaszła pomyłka. To nie ja miałam tu być, tylko inna kobieta.

– To niemożliwe. Wszystkich mamy dokładnie zewidencjonowanych. Zamiana miejsc nie jest możliwa. To jedna z najbardziej przestrzeganych zasad.

– Ale jednak zaszła pomyłka. Jeżeli macie taki porządek, proszę to sprawdzić. Sam się pan przekona.

– Dobrze. Tak zrobimy, ale nie tutaj. Tu niczego pani nie wyjaśni. O niczym tutaj nie zdecydujemy.

– Proszę mnie puścić.

– Odprawa jest już zamknięta, poza tym nie mamy takich kompetencji. Przedstawi pani sprawę swojemu opiekunowi, a on pošle ją wyżej. Jeżeli ma pani rację, to gwarantuję, że ewentualna pomyłka zostanie naprawiona. Tymczasem musimy iść.

– Nigdzie z panem nie pójdę.

– To ostatni transport na dziś. Sprzątamy i po przerwie technicznej przychodzi nowa zmiana. Niczego pani z nimi nie wyjaśni. Była ulewa w Bombaju, zimowe wejście na K2 i amerykańskie wojska wycofały się z jakiegoś nieważnego dla nich kraju. Będzie rzeźnia.

Popatrzyłam na niego.

– Pojedziemy, pani sobie spokojnie usiądzie, odpocznie po podróży, ja zgłoszę sprawę i wszystko zostanie w miłej atmosferze wyjaśnione. Ale stąd musimy już iść.

Wypuściłam głośno powietrze. Zdezorientowana i przytłoczona liczbą zdarzeń niemal spadłam ze stromych schodów, niewiele widząc w ciasnym korytarzu przypominającym jelito. Na jego końcu widać było jakieś drzwi. Wolałam nie przywoływać do głowy żadnych skojarzeń. W każdym razie urzędnik otworzył je i wtedy się zaczęło.

Uderzył mnie niemiłosierny żar.

Żar nie do wytrzymania.

Oślepiający żywy ogień wgrzający się w skórę.

Zakryłam ręką oczy, ale niewiele to dało.

Odór rozgrzanej smoły uderzył mnie w twarz. Takiego uderzenia nie znała nawet żona Diabło Włodarczyka.

Jak to się mogło stać? Jak mogłam się na to zgodzić? Przecież to było piekło!

– Proszę wybaczyć natarczywość – powiedział urzędnik – ale naprawdę nie mamy czasu. Transport czeka.

– Faktycznie jest trochę gorąco – dodał drugi, pojawiając się nie wiadomo skąd. – Ale to przez to, że wyszła pani z chłodnego pomieszczenia. Musimy przejść pasem startowym. Drobną niedogodność. Jesteśmy nieco niedofinansowani.

Mieli mnie za idiotkę?

Chodu!

Rzuciłam się do ucieczki.

Pomyślałam, że ruszą za mną i powalą mnie na ziemię jak na filmach, ale nic takiego się nie stało. Zaskoczeni zostali w miejscu. Ja natomiast pędziłam przed siebie. Ku wolności. Nie mogłam być wprawdzie pewna, czy dobrze wybrałam kierunek, ale tym chciałam się zająć, dopiero kiedy będę już bezpieczna.

Pędziłam tak i pędziłam, a z każdym krokiem robiło mi się coraz bardziej sucho w gardle.

Kondycję miałam dobrą, a nawet bardzo dobrą. Niewiele pań z klubu seniora tak dokładnie jak ja wykonywało skłony i tak długo jak ja ćwiczyło bieg w miejscu. Ale tu był jeszcze większy zaduch niż na naszej gimnastyce, a ja ani się nie przebrałam, ani nie zrobiłam rozgrzewki.

Rozgrzane powietrze falowało nad równą asfaltową powierzchnią, na której końcu kołowały samoloty. Słony pot zalewał mi oczy.

No niech to szlag! Nie dało się w ogóle biec w takich warunkach. Nawet szklanki wody nikt nie podał!

Zatrzymałam się.

A tamci dwaj? Nic. Jakby im w ogóle nie zależało. Nie gonili, nie krzyczeli, stali tylko i patrzyli.

Poczekaliśmy chwilę, wyrównując oddech i ocierając pot z czoła, ale nawet się po mnie nie pofatygowali. Cały ten kawał musiałam teraz wracać. A było tego dobrych kilkanaście metrów. Żaden się nawet nie ruszył.

– No co? – spytałam, patrząc na ich rozdziawione gęby.

- Nic – odpowiedział pierwszy.
- Wszystko dobrze? – spytał drugi.
- Fantastycznie... po prostu fantastycznie...

Zaprosili mnie do małego zdezelowanego autobusu stojącego po drugiej stronie. Co za wstyd. Na piechotę po płycie lotniska. Miałam nadzieję, że nikt mnie nie widział.

– Powtarzam, że to pomyłka – oznajmiłam. – Weszłam nie w te drzwi, w które powinnam.

– Tak jak już pani mówiłem – odpowiedział pierwszy – spotka się pani ze swoim opiekunem i wszystko się wyjaśni.

Droga ciągnęła się niczym kolejka po pączki w tłusty czwartek. Patrzyłam przez okno na pustynię, a oni nawet mi się napić nie dali, choć wszyscy wiedzą, że jak się zabiera człowieka na wycieczkę na pustynię i robi nieoczekiwany wielogodzinny postój, to zawsze ma się w torbie zimną coca-colę po pięć dolarów za puszkę.

Dobre było to, że w końcu i ja miałam swoje last minute do pustynnego kraju. Gorzej, że nie zanosilo się na to, żebym miała okazję opowiedzieć o tym w klubie seniora.

Po trudnym do oszacowania czasie dotarliśmy do małej przystani. Tutaj autobus wjechał na niewielki prom, który kołysał się jeszcze z godzinę w promieniach zachodzącego już słońca.

Transfer trwał i trwał. Ale o tym w ulotce reklamowej oczywiście nie napisali.

Choć jakoś dramatycznie mi się nie spieszyło, zważywszy na miejsce, do którego zmierzałam. Miałam nadzieję, że okrucieństwa nie zaczynają się od razu po przyjeździe, że dają ludziom czas na rozpakowanie, zwiedzanie okolicy, a program zaczynają realizować dopiero następnego ranka. Miałabym wtedy faktycznie czas na wyjaśnienie wszystkiego i dostanie się tam, gdzie powinnam.

- O której pierwsze tortury? – spytałam.
- Nie odpowiedzieli. Uśmiechnęli się tylko.
- Pewnie nie mogli się doczekać.

Rozdział 2

Dobiliśmy do brzegu w promieniach zachodzącego słońca, które tego wieczora najwyraźniej nie miało zamiaru zejść. Przywitały nas piaszczysta plaża i soczysta zieleń w głębi lądu. Przyłapałam się na tym, że to miejsce mogłoby mi się nawet spodobać. Typowo polskie. My, jak tylko znajdziemy się w czarnej dupie, to od razu zaczynamy się zastanawiać, jakie by tu meble pasowały.

Kogo chcieli nabrać na takie tandetne pejzażyki? Fajansiarze!

Dalej nie było już żadnego transportu. Ruszyliśmy w głąb lądu piechotą jak zwierzęta. Tuż za niewielkim zagajnikiem zaczęły się zabudowania. Pojedyncze posesje otoczone zadbanymi ogrodami. Ulice proste, równe i czyste, bez tłoku, hałasu i samochodów. Co chwila park, jezioro, plac zabaw.

Mimo bogatego doświadczenia i wielkiej mądrości życiowej zdawałam się podatna na te tandetne sztuczki. Tania i pusta powierzchowność, jaką zło kusilo człowieka, najwyraźniej działała i na mnie. Podobnie jak każda manipulacja, nawet jeżeli było się jej świadomym. Trudno, żaden wstyd, że wzbierały we mnie emocje. Takie piękne osiedle mogły zaprojektować tylko Szelańska lub Dowbor!

Obserwując otoczenie, zostałam nieco z tyłu. Wtedy zdało mi się, że na jednym z drzew owocowych coś się poruszyło. Zsunęło się po pniu i wypełzło na środek drogi. Podskoczyłam przestraszona na widok paskudnego gada przypominającego jednego z tych widywanych na wycieczkach szkolnych. Jadąc z klasą w góry, mieliśmy szczęście widzieć mnóstwo rzadko spotykanych dzikich zwierząt. Niestety, zawsze rozjechanych na drodze, na podstawie czego mniej lotni uczniowie długo wierzyli, że płazy są płaskie.

Wąż podniósł łeb i przez krótką chwilę miałam przedziwne wrażenie, że patrzy na mnie jakimś hipnotyzującym wzrokiem i że czegoś ode mnie chce. Wydało mi się to idiotyczne, a że nie miałam czasu, więc kopnęłam gada, aż poleciał w krzaki, i przyśpieszyłam kroku.

– To dzielnica mieszkaniowa – powiedział urzędnik, gdy się z nim zrównałam.

– Pan wybaczy, ale niezbyt mnie to interesuje – odparłam.

– Będzie pani tu mieszkać.

– Nie sądzę.

– Może jednak chce pani zobaczyć?

– Mamy na to czas? – spytałam powątpiewająco.

– Nie – odpowiedział.

– Tak właśnie myślałam.

– Dlatego, że czas tu nie istnieje.

– Naprawdę? To zupełnie tak jak w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych!

– Pokażę pani, to po drodze.

Nie powiem, że nie byłam ciekawa, jaki mógłby na mnie czekać pałac w piekle, a właściwie nie na mnie, tylko na kobietę z patologii, której bilet nieopatrznie podniosłam z podłogi. Szliśmy, a ja patrzyłam na domy i otaczające je posesje. Pięknie jak na Starym Żoliborzu. Pewnie wszystko za pieniądze z przekrętów.

Z szerokiej, otoczonej zielenią alei skręciliśmy w porośniętą chaszczami ścieżkę. Nie szliśmy długo, gdy urzędnik się zatrzymał.

– Chce pani wejść? – spytał, wskazując wyłaniającą się zza stosu śmieci drewnianą szopę.

– Nie, dziękuję, wytrzymam – odpowiedziałam. – Chyba że pan potrzebuje.

– To nie wychodek. – Zaśmiał się. – To pani dom.

– Co takiego?!

Buda zbita z nierównych desek przykryta porośniętą mchem papą. Jedno okno z zupełnie nieprzejrystymi szybami, drzwi przyniesione zapewne ze śmietnika, zazwyczaj używane jako łazienkowe. Dookoła pełno worków ze śmieciami, pod ścianą ławeczka.

Pociągnął za klamkę, a podmuch powietrza uniósł wewnątrz chmurę pyłu i kurzu. Już z daleka uderzył mnie kwaśny alkoholowy fetor. W środku półmrok skrywający klaustrofobiczną graciarnię, której znaczną część zajmowały zapadnięte łóżko przykryte nadpalonym kocem, szafka oraz stół zastawione szczelnie różnej wielkości butelkami i szklankami.

Różne rzeczy widziałam w życiu i wiedziałam, co to jest bałagan. Mieszkałam przecież pod jednym dachem z mężem i synem, którzy dbali o to, żebym nie miała w tym obszarze żadnych braków w edukacji. Ale mimo to na widok takiego chlewu aż mi się zakreśliło w głowie.

– Widzę, że jest pani pod wrażeniem – stwierdził z zadowoleniem urzędnik.

– Ma pan rację – odpowiedziałam. – Po prostu zwala z nóg.

– Cieszę się.

– Nie pomyślał pan może, żeby przysłać kogoś, kto by to choć trochę ogarnął?

– Proszę się nie obawiać. – Uśmiechnął się dumnie. – Nikogo nie przyślemy.

Oparłam się o futrynę i wzięłam kilka oddechów, żeby powoli dojść do siebie.

Po chwili pomyślałam, że to całkiem sprytne. Jakim piekłem byłoby mieszkanie w szopie, podczas gdy wszyscy inni też mieszkaliby podobnie? To żadna kara, gdy wszyscy mają podobnie mało. Musiałam przyznać, że to bardzo wyrafinowane. Wielkie uznanie za innowacyjność. Chociaż nie. Przecież oni tego sami nie wymyślili. Na pewno podpatrzyli to na ziemi!

Uśmiechnęłam się do siebie. Większość życia wydawało mi się, że źle mieszkałam. A teraz, wspominając niewielkie mieszkanie w nieremontowanej kamienicy na Miedzianej, czułam się naprawdę wielką panią! Jak królowa Elżbieta albo Anna Lewandowska!

Cofnęliśmy się do alei i ruszyliśmy dalej.

Nigdzie wokół żadnej rozwiniętej cywilizacji, transportu, przemysłu, nie wspominając już o porządnej stoczni, hucie, kopalni czy elektrowni. Jednym słowem: zapaść, gorzej niż w Trzecim Świecie.

Minęliśmy nieco odsunięty od drogi mały, żółty, zabawny domek.

– Co to? – spytałam.

– Nic ciekawego. Stacja uzdatniania wody – odpowiedział urzędnik. – Tam proszę nie chodzić.

Jakby mnie to w ogóle interesowało.

Po obu stronach drogi szereg niewysokich drzew, które w naszym klimacie raczej nie występują, chyba że w doniczkach. Na nich

dziwne owoce zachodniego lub południowo-zachodniego dekadentyzmu, zgnilizny moralnej i genderyzmu. Zjadłabym oczywiście, bo zawsze lubiłam takie ładne, soczyste i słodkie, ale nie znałam nazw i nie wiedziałam, które z nich były jadalne.

– Dostanę coś do jedzenia? – spytałam, strudzona podróżą i wyczerpującym dniem.

– Oczywiście, że nie – rzucił bez namysłu.

– Jak to? Zupełnie nic?

– Zupełnie nic.

Zawsze jadłam niewiele, ale jednak jadłam. Nawet w obozach czy więzieniach jakieś wyżywienie przeważnie było.

– Staramy się dostosować pani pobyt do jej wymagań w najdrobniejszym szczególe – stwierdził.

– Doprawdy?

– Wiemy, że prowadziła pani liczne głodówki.

– Tak, to się zgadza, zwłaszcza tuż przed przyjściem emerytury.

– Możliwe. Tego nie kojarzę. Staraliśmy się przejrzeć pani życiorys wnikliwie, ale sama pani rozumie, że przy takiej liczbie ludzi pewne szczegóły mogą umknąć. Zwłaszcza że w pani przypadku wprost nie sposób spałubić wszystkich dobrych uczynków.

– Racja. Ja też żadnego nie mogę sobie przypomnieć.

Zaśmiał się tylko.

– Pani jest taka skromna. Choć o tym wiedziałem, to i tak mnie to zadziwia. Miałem na myśli głodówki w obronie niepełnosprawnych, pracowników służby zdrowia, praw kobiet.

– Ach, te głodówki... nie chcę o tym mówić... to takie nieinteresujące...

– Ależ pani się myli. Jest wprost przeciwnie. Bardzo chętnie posłuchamy na weryfikacji pani życia.

Ależ on był męczący i dociekliwy. Taki to nawet we własnym życiorysie by się w końcu do czegoś dokopał.

– A co pan taki wścibski?! – oburzyłam się. – Jeżeli jest pan taki ciekawski, to proszę poczytać sobie portale plotkarskie.

– Niestety, nie korzystamy z internetu – odpowiedział, spuszcżając wzrok.

– E tam, bez przesady, nawet godzinę dziennie?

- Nie mamy zasięgu.
- Żadnego? Nawet marnego LTE?
- Nawet LTE.
- Matko jedyna, co to za prowincja?!
- Większości ludzi po śmierci najbardziej brakuje właśnie portali społecznościowych i plotkarskich – stwierdził. – Kiedyś chowano ludzi z obolem lub innymi monetami mającymi być zapłatą za transport. To było bardzo miłe. Teraz niektórzy wkładają zmarłemu do trumny jego smartfona. Ale niestety zapominają o ładowarce.

Na końcu ulicy znajdował się niewysoki betonowy budynek, częściowo zasłonięty drzewami. Zajmował spory teren, a poszczególne jego części połączone były przeszklonymi łącznikami. Przed wejściem głównym wyłożony kamieniem plac otoczony ławkami.

- Tu będzie pani pracowała – powiedział urzędnik.
- Pracowała? – zaśmiałam się. – Pan sobie żartuje?
- Mówię poważnie.

Nie przejęłam się tym, bo mnie to nie dotyczyło, ale jednak towarzyszyły mi szok i niedowierzanie. Pracować? Czyli jednak ZUS zbankrutował. A tak dobrze mu szło.

Widocznie piekło także podążało z duchem czasu i zamiast tradycyjnego, ale trochę jednak już przestarzałego gotowania w smole, wrywania paznokci czy krojenia żywcem, które to już nawet na ziemi stały się zupełnie powszechne i zostały włączone do typowego pakietu z kliniki medycyny estetycznej, postanowili stosować wieczną pracę. Nasi politycy zawstydziliby się, gdyby się dowiedzieli, jak wysoko można podnieść wiek emerytalny.

Jeżeli już miałabym pracować, to chociaż dobrze, że nie w kamieniołomie, bo takie nieustanne zginanie się byłoby niezwykle szkodliwe dla kręgosłupa. A o kręgosłup lepiej dbać. Niestety, zaraz po tej optymistycznej myśli przypomniałam sobie, ile to się ostatnio mówiło o współczesnym niewolnictwie i ukrywających się za ogłoszeniami o pracę porwaniach i sprzedaży dziewcząt do

zagranicznych domów publicznych. O zgrozo. Tylko nie to. Tego bym bardzo nie chciała. Pal licho kręgosłup. Nie jest znowu taki ważny.

Tymczasem nikt nawet po nas nie wyszedł, nikt nas nie przywitał. Z bliska budynek wyglądał żałośnie. Beton, drewno, trochę szkła i porośnięty chaszczami kamień. Średniowiecze!

W środku też bieda. Żadnych mebli, sprzętów czy wyposażenia. Pusto jak w zapomnianej przez Boga Skandynawii. Biel, światło, kanapa, dystrybutor wody i przeszklone drzwi.

Dalej przestronna, jasna sala poprzecinana niskimi ściankami działowymi. Pomędzy nimi rzędy biurka, półki z segregatorami i skrzynie z papierami. Do tego masa ludzi i ścisk jak w podstawówce po reformie edukacji.

– To pani miejsce pracy – powiedział, wskazując na wolne biurko.

Całkowite załamanie. Człowiek całe życie harował jak wół, żeby jakoś dotrzeć do zasłużonej emerytury, a potem nawet się nie nacieszy, bo zanim się nauczy, jak przeżyć za pieniądze poniżej minimum socjalnego, to nawet kilka lat może minąć. Tyle trwa pozbycie się godności. Jak ktoś dożyje, to potem jest już trochę łatwiej. Ale co z tego, jeżeli zaraz po śmierci człowieka czeka taki los?! Nie dosyć, że w burdelu, to jeszcze na zapleczu! Nawet sobie nie popatrzę i nie posłucham. Nie miałam przecież złudzeń: gdybym miała robotę z klientami, to pewnie bym się nie przepracowała. Wiem przecież, jak wyglądam, i zdaję sobie sprawę, że dla większości mężczyzn jestem po prostu zbyt chuda.

– Pójdziemy teraz do Brygadzysty i przedstawi pani swoje roszczenia – oznajmił urzędnik, wskazując rząd drzwi z boku sali.

– Bardzo dobrze – odpowiedziałam oburzona. – Ale wcześniej potrzebuję na chwilę do łazienki.

Musiałam ochłonać. Weszłam. Było w miarę czysto, nic niepozalewane. Pewnie rzadko kto myje ręce po skorzystaniu. Oparłam się o zlew i w milczeniu patrzyłam w lustro. Taka ładna dziewczyna nie powinna się smucić. Odkręciłam wodę i przemyłam twarz.

Chłodna woda przyniosła ukojenie, ale gdy spojrzałam ponownie w lustro, aż podskoczyłam z przerażenia. Tuż za mną nie wiadomo skąd pojawił się piękny młodzieniec o delikatnym zarostcie,

płomiennych oczach i nienaganej, zaczesanej na bok fryzurze. Miał na sobie idealnie dopasowany czarny garnitur, rozpiętą pod szyją koszulę, a jedynym mankamentem jego urody był dziwny, purpurowy, głęboko wbity ślad na czole.

– Czego chcesz, kochanie? – spytał.

– Jak to czego? – Co za głupie pytanie, zwłaszcza jak na młodego mężczyznę pojawiającego się znienacka w damskiej łazience. – Oczywiście, że chcę jak najszybciej się stąd wydostać.

– To się dobrze składa, bo ja właśnie w tej sprawie.

– Nie może pan z tym poczekać, tylko musi mnie pan straszyć w łazience?

– A dlaczego nie? Po co marnować czas?

– W sumie racja – stwierdziłam, wycierając ręce i przyglądając mu się jeszcze raz. Był tak piękny, że mógłby zagrać w *Pięćdziesięciu twarzach Greya* lub czytać pogodę w TVN-ie. Ale najważniejsze, rzecz jasna, że w końcu trafił się ktoś kompetentny, komu zależy na człowieku. – Otóż, proszę pana, nastąpiło nieporozumienie...

– Nieważne. – Machnął ręką, sugerując, że dla niego nie ma rzeczy niemożliwych. – Ruszajmy zaraz.

Takich ludzi po prostu nie dało się nie lubić.

– Zgoda – odpowiedziałam. – Jestem gotowa. Nie wiem, jak mi się udało tak długo tu wytrzymać.

– Świetnie – mówiąc to, wyjął plik papierów, przerzucił kilka kartek i położył palec na dole ostatniej z nich. – Proszę tylko tutaj podpisać.

Czar prysł, to za dużo powiedziane, ale na pewno trochę przygasł.

– A cóż to takiego? – spytałam, próbując przeczytać drobny druk.

– Rutynowe formalności: umowa, ubezpieczenie, cesja, klauzula poufności i zgody marketingowe. Standard. Nie ma się czym przejmować. Proszę podpisać i ruszamy. Mam wielu chętnych.

– Co to za umowa? – dociekałam, bo na cokolwiek by się człowiek umówił, to i tak potem się okazuje, że do końca życia musi spłacać jakieś garnki, odkurzacz albo thermomix.

– Kompleksowa – odpowiedział. – Obejmuje przejazd i pobyt.

– Na jaki okres umowa? Dwa lata?

– Czas nieokreślony.

– Długo. Jaki jest okres wypowiedzenia?

- Przed chwilą była pani zdecydowana.
- Słabe warunki.
- Dostanie pani dom.
- Nie.
- I samochód.
- Nie.
- Restaurację.
- Tak.
- Naprawdę?
- To znaczy nie!
- Pałac...
- Z windą?
- Tak.

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem. Kłamał... Oj, kłamał.

- A jakim cudem, drogi panie, Wojewódzki Konserwator Zabytków miałby się na to zgodzić?! - spytałam. - Chyba pan raczy sobie żartować? We własnym domu miałabym po schodach chodzić? I to przez czas nieokreślony?

- Zainstalujemy windę zewnętrzną - odpowiedział, odzyskując pewność siebie.

Dobry był. Jak nic mógłby tę pogodę czytać.

- Stolarka okienna jest nowa? - kontynuowałam.

- Wymienimy.

- Kanalizacja.

- Też! Proszę pani, pałac będzie taki, jaki pani sobie życzy - stwierdził piękny nieznajomy. - Proszę podpisać i ruszajmy. Czas nagli.

- Nie podpiszę.

- Dlaczego?

- Zupełnie nie nadaje się pan do tej roboty, a chce pan, żebym podpisała umowę.

- O czym pani mówi, do jasnej cholery?!

- A gdzie dodatkowe gratisy?

- Dobrze, dorzucę pakiet obżarstwa po dwudziestą dwa miesiące gratis, sto darmowych bluźnierstw do rodziny i znajomych i odblokowany dostęp do portali randkowych. Czy jest pani zadowolona?

- A gdzie długopis z nadrukiem albo czapeczka?
- Do tego długopis z nadrukiem i czapeczka. Może być?
- Może być.
- Proszę podpisać. Poświęciłem pani wyjątkowo dużo czasu, a mam jeszcze innych klientów.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi łazienki.

- Wszystko w porządku?! – zawołał urzędnik. – Możemy już iść?
- Trochę wybił mnie z rytmu. Iść? Ale dokąd, skoro właśnie rozmawiam o przeniesieniu?
- Chwila! – zawołałam w stronę drzwi. – Już kończę.
- Może i się pan postarał – zwróciłam się do nieznanego – ale ja i tak nie podpiszę.
- Jak to?!
- Nie jestem głupia. Jeżeli pan tyle mi daje, to muszę sprawdzić, co zaoferuje konkurencja.

– Jaka znowu konkurencja?! – Zdenerwował się tak, że cały poczerwieniał na twarzy, a purpurowy ślad na jego czole stał się na tyle wyraźny, że przyglądając się uważnie, odczytałam tajemniczy napis „Ryłko”. – Jeszcze sama pani do mnie przyjdzie! A wtedy nic pani nie dostanie!

- Ta, na pewno – zaśmiałam się.
- Zobacz pani! Sama pani przyjdzie!
- Nacisnęłam klamkę i dołączyłam do spoglądającego na zegarek i przestępującego z nogi na nogę urzędnika.
- Chodźmy – powiedziałam do niego.
- Poszliśmy.

Na końcu korytarza w niewielkiej pokojemce siedział również niewysoki, rudym mężczyzna o także rudym zarostku. Miał na sobie czarny uniform, w którym przeciętny człowiek wyglądałby beznadziejnie, ale w przypadku tego osobnika ratował jego wizerunek. Biuro było urządzone wyjątkowo biednie. Biurko, krzesło, jedna półka, na niej kawałek starej kłody i jakaś szkatułka.

- Drogi panie – zaczęłam zdecydowanie. – Zaszła pomyłka i nie powinno mnie tu być.
- Zaraz to wyjaśnimy – odpowiedział.
- Chwileczkę. Ja jeszcze nie skończyłam. Niech pan sobie nie myśli, że na tym to wszystko się skończy i że ja to tak zostawię. Co

to ma znaczyć, żebym musiała cierpieć tu tyle czasu? W takich warunkach, znosząc dotkliwe niewygody i tolerując niewyszukane towarzystwo o okropnych manierach? Wliczając w to pana, bo mimo że widzimy się pierwszy i mam nadzieję ostatni raz, to najwyraźniej jest pan godnym reprezentantem tego żalnego miejsca!

– Przykro mi, że ma pani takie odczucia – odpowiedział. – Naprawdę się staraliśmy...

– O czym pan, do cholery, mówi?

– Tu nie przeklinamy.

– To najgorsze tortury, jakie w życiu widziałam! Miałabym pracować? Po moim trupie!

– Wiedziałem, że się dogadamy.

– To znaczy, że nie!

– Przecież sama pani tego chciała? – stwierdził zaskoczony.

– Pan raczy sobie żartować?!

– Praca to świetna rzecz. Wypełnia ludziom czas. Daje satysfakcję zawodową. Poczucie spełnienia, misji. Wiemy też, jak bardzo lubiane są rozmowy o budżetach przy kawie, przechwałki o wakacjach, samochodzie, sukcesach dzieci i tym podobne.

– Może po szesnaście godzin na dobę, jak tata Maty?

– Dziękuję. To ciekawe. Zanotuję sobie. Praca jest dobra dla zdrowia. Już dawno zaobserwowaliśmy, że dobrobyt prowadzi do dekadencji. Coraz więcej osób popada w depresję. Zawnioskowaliśmy zatem do zarządu o fundusze i powołaliśmy taki start-up. Chodzi o to, żeby coś robić, produkować.

– I co takiego robicie?

– Dobre uczynki.

Roześmiałam się.

– Tak, tak, droga pani. Nie ma się co śmiać. Oprócz tego, że dajemy zajęcie, to prawdę powiedziawszy, to już chyba ostatnia, desperacka próba ratowania ludzkości.

Popatrzyłam na niego. Co to za przedziwny człowiek?

– Nie mogę uwierzyć, że opowiada mi pan takie farmazony – stwierdziłam. – To może jeszcze zechce mi pan tak pięknie wytłumaczyć, dlaczego pokazano mi tę obrzydliwą rudere, mówiąc, że to mój dom?

– Nie podobał się pani? – zdziwił się.
– Przecież to pijacka melina!
– Zgadza się – potwierdził, prężąc się z dumy. – Dowiedzieliśmy się, że pani marzyła o takiej. Zadbaliśmy o szczegóły, dostosowując go do pani indywidualnych potrzeb. Zbudowaliśmy nawet replikę instalacji do destylacji. Wspaniały, prawda?

To się naprawdę nie miało prawa dziać.

– Byliśmy przekonani, że zarówno wystrój, jak i klimat się pani spodobają – kontynuował. – Wzorowaliśmy się głównie na hotelu poselskim, ale w projektowaniu pomagali Marek Grechuta i Jerzy Pilch. Szczerze mówiąc, mamy spore doświadczenie. To jedna z naszych najczęstszych aranżacji.

– Jest tu Jerzy Pilch? Mogłabym się z nim spotkać?

– Niestety, poprosił o przeniesienie. U nas nie ma warunków, a chciał więcej pisać.

– To świetnie. Wciąż pisze?

– Z tego, co słyszałem, pisma windykacyjne.

Wydawało się, że na wszystko miał gotową odpowiedź, ale mnie przecież nie przekona.

– No dobrze, a jedzenie? Tego pan chyba nie jest w stanie w podobnie pokretny sposób wytłumaczyć.

– Nie potrzebuje pani jeść.

– To już gruba przesada. Zawsze jadłam niewiele, ale jednak, i to prawie codziennie.

– I teraz pani tego brakuje?

– Oczywiście! Co to w ogóle za pytanie? Zjadłabym kotlet, gulasz, kurczaka w ostateczności. Tylko nie z chowu klatkowego.

– Niestety, nie ma takiej możliwości, a już w szczególności nie można zjeść innego stworzenia.

– A to niby dlaczego?!

Popatrzył na mnie tak, jak patrzy nauczycielka na niezbyt lotnego ucznia. Ależ to było zaskakująco nieprzyjemne uczucie!

– Widzi pani – zaczął łagodnym tonem. – Jedzenie zwierząt jest dużym problemem i wyzwaniem. Ściągnięcie duszy zmarłego, ponowne zorientowanie jej, przejrzenie i przeanalizowanie ostatniego ziemskiego życia to mnóstwo pracy, a jak sama zapewne pani zauważyła, nas jest ledwie garstka. Dlatego jeżeli ktoś kogoś

zabija i zjada, powoduje to dodatkowy ruch, sprawia, że nasza praca idzie na marne. Kilka tygodni temu po bardzo długim czasie pracy nad rozwojem duchowym ponownie wysłaliśmy na ziemię duszę pewnego mężczyzny. I co się okazało? Po miesiącu do nas wrócił. Rozumie pani? Po miesiącu!

Czyli jednak kobieta z patologii się myliła. Pobyt był bez wyżywienia.

– Ale to nie wszystko – kontynuował wzburzony. – Pewna rodzina żarliwie modliła się o powrót ich zmarłego dziadka. I co? Wrócił, oczywiście, że wrócił, ale zaraz potem zjedli go na święta. Podobnych przypadków jest bez liku. W ten sam sposób zostali zjedzeni Maria Skłodowska-Curie i Zbigniew Wodecki. Przecież to się w głowie nie mieści, cholera jasna! Przepraszam. – Zakrył usta ręką i spojrzał na mnie przestraszony. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Umówmy się, że pani tego nie słyszała – zaproponował.

– Oczywiście – odpowiedziałam, kiwając głową ze zrozumieniem. – Każdemu może się zdarzyć.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Na śniadanie poproszę jajecznicę, na obiad kurczaka, a na kolację mogą być placki.

Spuścił wzrok, jakby szukał odpowiedzi pod biurkiem.

– Spróbuję coś załatwić – westchnął, nie podnosząc głowy. – Ale nie mogę zagwarantować. Może chociaż konserwa?

Skrzywiłam się na samą myśl.

– Dobrze, poszukam, może coś się znajdzie.

Spojrzałam na niego badawczo. Jeżeli to miałby być jakiś władca piekieł albo choć nawet jego najmarniejszy zastępca, to jak, u licha, miałoby osiągnąć taki sukces na ziemi?

– Przyznaję, że pierwszy raz spotkaliśmy się z taką sytuacją. Do tej pory pojawiały się roszczenia, ale w przeciwnym kierunku. Ludzie chcą z gorszego miejsca trafić do nas, ale to nie jest, rzecz jasna, możliwe.

– Czyli istnieje jeszcze gorsze miejsce? – spytałam ostrożnie.

– Oczywiście, że tak – uśmiechnął się.

– Znaczący piekło?

– Ale o tym sama się pani przekona.

– Niby dlaczego miałabym się o tym przekonać?

Spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Mówiła pani, że weszła w niewłaściwe drzwi. Zgadza się?

– Sama nie wiem. Bardzo źle tam mają?

– Podobnie jak na ziemi.

– To chyba nie najgorzej.

– Powodzie, pożary, głód, brak wody, wojny, gwałty, czystki, wysiedlenia, zabójstwa, oszustwa, dyskryminacje. Faktycznie da się przeżyć. Wystarczy odwrócić wzrok. To jak było z tymi drzwiami?

– Tak powiedziałam? Słabo to pamiętam. Jakby przez mgłę.

– Proszę się skoncentrować. Na pewno pani sobie przypomni.

– Wie pan co? Zmieniłam zdanie.

– Jak to zmieniła pani zdanie?

– Jednak weszłam w te drzwi, co trzeba, a pan niepotrzebnie mi mąci w głowie i ja nigdzie z panem nie pójdę. Bo pana nie znam. A ja się szanuję, proszę pana. – Rzuciłam mu jeszcze oziębłe spojrzenie, po czym wstałam z krzesła i ruszyłam w stronę drzwi. – I proszę za mną nie iść, bo zacznę wzywać pomocy – dodałam. – Na pewno znajdzie się ktoś, kto pomoże samotnej kobiecie. Skoro to takie dobre miejsce.

Został w pokoju.

– W porządku – powiedział na zakończenie. – Proszę się nie przejmować. Wszystko sobie pani przypomni na jutrzejszym przeglądzie życia.

Wyszłam, ale zatrzymałam się za drzwiami. W sali panował lekki gwar, wszyscy zajęci byli pisaniem, ale niektórzy wymieniali ze sobą po parę zdań. Więc tak wyglądało niebo? Trochę lipa. Zasłużyłam na coś lepszego, choćby dlatego, że na to tutaj zapracowała przecież kobieta z patologii, a nie ja. Mnie należałoby się coś więcej. Jeżeli miałabym tu zostać, musiałabym się za czymś rozejrzeć, ale nie miałam takiego zamiaru. Z każdego miejsca da się zwiać. Tylko trzeba to zrobić dobrze, z głową, poznać system. Najważniejsze, że nie trafiłam do piekła. Tam na pewno bardziej pilnują. Stąd to nie powinno być problemu.

Myśląc w ten sposób, postanowiłam się trochę rozejrzeć. Ruszyłam korytarzem w stronę przeszklonych drzwi, za którymi znajdowały się dalsze pomieszczenia. Panował tam lekki półmrok

i nikogo nie było widać. Mogło znajdować się tam jakieś wyjście ewakuacyjne.

Pchnęłam drzwi. Przechodząc na drugą stronę, znalazłam się w całkiem sporej, niedoświetlonej sali, podobnej do tamtej, którą pokazał mi już Brygadzysta. Nie było w niej jednak tylu osób. Przy jedynym zajęтым biurku pracowała jedna jedyna osoba. Pod sufitem dostrzegłam tabliczkę z napisem „Dział urodzeń”.

Ruszyłam dalej, nie chcąc zwracać na siebie zbytnej uwagi. Przeszłam przez kilka podobnych pustych sal. W pewnym momencie usłyszałam dziwny zgrzyt. Co to mogło być? Jakby jakiś mechanizm. Zatrzymałam się i szybko zlokalizowałam źródło dźwięku. Ach, to z jednej z drukarek wychodził pasek zadrukowany cyframi: 1, 2, 3, 4, 5, 6. Co mogły oznaczać? Kto by sobie tym zaprzętał głowę?

– Co pani tu robi? – Brygadzysta zaskoczył mnie, wyrastając nagle za moimi plecami.

– Zwiedzam – odpowiedziałam. – Smutno tu jak w polskim muzeum.

Westchnął przeciągle.

– To prawda. Niektóre działy faktycznie przechodzą niewielki kryzys. Ograniczają zatrudnienie, zdarzają się przestoje, brakuje fachowców. W dziale pogody kiedyś układaliśmy wzory z chmur. Teraz przerzucamy tylko wajchę ze słońca na ulewę i na odwrót. Sama pani widzi, że Dział Snów, Przypadków i Gier Losowych, w którym kiedyś przygotowywaliśmy cuda, też stoi pusty. Jedynie dział białoruskich hakerów jeszcze się trzyma. Bez niego nie mielibyśmy już żadnego wpływu na to, co dzieje się na ziemi.

– Ale dlaczego tak się dzieje?

– Mamy problemy ze znalezieniem ludzi do pracy.

Rozdział 3

Poprowadził mnie na środek sali Sekcji Dobrych Uczynków. Uwolniłam się z jego uchwytu, ale było już za późno, żeby cicho zająć miejsce. Wzrok wszystkich skierowany był na mnie. Nową.

Nowego ucznia w klasie można było przedstawić w dwojaki sposób: doświadczona nauczycielki, nawet jeżeli miały dla takiego ucznia mnóstwo życzliwości, robiły to po cichu. Sadzały go w ławce i tylko wspominały, że od tego dnia jest nowy uczeń. Młode, pełne entuzjazmu robiły to natomiast z zaangażowaniem. Wywoływały go do tablicy, często stawały obok, a nawet obejmowały po bratersku i opowiadały, jakie to pojawiają się teraz wymagania wobec klasy, aby przyjęła nowego ucznia z życzliwością, zakolegowała się z nim i pomogła mu już od pierwszego dnia. Efekt takiej zachęty, wsparty autorytetem nauczycielki, był niezwykle silny i trwały. Nowy uczeń najczęściej dostawał lanie od kolegów jeszcze tego samego dnia w szatni, a jeżeli jakimś cudem udało mu się tego uniknąć, to i tak co najmniej przez kilka tygodni miał spory problem, żeby spokojnie przejść korytarzem.

– Oto jest! – zawołał Brygadzista, potrząsając mną niczym pucharem lub innym trofeum i ściągając na siebie wzrok siedzących przy biurkach. – Trzeci najlepszy człowiek świata. W przybliżeniu, oczywiście, bo dane mamy sprzed kilku dni. Ale z pewnością najlepszy, jakiego mogliśmy pozyskać!

Podniósł się aplauz. Niektórzy wstali.

– Brawo! – odezwały się głosy z sali.

– Bardzo się cieszymy!

– Miło panią widzieć!

Potem przez dłuższy czas Brygadzista mówił, a mnie włos się na głowie jeżył.

– Nie będę opowiadał w całości życiorysu pani Zofii, bo wszystkiego zapewne się jeszcze państwo dowiecie, ale bądźcie pewni, że swoją wiedzą, doświadczeniem, ale przede wszystkim miłością i empatią pani Zofia odwróci tendencję spadkową wyników

naszego zespołu. Pani Zofia wiele razy w swoim życiu udowodniła, że jest idealną kandydatką do Sekcji Dobrych Uczynków. Jak choćby wtedy, gdy jeszcze jako dziecko – mówił, spoglądając na trzymaną w ręku kartkę – sprzedała ulubione lalki, gdy rodzicom brakowało pieniędzy na jedzenie oraz alkohol, albo jak wtedy, gdy przedkładając dobro innych nad własne, opuszczała lekcje w szkole, żeby pilnować, czy nikt nie nadchodzi, gdy jej dwie najlepsze przyjaciółki okradały znajdujący się nieopodal szkoły kiosk. Nie wspominając o licznych dobroczynnych bankietach organizowanych na własny koszt w niezasobnych dzielnicach miasta, często pod gołym niebem, po to, żeby napoić spragnionych oraz obdarzyć miłością samotnych i opuszczonych.

Zrobiło mi się słabo.

– Nawet po śmierci – kontynuował, przyprawiając mnie o zawrót głowy – jej kruche i ułomne ciało służyło innym po tym, jak ofiarowała większość swoich narządów Akademii Medycznej, a wątrobę muzeum.

Niemal odebrało mi dech, a łzy stanęły mi w oczach. Jeszcze nikt nie mówił o mnie tak pięknie, z takim zachwytem, uznaniem i wiarą w to, że jestem wyjątkowa. Nie pamiętam, kiedy czułam się tak dowartościowana, doceniona i spełniona. Czułam się tak nawet mimo tego, że to, co mówił, nie było o mnie.

Spodziewałam się, że po takiej prezentacji zostanę gorąco przywitana przez przyszłych współpracowników. Zdziwiłam się, bo gdy tylko Brygadzysta poszedł do swojego pokoju, ludzie bez słowa usiedli i wrócili do swoich zajęć. Wydawało mi się nawet, że jedna czy dwie osoby posłały mi przepełnione goryczą, a nawet niechęcią spojrzenia. Dlaczego?

Wprawdzie siedzący przy biurkach nie zareagowali zbyt żywiłowo i entuzjastycznie, ale i tak zakręciło mi się w głowie od tych emocji. Usiadłam na wcześniej wskazanym przez Brygadzystę miejscu i dopiero wtedy spojrzałam na mężczyznę siedzącego naprzeciwko.

– To pan nie żyje?! – Aż podskoczyłam, nie mogąc pohamować zaskoczenia na widok Borewicza.

– Niestety, rak...

– Proszę nie kończyć! – przerwałam mu natychmiast. – Chcę zachować dobre wspomnienia.

Wzruszył ramionami.

– Ale co pan robi tutaj? – spytałam.

– Jest w tym coś niezwykłego? – odpowiedział jak zwykle pytaniem na pytanie.

– Powinien pan przecież rozwiązywać zagadki kryminalne, a pan jakieś papeterie kaligrafuje?

– Nawet jeżeli byłbym policjantem, to zapewniam, że nic niezgodnego z prawem tu się nie dzieje.

– A jednak, tak jak zwykle. Najlepiej, żeby przestępca sam się odszukał, złapał, zakuł w kajdanki i odprowadził do aresztu.

– Przepraszam, ale czy my się znamy? – spytał, przypatrując mi się uważnie.

– To już teraz nieważne. Niech mi pan lepiej powie, jak stąd zwać.

Nie odpowiedział, tylko westchnął i wrócił do swojego dziwnego zajęcia.

Przyjrzałam się temu dokładniej. Na jego pokrytym tanim szarym laminatem biurku leżały cztery stosiki równo ułożonych karteczek, które on, jedną po drugiej, czytał, zastanawiał się chwilę, powoli i z rozmysłem coś na nich zapisywał i odkładał na drugi koniec biurka. Najpierw myślałam, że się zgrywa i że zaraz się roześmieje. Ale nie. Brał kolejną karteczkę z drugiego stosiku, wykonywał identyczną sekwencję działań i odkładał ją na końcu biurka. Po przeprocesowaniu karteczki z czwartego stosiku następował szybki rzut oka na wielki wyświetlacz znajdujący się na każdej ze ścian i z powrotem do pierwszego stosiku.

Wyświetlacz nie pokazywał godziny, ale szybko zmieniające się czerwone cyfry, tworzące liczbę mniej więcej minus dziesięć miliardów czterysta milionów dwieście tysięcy, i wciąż spadającą. Jedyнным odstępstwem od rutyny każdej z osób był moment, kiedy pochyłona nad swoimi karteczkami podnosiła wzrok i spoglądała na niego. Co jakiś czas, gdy w nieregularnych interwałach nagle cyfry

zapalały się na zielono, słycać było dzwonek, a liczba na ekranie jednorazowo zwiększała się o jeden. Ludzie wtedy bili brawo, wstawali, przybijali piątki i gratulowali sobie. Po chwili cyfry przybierały kolor czerwony, a liczba zaczynała spadać. Podobnie jak wyzwolony na chwilę entuzjazm.

Obserwowanie niezwykłych i nadzwyczaj wciągających zjawisk towarzyszących życiu w tym fascynującym ekosystemie przerwał mi cudowny dźwięk. Żadna niebiańska symfonia ani chóry anielskie nie były tak miłe moim uszom, jak skrzypienie kółek starego wózeczka. To tylko Brygadzysta z karykaturalnie wielkim, ciężkim i nieporęcznym metalowym wózeczkiem. Jakby tego było mało, cały był wypełniony stosikami karteczek pospinanymi gumkami recepturkami.

Uśmiechnął się do mnie, po czym schylił się, wyjął cztery i ułożył mi na biurku.

– Co to jest? – spytałam.

Uśmiechnął się niepewnie, po czym spojrzał na mnie, jakby na coś czekał.

– Nie wie pani? – odezwał się w końcu.

– Jakoś nie mogę skojarzyć.

– Nie powiedziano pani?

– Niby kiedy?

– Zaraz po tym, kiedy panią do nas skierowano. Po rozmowie. W terminalu.

Miałam wrażenie, że wzrok wszystkich w sali zwrócił się w moją stronę. Borewicz nie patrzył, ale czas, jaki poświęcił na aktualnie opracowywaną karteczkę, wystarczyłby mu na obrobienie co najmniej trzech. Jednym słowem, atmosfera mocno zgęstniała.

– A tak, oczywiście. Jestem taka zdekoncentrowana. Więc to są właśnie te legendarne... – Urwałam, patrząc na niego wymownie.

– ...taski – dokończył odruchowo.

– Oczywiście! Że to moje taski. Tyle o nich słyszałam zaraz po tym, kiedy mnie tu skierowano, po rozmowie w terminalu. Tylko żartowałam.

Nikt się nie zaśmiał. Zwłaszcza Borewicz i Brygadzysta, który miał teraz nieprzyjemnie kwaśną minę.

– Ludzie, co z wami? Umarł ktoś? – Tym razem już się sama zorientowałam, że żart był chybiony.

Borewicz nie odezwał się ani słowem, milcząc znacząco. Nie musiał się tak wymądrzać. Jakbym sama nie wiedziała.

– Nie ma co przedłużać niezręcznej chwili – stwierdziłam. – Biorę się do roboty.

Brygadzysta pokiwał głową i poszedł zaopatrywać kolejne biurka, a ja chwyciłam pierwszą karteczkę z pierwszego stosiku.

Poczułam się, jakbym znowu miała sprawdzać szkolne wypracowania. Każdemu się wydaje, że to taka prosta rzecz. Ale czy dyplomowanemu kucharzowi każe się jeść surowe lub nieświeże mięso, zawodowemu kierowcy jeździć niesprawnym samochodem, a muzykowi grać na nienastrojonym instrumencie? Nie! Więc dlaczego filologowi, który przez lata obcował z najlepszą światową literaturą, ze słowami ułożonymi pieczołowicie w taki sposób, by tkwały w duszy czytelnika fascynujące pejzaże, wzbudzającymi największe emocje, najpiękniejsze tęsknoty, dlaczego właśnie nam każe się czytać te świdrujące mózg karykaturalne kulfony, którymi są uczniowskie wypociny?

„Czterdzieści osiem lat, nawet po przejściu na emeryturę, wpłacałam po trzysta złotych rocznie do Pracowniczej Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej przy kopalni Zofiówka, żeby po mojej śmierci wskazana przeze mnie osoba mogła otrzymać osiem tysięcy złotych na sfinansowanie mojego pogrzebu i pomnika. Niestety, zarząd funduszu poinformował, że z powodu zbyt dużej liczby zgonów od przyszłego roku będą musieli zmniejszyć wysokość wypłaty o połowę, co nie wystarczy nawet na najskromniejszy pochówek. Boże jedyny, co zrobić? Czy skorzystać z promocji na śmierć?”

– To chyba nie do mnie – stwierdziłam, spoglądając na Borewicza.

– A do kogo? – odpowiedział, nie podnosząc wzroku. – Przecież nie do Boga.

– Bo ja wiem? Jeżeli nie do Boga, to chyba tylko do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Borewicz, nie przerywając swojej pracy, podał mi jeden ze swoich długopisów. Nawet na mnie nie spojrzął, ale mnie zależało, żeby mu pokazać, jakie to śmiesznie łatwe zadanie i jak doskonale sobie z nim poradzę.

Wyprostowałam się, zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech, licząc do sześciu, potem tak samo długi wydech; czynność tę powtórzyłam trzy razy, oczyszczając umysł, następnie wypełniłam serce bezwarunkową miłością i akceptacją, zsynchronizowałam się z częstotliwością wibracji wszechświata, pozwoliłam, żeby płynęła przeze mnie energia kosmosu... Potem chrząknęłam, podrapałam się, otworzyłam oczy i zabrałam się do odpisywania.

– Droga Pani. – Zaczęłam pisać, powtarzając po cichu słowa. – Niniejszym nadaję sprawie bieg urzędowy, jednocześnie zwracając się z uprzejmą prośbą o to, by udała się pani do Warszawy na ulicę Miedzianą dziesięć, mieszkania numer pięć i przekazała zamieszkującemu tam Henrykowi Wilkońskiemu, że u jego żony wszystko dobrze, dotarła bezpiecznie na miejsce, warunki są dobre, choć mogłyby być lepsze, zwłaszcza towarzystwo...

– Co pani wyczynia?! – Borewicz zmarszczył brew, jak wtedy, gdy Fronczewski go wykiwał i okazało się, że cały czas go oszukiwał, bo w rzeczywistości był przemytnikiem narkotyków. Podszedł i spojrzął na moją karteczkę, gdy byłam jeszcze w trakcie pisania. – Co pani robi? Nie rozumie pani, jakie to może przynieść konsekwencje?

– Faktycznie – zgodziłam się, bo rzeczywiście tak było, a ja o biedacze nie pomyślałam. – Ma swoje lata, a to kawał drogi. Wystarczy, że zatelefonuje!

– Co się z panią dzieje? Ja się tym zajmę – oznajmił, po czym zabrał moją kartkę i wrócił do siebie.

Popatrzyłam na niego dłuższą chwilę.

– Czemu pan taki naburmuszony? – spytałam, bo ani się nie uśmiechnął, ani nie zagadał, tylko robił i robił.

– Nie jestem naburmuszony.

– Naprawdę? A mnie się zdaje, że tak.

– Nie, nie jestem.

– Burczy pan tylko pod nosem. Nawet porozmawiać z panem normalnie nie można.

– Nie jestem naburmuszony! – wrzasnął w końcu.

– O! Proszę bardzo! – Rozejrzałam się dookoła. – O tym właśnie mówię! Widzieliście państwo?! O tym właśnie mówię!

Całe życie nadąsany. Fuknęłam i odwróciłam się w bok, dając do zrozumienia, że nie mam najmniejszej ochoty na dalszą rozmowę z tym człowiekiem.

Miało być przyjemnie: satysfakcja, spełnienie, misja, rozmowy o bzdetach, przechwałki i tym podobne. Jakoś tego na razie nie czułam. Nie łąpałam konwencji, w której tak wielkie znaczenie przypisywane było takim małym działaniom.

Kolejna karteczka z drugiego stosiku: „Szef zostawił otwarty sejf, w którym trzyma pieniądze na wypłaty dla kasjerek. Płaci najniższą krajową, mimo że sam sra kasą. Pewnie nie zauważyłby, gdybym wypłaciła sobie niewielką premię”.

– Na takie pytania mamy odpowiadać? – spytałam, wzdychając ciężko.

– Bywają i tak banalne – odpowiedział Borewicz, być może chcąc załagodzić konflikt.

– Głupia jakaś? – Nie kryłam irytacji.

– Bardzo panią proszę... – westchnął.

– Dobrze, już dobrze – odpowiedziałam pojednawczo. – „Bierz, dziewczyno...” – zaczęłam pisać, powtarzając słowa na głos – „...nie bądź głupia”.

Borewicz spojrział na mnie znad okularów.

– Żartuje sobie pani, prawda? – spytał poważnym głosem. – Trafiają się pytania trywialne, czasami piszą dzieci. Proszę mimo to traktować je poważnie.

– O co panu chodzi? Właśnie chciałam dodać, żeby odpaliła brakujące cztery tysiące tamtej staruszce ze Śląska. Gdyby nie udało się jej umrzeć do końca roku.

– Nie rozumiem, co pani robi – zirytował się Borewicz. – Albo pani nie chce z jakichś przyczyn nam pomagać, albo jest pani zupełnie nieprzygotowana.

Oczy osób siedzących przy dalszych biurkach skierowały się na mnie.

Trudno było oczekiwać, że nadejdzie lepszy moment na to, by wstać i wyjść po tym, jak zostałam obrażona bezpodstawnym

zarzutem, ale jeżeli mieli mieć wobec mnie jakieś podejrzenia, to lepiej, żeby to się nie rozegrało za moimi plecami.

Ja nieprzygotowana? Nie wiedział chyba, co mówi. Czterdzieści lat uczyłam języka polskiego i nikt mi nigdy nie zarzucił, że byłam nieprzygotowana. Choć byli tacy, co próbowali, jak choćby wtedy, gdy zimą siedemdziesiątego ósmego Henryk wrócił późno z bankietu i całą noc tak chrapał, że do rana nie zmrużyłam oka i mimo że do szkoły dotarłam przez zaspy zmarznięta i półprzytomna, to się nie poddałam. Kazałam otworzyć podręczniki na następnym rozdziale, a gdy się okazało, że cały podręcznik był już przerobiony – posadziłam z dwóją tego, kto to powiedział, i kazałam czytać treny Kochanowskiego, a gdy się okazało, że były omówione w ubiegłym roku – posadziłam z dwóją tego, kto to powiedział, i sięgnęłam po ostatnią deskę ratunku, która zawsze działała: „Dyktando!”, a gdy się okazało, że nie można zrobić dyktanda na lekcji matematyki – posadziłam z dwóją tego, kto to powiedział, i wróciłam do pokoju nauczycielskiego po klucz do właściwej sali. Nigdy nie pozwoliłam sobie udowodnić, że byłam nieprzygotowana.

A taki Borewicz, w dodatku nieżyjący, myślał, że mi zarzuci nieprzygotowanie?!

Jemu musiałam jednak odpuścić. Dobry był z niego chłop, ale też nie w każdym odcinku, a policja w ostatnich latach na polecenie przełożonych lubiła od czasu do czasu przyłać kobietom. Mimo że nigdy bym o to Borewicza nie podejrzewała, to kto wie, czy gdyby znalazł się w nieodpowiednim towarzystwie i miał możliwość, to nie poraziłby genitalia kogoś w podziemiach wrocławskiej komendy.

Dzięki jego oszczerczemu oskarżeniu przyszedł mi jednak do głowy całkiem niezły pomysł. Musiałam szybko znaleźć wśród nich kogoś naprawdę niekompetentnego. W ten sposób odebrałabym im moralny mandat do oceniania mojej pracy. Nie powinnam mieć z tym większego problemu, ponieważ z racji wykonywanego przez lata zawodu to właśnie ja nabyłam specjalną moc. Moc wyczuwania nieprzygotowania!

Wstałam, wyprostowałam się i splótłszy ręce za sobą, przeszłam nieśpiesznie na koniec sali.

– No to zobaczymy, co my tutaj mamy – powiedziałam, powoli potęgując napięcie.

Potem przechadzałam się pomiędzy biurkami, spoglądając to na pracę jednego, to na pracę drugiego. Zapadła taka cisza, że słyhać było jedynie miarowy stukot moich obcasów. Nawet karteczki przestały szeleścić. Powietrze zgęstniało, czas zwolnił, a w ukradkowo posyłanych spojrzeniach czaił się strach.

– Mogę do łazienki? – spytał ktoś niepewnym głosem, podnosząc wcześniej rękę.

– Nie! – odpowiedziałam, okazując tym bezwzględność i okrucieństwo.

Nagle zatrzymałam się, dając do zrozumienia potencjalnej ofierze, że już ją namierzyłam. Choć oczywiście jeszcze tego nie zrobiłam, ale dzięki takiej właśnie sugestii strach wzrósł do poziomu, który już nie każdy potrafił wytrzymać. Potrzebowałam kilku sekund, żeby wyłowić kandydata. Lub kandydatkę...

Drobna, siwiuteńka siedziała w rogu. Pewnie byśmy się nawet nigdy nie spotkały. Głowę miała pochyloną, licząc zapewne, że będzie wyglądała na zajętą pracą, ale ja wiedziałam, że się po prostu ukrywa. Dawne autorytety uczyły, że słabszym trzeba pomagać, dzisiejsze, że słabym należy dokopać.

– Co pani tam tak chowa?! – Spadłam na nią niespodziewanie niczym śnieg w połowie stycznia.

– Ja? Nic? Dlaczego pani pyta? – odpowiedziała, spokojnie odwracając się w moją stronę.

Nagle jej łagodny wzrok zmienił się całkowicie, ale nie, zgodnie z moim oczekiwaniem, w przestraszony, a we wrogi. Zmrużyłam oczy i pochyliłam się, próbując wyglądać na jeszcze groźniejszą, ale i to nie pomogło.

– To pani? – zapytała nieprzyjaznym głosem.

Było to oczywiście bezsensowne pytanie, co mogłam oczywiście odpowiednio wykpić, gdyby nie fakt, że i ja ją poznałam.

– Pani Szaflarska?! – zawołałam radośnie. – Jakże się cieszę, że pani nie żyje!

– Wzajemnie!

Miałam na myśli to, że dzięki temu mogliśmy się spotkać, ale jak już palnęłam, to nie było większego sensu odkręcać. Nasz wiek miał tę piękną zaletę, że o wszystkim prędzej czy później się zapominało.

– Nigdy pani tego nie zapomnę! – wycedziła przez zęby.

– Niby czego? – spytałam. – Jestem pani wielbicielek!

– Może i jest pani wielbicielek, ale z pewnością wyłącznie samej siebie!

– To niewykluczone – przytaknęłam, doceniając jej przenikliwość.

– Ale dlaczego to wzbudza w pani takie emocje?

– Podawała się pani za mnie.

– Ach, to... Nic nie poradzę, że jesteśmy do siebie podobne. Aczkolwiek wydaje mi się, że jestem nieco wyższa. Mogłaby pani wstać? Sprawdziłybyśmy.

– Jeszcze czego! Po tym, jak perfidnie wykorzystywała pani moje dobre imię dla osiągnięcia własnych korzyści? Nie ma pani pojęcia, ile przez nią miałam problemów – kontynuowała tyradę. – Ile musiałam wyjaśniać, że to nie ja, szukając taniego poklasku, rozdawałam na ulicy autografy, wyłudzałam poczęstunki i wpraszałam się na bankiety! Przecież pani nawet odbierała rzeczy, które pożyczyłam moim przyjaciołom!

Patrzyłam na nią, uważnie gładząc się po czole.

– Zaskoczyłam panią? – spytała. – Myślała pani, że nikt się nie dowie?

– Nie, wszystko w porządku. Gładzę się tylko po czole, bo wyszła pani taka okropna zmarszczka, że aż się przestraszyłam, że mogłabym mieć podobną.

– Z panią nie da się wytrzymać, cholera jasna! – wybuchła nieoczekiwanie.

Gdy tylko zorientowała się, co zrobiła, zakryła ręką usta, ale rzecz jasna, było już za późno. W całej sali nastała grobowa cisza.

– O, moja droga! – oburzyłam się święcie. – Co to za słownictwo?! Niech się pani hamuje! Myślałam, że trafiłam do porządnego miejsca!

Spojrzałyśmy dyskretnie na resztę sali. Bez wątplenia wszyscy odjęli jej punkty za niesportowe zachowanie. Jak dla mnie był remis. Ale przewaga moralna była raczej po mojej stronie. Ona też musiała tak to odebrać, bo poczerwieniała, usiadła na swoim

miejscu, odwróciła się i sięgnęła po kolejną karteczkę ze swojego stosiku.

Ja też wróciłam do siebie, bo wyczułam, że nie ma sensu w tej chwili prosić o autograf.

Nie było czym się przejmować. Początki bywają trudne, ale na pewno jakoś sobie poradzę. Popracuję, urządzę się, może zalegalizuję pobyt, przejdę na socjal i jak trochę odżyję, to na spokojnie zaplanuję ucieczkę. Jakoś to będzie. Najważniejsze, że jestem w lepszym miejscu, a tu chyba aż tak nie pilnują.

Wzięłam się więc spokojnie do pracy.

– Panie kolego – zwróciłam się do Borewicza.

– Tak? – odpowiedział, nie przerywając pracy.

– Co to jest ten przegląd życia? Coś ciekawego?

– Nic takiego.

– Tak myślałam.

Uśmiechnęłam się na odczepnego i wzięłam do ręki pierwszą karteczkę ze stosiku.

– Obejrzycie i krótko omówcie całe pani życie lub najważniejsze fragmenty.

– Obejrzymy?

– Tak, to całkiem przyjemna podróż.

Jak dla kogo.

Dobrze więc. Plan pozostawał aktualny. Należało uciekać. Przy czym nie miałam już tyle czasu, ile sądziłam. Lepiej było nie czekać do weryfikacji życia.

Rozdział 4

Mały żółty domek, a za nim mostek. Ależ to oczywiste. Było mi miło, ale teraz żegnam państwa serdecznie i do zobaczenia za kilka lat, może dłużej.

Rozejrzałam się. Nikogo nie było. Poszłam w kierunku domku. Mały, drewniany, przyjemny, żywy kolor. Trochę za mały. Pewnie bez pozwolenia na budowę. Za nim niewielki trawnik otoczony krzewami i drzewami owocowymi, na środku kamienna ścieżka. Poprowadziła mnie do wygiętego w łuk drewnianego mostka. Dalej lasek, dziwnie gęsty i schodzący ku jakiemuś zagłębieniu terenu. Szło się niewygodnie, ale nie narzekałam. Podążałam ku wolności, która przecież była najważniejsza, a każdego, kto próbował uszczęśliwić nas na siłę, należało się przecież wystrzegać. Ale jakaś ścieżka, do jasnej cholery, mogłaby być!

Dno porośniętej lasem niecki było zamglone, przez co kilkakrotnie się potknęłam. Mam nadzieję, że o wystający korzeń, bo naprawdę sceneria była mocno przesadzona i wychodziła nieco poza konwencję, do której przyzwyczało mnie lepsze miejsce. Wiszące gałęzie przypominały szpony pracownicy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, grube konary zaś – masywne uda sprzedawczyni mięsa z bazaru pod Halą Banacha. Z pewnością bym się bała za życia.

Ulgę poczułam, dopiero gdy teren znowu zaczął się wznosić. Zarośla rzedyły, mgła również. Zmieniło się także powietrze. Może zaraz będę na ziemi? Taka skarpa? Może to Łazienki Królewskie albo park w Powsinie. Lepiej nie, bo stamtąd miałabym fatalny dojazd.

Po chwili z resztek mgły wyłoniły się ogromne drewniane skrzynie. Pierwsza wypełniona była czarną ziemią, każda kolejna podobnie, ale z coraz większą domieszką gnijącej zieleniny. Przeszłam obok i wydostałam się na chodniczek pomiędzy korytami zbitymi z grubych bali przypominających podkłady kolejowe. W nich równe grządki jakiejś hipstersko-celebryckiej zieleniny. Dalej niewielka szklarnia, stawik, wiklinowy komplet wypoczynkowy.

Wszystko to przypominało precudowną wystawę hipermarketu budowlanego.

Ale nią nie było. Daleko przed sobą dostrzegłam świetlistą postać, na której widok nogi się pode mną ugięły. Tylko raz w życiu doświadczyłam czegoś podobnego, gdy w dwa tysiące dziesiątym na Marszałkowskiej minęłam się z Piotrem Kraśko. Jego majestat był oszołamiający. Nie widziałam co prawda w oddali siwobrodego mężczyzny spoglądającego dobrotliwym wzrokiem, ale wyraźnie czułam, że cała przestrzeń była wypełniona jego nieograniczoną i bezwarunkową miłością i akceptacją. Zbliżała się, powodując we mnie przyływ radości i błęgiego ciepła. Gdy była blisko, zobaczyłam, że jest kobietą.

– A ty co tu robisz? – spytała, chrupiąc rzodkiewkę.

Przez dłuższą chwilę nie byłam w stanie nic odpowiedzieć, aż w końcu zebrałam myśli. Czy to faktycznie była rzodkiewka, może rzodkiew albo kalarepa?

– Po prostu przechodziłam niedaleko, więc wpadłam – odpowiedziałam.

– W takim razie miło mi cię widzieć.

– Jeżeli już jestem, to chciałam się zobaczyć ze Stwórcą.

– Po co?

– Chciałabym wyjaśnić pewne nieporozumienie. Nie zajmę mu dużo czasu.

– W takim razie mów, skoro już jesteś.

– Wolalabym osobiście.

– Właśnie rozmawiasz ze Stwórcą. Ale co się stało z twoimi nogami? – spytała, patrząc na mnie.

– Nic, wszystko w porządku. Po prostu klęczę – odpowiedziałam nieco zaskoczona.

– Po co? Jakbym chciała, żebyś chodziła na kolanach, to nie dawałabym ci łydek i stóp.

– Tak przecież wypada.

– Kto ci takich głupot nagadał? Wstawaj. Sama siebie upokarzasz? W jakim celu?

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nic nie mów. Po prostu myśl. Jesteś zrodzona z miłości, żeby być silną, piękną i kochającą. Owszem, doświadczać życia

i pokonywać przeszkody, ale nie tworzyć ich sobie samej. No dobrze, ale z czym przychodzisz?

– Chciałabym wrócić na ziemię – powiedziała unizonym głosem.

– Nie ma problemu – odpowiedziała kobieta.

– Tak?

– Oczywiście. Zaraz to załatwię.

– O, jak się cieszę!

Natychmiast padłam na kolana, ale widząc jej karcące spojrzenie, jeszcze szybciej się podniosłam.

– Nie wiem, jak dziękować.

– To zwykła rzecz. Wybierz sobie postać. Właśnie rodzi się hinduski chłopiec. Możemy trochę wstrzymać skurcze, żebyś zdążyła.

– Hinduski chłopiec? – spytałam zdziwiona.

– O co ci chodzi? To świetny naród. Nie mów, że nie oglądasz filmików, jak robią basen z błota i patyków. Powinnaś się cieszyć. Chyba że wolałabyś urodzić się i dorastać w Kurdystanie, na Białorusi albo w Polsce i pójść do szkoły za ministra Czarnka?

– Nie o to chodzi. Jestem wdzięczna za propozycję, ale ja chciałabym wrócić jako ja. Do mojego Henryka. Jak i kiedy miałabym go odnaleźć jako hinduski chłopiec lepiący... nieważne albo Kurdyjka, Białorusinka czy polskie dziecko za ministra Czarnka?

– Nie. Takich rzeczy nie robimy. Niestety. Miałaś swoje życie. Zrobiłaś, co zrobiłaś. Nie poszło ci najgorzej, skoro jesteś tu z nami. My jesteśmy z ciebie zadowoleni. Sporo piłaś, ale przez ostatnie siedem lat rządziło Prawo i Sprawiedliwość, więc to się nie liczy.

– Ale ja tęsknię.

– Za kim? Przecież jesteśmy tu z tobą.

– Naprawdę bardzo się z tego powodu cieszę, ale ja tęsknię za Henrykiem.

Spojrzała na mnie.

– Możesz przecież tego swojego Henryka odwiedzać. Nie powiedzieli ci? Tylko musisz chwilę poczekać, bo mamy jakąś awarię czy coś, bo nie możemy cię znaleźć w systemie.

– A nie, nie, to nie jest takie pilne. – Zaczęłam się wycofywać. – Nie ma co sobie robić kłopotu.

– Może Jezus pozmieniał jakieś ustawienia w komputerze. – Pokręciła głową. – Kiedy on dorośnie?

– To ja może nie będę zabierać czasu – powiedziałam, chcąc już iść, zanim zaczniesz zadawać niewygodne pytania lub sama sięgnie do wnętrza mojej nagiej duszy po odpowiedzi.

– Nie ma sprawy. Mamy całą wieczność.

– Lepiej nie marnować czasu. Zawsze się wydaje, że na wszystko wystarczy, a potem przelatuje między palcami nie wiadomo kiedy.

– Nie rozumiem.

– A nic, to tylko tak...

– Powiedz, co miałaś na myśli.

– Absolutnie nic. Naprawdę. Przecież w siedem dni cały świat to naprawdę szacunek. Nawet jeżeli nie wszystko by się udało.

– A co się nie udało?

– To ja już pójdę. Przypomniało mi się coś.

– Zostań.

– Żelazka nie wyłączyłam!

Przeskoczyłam grządkę i nie oglądając się za siebie, czmychnęłam pomiędzy skrzynie z kompostem. Matko jedyna, żeby tylko ta Bóg nie okazała się zbyt dociekliwa i pamiętliwa. Zeszłam ze wzniesienia w spowite mgłą, gęstniejące z każdym krokiem zarośla.

Wyprawa nie była do końca nieudana. Brygadzysta nie powiedział mi przecież wszystkiego.

– Ach, to – westchnął, gdy wpadłam do jego biura niczym rozsierdzony inkasent gazowy i wyłuszczyłam mu to, czego się dowiedziałam. – Skąd pani o tym wie?

– Niech pan nie zmienia tematu. Wiem i już. Niech pan zaraz zeznaje, co to za możliwości, albo złożę na pana oficjalne zażalenie.

– No dobrze. Jest pewna, nazwijmy to, luka...

– Dalej, dalej, proszę mówić. Przecież nie mamy całej wieczności.

– Istnieje możliwość nawiedzania we śnie.

– We śnie? Jaja pan sobie ze mnie robi?! Ja chcę wrócić żywa, prawdziwa!

– Nie ma takiej opcji.

– Nawet na chwilę?

– Zwłaszcza na chwilę.

– Dlaczego?

– To niebezpieczne. Ludzie na widok duchów strasznie się boją. Niektórzy dostają pomieszania rozumu.

– A ci, co snują się wieczorami po cmentarzach, to mogą? Gdzie sprawiedliwość?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Nie wie pan? A sąsiadkę z parteru to kto niby odwiedził, jak nie jej zmarły mąż?

– Widziała go?

– Pewnie, że nie. W bajki pan wierzy? Po desce klozetowej poznała, bo tylko on zostawiał podniesioną.

Westchnął ciężko i popatrzył na mnie.

– Nawiedzanie we śnie jest bardzo popularne. Sen, medytacja to tradycyjne drogi komunikacji pomiędzy ludźmi a wiecznymi duszami, energią, miłością. Nie czuła pani nigdy, że we śnie wszystko jest piękniejsze, emocje mocniejsze, miłość większa, tęsknota silniejsza? Chętnych na coś takiego jest cała masa. Przeważnie chcą odwiedzać swoich żyjących małżonków. Rozpisaliśmy zatem przetarg i kupiliśmy od pakistańskich programistów dwa scenariusze: koszmar senny oraz sen erotyczny. W przypadku niektórych par jest to praktycznie to samo.

– Co pan ma na myśli?

– Nieważne. W każdym razie większość pań szybko zmienia zdanie i zaczyna odwiedzać znacznie młodszych mężczyzn. Nawet chłopców. Nie możemy nad tym zapanować. Może i pani to planuje?

– Nawiedzić we śnie młodego mężczyznę? – Uśmiechnęłam się sama do siebie. – Z pewnością doznałby pomieszania rozumu.

– Czyli zostajemy przy mężu?

– Nigdy bym męża nie zdradziła! Nigdy! Przenigdy!... No chyba że z Dawidem Ogrodnikiem. Wtedy bym musiała. Ale zaraz, zaraz, nie tak prędko, a może by tak faktycznie kogoś trochę postraszyć? – spytałam, uśmiechając się szyderczo.

– Kogo ma pani na myśli?

– A jednego takiego. Proszę się nie martwić. Zasłużył.

– Wiem, o kogo chodzi, ale kolejka jest na dwa lata. I pomieszania rozumu doznał już dawno. Chyba pani doskonale o tym wie.

– Faktycznie.

– Nic by się wielkiego nie stało, ale jeden taki, nieładnie tak mówić o zmarłym, że tak to ujmę, niezbyt lotny, pomylił opcje i wybrał sen erotyczny. A chcąc naprawić swój błąd, wybrał ją jeszcze wielokrotnie. Nikt by tego nie wytrzymał. Zapewniam panią.

– Widział to pan?

– Raz spojrziałem... może dwa, ale żałuję. Proszę mi wierzyć. Masakra.

– Może zatem zostanę przy mężu – stwierdziłam.

– Bardzo dobrze – przyznał. – Rozumiem, że scenariusz erotyczny. Zapiszę panią.

– Jak to mnie pan zapisze?

– Też jest kolejka.

– Do Henryka?

– Oczywiście.

– A niech go...!

Wysłałam oburzona, trzaskając drzwiami. Do czego to podobne?! Gdy wróciłam do sali, zobaczyłam, że cała opustoszała. Tętniące do niedawna życiem miejsce zmieniło się w martwą biurową pustynię. Niemożliwe? Poczekali, aż wyjdę, i poszli razem na piwo po pracy? Jeżeli tak, to mimo że nie piłam piwa, bo było gorzkie i wzdymające, musiałam ich odnaleźć i do nich dołączyć. Mieszkając wśród drobnych pijaczków na Miedzianej, poznałam mnóstwo niskich lotów dowcipów barowych, umiałam naśmiewać się, przechwalać, obgadywać, przepychać do baru, awanturować, innymi słowy, byłam idealną towarzyszką na wieczorne wyjście po pracy!

A poza tym nie było mowy, żeby oni mieli się dobrze bawić, a ja nie!

Ruszyłam w stronę wyjścia, ale zanim doszłam do przeszklonych drzwi prowadzących do holu, zobaczyłam wąski pasek światła pod drzwiami znajdującymi się między łazienką a salą konferencyjną. Były to drzwi do kuchni.

Podeszłam, stąpając bezszelestnie po taniej biurowej wykładzinie. Chwilę nasłuchiwałam przebijającej się przez drzwi burzliwej dyskusji.

Tak! – pomyślałam podekscytowana, to musiał być właśnie ten legendarny, uświęcony rytuał kawowy, podczas którego każdy

członek w celu potwierdzenia przynależności do prastarej korporacyjnej wspólnoty prezentuje wiedzę na temat egipskich kurortów, biegów ulicznych lub przełajowych oraz marek, modeli i pojemności silnika jedynych wartych kupna samochodów. A wszystko tylko po to, żeby po wysłuchaniu kolejnych opowieści lider zespołu z łagodnym, pełnym zrozumienia i bezwarunkowej miłości uśmiechem mógł wypowiedzieć magiczne zaklęcie: „To jeszcze nic, bo ja...”, a wtedy wszyscy wpatrzeni w niego i czujący doniosłość chwili wysłuchują jego cudownej opowieści i nabierają przekonania o tym, jakie pospolite były ich wakacje, banalny wyczyn sportowy, a silnik samochodu pali nedorzecznie dużo przy tak beznadziejnym przyśpieszeniu.

Nie mogąc uwierzyć w to, że wezmę w tym wszystkim udział, nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi. Po czym bez chwili namysłu wyrzuciłam z siebie wszystko, co wiedziałam:

– Najlepszy jest all inclusive w Old Palace Resort w Hurghadzie z animacją dla dzieci w języku polskim, nurkowaniem z żółwiami i delfinami wśród raf koralowych, wycieczkami do krainy faraonów i tajemniczymi piramidami, już od dawna najtrudniejszy nie jest Bieg Rzeźnika, chociaż kiedyś był mocny, ale teraz to piknik dla leszczy z korporacji i trzeba cisnąć formę, i robić Iron Mana, najlepsze silniki zawsze robił Saab, dopóki nie kupili go Chińczycy, reszta to szajs dla frajerów, a co najważniejsze, to Lewandowski powinien dostać Złotą Piłkę France Football dwa tysiące dwadzieścia, bo miał znacznie lepszy rok niż Messi!

W kuchni stało co najmniej kilkadziesiąt osób. Wszyscy trzymali kubki z kawą i patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. Nikt się nie odezwał. Nikt nie ośmielił się choćby spróbować nawiązać rywalizacji. Wygrałam!

– Dziękujemy pani za te informacje. – Borewicz otrząsnął się pierwszy. – Ale rozmawialiśmy właśnie o realizacji planu za trzeci kwartał i... jak by to powiedzieć...

– Trochę nam pani przeszkodziła – wtrąciła się z łagodnym uśmiechem Szaflarska.

Popatrzyłam na nich zdziwiona.

– Ja mam w to uwierzyć? – zaśmiałam się.

– Nie musi pani – kontynuował Borewicz. – Nie uczestniczyła pani w pracach zespołu w zamykanym właśnie okresie rozliczeniowym, więc nie czuliśmy się w obowiązku wciągania pani w szczegóły jego rozliczenia.

– Nie do wiary – stwierdziłam, szczerze zaskoczona. – Jacy wy jesteście nudni. Naprawdę szkoda marnować taki talent do przemawiania, gdy w Polsce brakuje tylu anestezjologów.

– Pani wybaczy, ale mamy jeszcze do omówienia kilka wskaźników, a potem sprawozdanie dla zarządu.

Matko jedyna. Zwątpiłam, czy dobrze robiłam, broniąc się przed pójściem do piekła.

Praca była niezwykle wyczerpującą czynnością. Rację mieli ci, którzy mówili, że należy znaleźć sobie taką, która będzie również życiową pasją, a wtedy ani jeden dzień nie będzie wypełniony. Gorzej, jeżeli stałoby się inaczej, i realizując tę swoją pasję dzień w dzień pod presją czasu i efektywności, zniechęciłibyśmy również i ją. Co by się wtedy stało? Ważne, żeby mieć w życiu niespełnione marzenia, jak również ważne, żeby mieć co nienawidzić. I najlepiej starać się tych rzeczy nie łączyć.

Zadowolona z poczynienia ciekawej pośmiertnej mądrości życiowej szłam drogą w stronę mojego domu.

Starałam się nie patrzeć na domy stojące wzdłuż drogi. Nawet najmniejszy z nich byłby lepszy niż moja szopa. Tyle że miałam bliżej do morza, ale to już nie miało znaczenia. Po co samej iść na plażę? Kto ma wspomnienia z plaży, na której jest sam?

Zesłam z równej i otoczonej zielenią drogi na ścieżkę prowadzącą między stertami butelek, opon i desek aż do mojej rudery. Dłuższą chwilę mocowałam się z drzwiami, mimo że miałam niemałe doświadczenie z tandetną stolarką.

W końcu udało mi się otworzyć zdezelowane wrota mojego niebiańskiego pałacu. Przywitał mnie jedynie mdły alkoholowy fetor. Opadłam na zapadnięty fotel. W powietrze wzbijała się chmura kurzu, wyraźnie widoczna w przedzierających się przez brudne

szyby ostatnich pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca. Gdyby chociaż było co poczytać... Spojrzałam na półkę. Sami nieżyjący autorzy. Żadnych nowości. Obok książek kilka zdjęć. W tym jedno znajome. Borewicz. Pewnie fanka.

Podeszłam do okna, żeby oderwać wzrok od brzydoty i popatrzeć na coś ładniejszego, ale przez brudną szybę nie mogłam dojrzeć nawet ściany domu sąsiada, a co dopiero zajrzeć do środka, żeby zobaczyć, co się u innych dzieje.

Nie mogłam przecież dopuścić do zerwania więzi społecznych. Wzięłam więc z szafki serwetkę, która wydawała się w miarę czysta, zmoczyłam ją w lekko brązowej wodzie leżącej z kranu i przetarłam szybę. Niestety, niewiele to pomogło. Brud się rozmazał i szyba wyglądała jeszcze gorzej.

Nie było wyjścia. Musiałam albo wziąć się do porządnego sprzątania, albo wyjść na podwórko i stamtąd mieć bezpośredni widok na dom sąsiada. Chwilę się wahałam, ale w końcu zebrałam się w sobie i podjęłam trudną, ale mądrą decyzję. To przecież niezdrowo tyle siedzieć w domu.

Wieczór nie był zbyt chłodny ani zbyt ciepły. Taki bez wyrazu.

Dom Borewicza cechowała zachodnia architektura, którą niezwykle ceniłam. W szczególności okna od podłogi do sufitu, otwarte przestrzenie oraz wannę w salonie. Było to bardzo pomysłowe, praktyczne i ułatwiające życie. Zwłaszcza takim ciekawym świata ludziom jak ja.

Stałam w zacisznym miejscu pod krzewem i skoro nie musiałam się nigdzie wspinać, rozpoczęłam nienarzucającą się, jednostronną wizytę u sąsiada. Miałam ze sobą ciasteczko i kubek zimnej co prawda herbaty, ale jak na przyjście bez zapowiedzi, to i tak czułam się dostatecznie ugoszczona.

Borewicz, zgodnie z moimi przewidywaniami, nie robił nic zbyt interesującego. Trochę pomajsterkował, trochę poczytał, pooglądał stare albumy ze zdjęciami. Generalnie się nudził. Ale to w porządku. W głowie się nie mieści, co ludzie potrafią robić

wieczorami! A przy tym wygadują na innych. Nigdy do końca nie wiadomo, kto jest kim. A niebezpiecznego szaleńca nie zawsze da się łatwo rozpoznać. Można mu się przyglądać, ale do głowy mu się przecież nie zajrzy. Strach na ulicę wychodzić. Wszędzie się taki człowiek może czaić. Choćby i pod domem. Zgroza.

Tymczasem Borewicz wziął jakieś opasłe tomiszczce, udał się małym korytarzykiem w głąb mieszkania, a następnie szybko zniknął za drewnianymi drzwiami, zapewne prowadzącymi do pomieszczenia, które zdegenerowana zachodnia architektura na szczęście pozostawiła w ukryciu. Niezbyt ładnie z jego strony, tak wychodzić i zostawiać gościa. Ale trudno liczyć, że każdy człowiek potrafi się zawsze stosownie zachować.

Nie było go jednak na tyle długo, że poczułam się nieco opuszczona, mimo że po latach spędzonych w małżeństwie wiedziałam, iż mężczyzna w łazience musi swoje posiedzieć, to jednak on trochę nadużył tego czasu, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że podobno nie miało się tutaj ziemskich dolegliwości.

Zdecydowanie przekroczył granice dobrego smaku i jako zaniepokojona, troskliwa sąsiadka czułam się w obowiązku wkroczyć i ewentualnie podjąć stosowne działania. Opuściłam zaciszne miejsce, a że skończyłam już ciasteczka oraz herbatę, to nadszedł najwyższy czas na rozejrzenie się za jakimś poczęstunkiem.

Zapukałam do drzwi od strony tarasu, ale – rzecz jasna – nie otworzył. Nie chcąc sprawiać nadmiernego kłopotu, otworzyłam sobie sama.

Wnętrze niewysokie, w ciemnym drewnie. Skandynawski klimat. Można by powiedzieć, że przyjemne, jeżeli ktoś czuł się w obowiązku przypodobać właścicielowi. Ja nie byłam taka małostkowa ani też nie przejmowałam się zbytnio konwenansami.

– Dobry wieczór, panie sąsiedzie, wszystko w porządku?! – zawołałam.

Nie odezwał się. Może się wstydził.

– Halo, panie sąsiedzie, wiem, że pan tam jest!

Cisza.

Obeszłam wszystkie pomieszczenia, żeby sprawdzić, czy coś przypadkiem mu się nie stało. Przedpokój jasny, ale wąski, lustro duże, ładne. Kuchnia przestronna, z dużym oknem, ale bez firanek,

szafki nowe, białe, blat kamienny, ładny, zlew z żywicy, praktyczny, płyta indukcyjna. Niby tak nowoczesnie, a nawet gazu nie dociągnęli.

Rzuciłam jeszcze tylko okiem, czy może nie zemdłał w sypialni. Szafa duża, ładna, cztery koszule białe, cztery w prążki, jedna z niedoprasowanym kołnierzykiem. Dwie marynarki, jeden garnitur, cztery pary butów. Szału nie ma. Łóżko duże, ale materac za miękki, pod materacem ani grosza, pusto także pod poduszką.

Mógł zatem być tylko w jednym miejscu.

Czy coś mogło mu się stać? Zawału chyba nie dostał, skoro już nie żył. Jeżeli liczył, że uratuję go z opresji, wchodząc do łazienki, to się grubo pomylił. Choć to, że nie miałam zamiaru go ratować, nie oznaczało, że nie mogłam zobaczyć, co się z nim stało.

– Uwaga, wchodzę! – zawołałam, ostrzegając, w razie gdyby okazał się przytomny.

Nie odezwał się i tym razem.

Nacisnęłam klamkę i zajrzałam do środka, nie kryjąc oczywiście obrzydzenia sytuacją, do której zostałam zmuszona.

O cholera!

W łazience nie było nikogo.

A to już było chamstwo.

– Co to ma znaczyć?! – zawołałam zdenerwowana. – Gdzie się pan ukrywa?!

Poirytowana przeszukałam jeszcze raz cały dom, komodę, szuflady z bielizną, w której miał poprzecierane na piętach skarpetki nie do pary, a gdy już nawet znalazły się dwie takie same, to we wzorek z Supermanem. Przejrzałam album ze zdjęciami i z żalem musiałam przyznać, że nie przypominał gwiazdora jako dziecko, a wyglądał raczej na nieco zbyt pulchnego maminsynka. Na innym już jako dorosły pozował z jakąś kobietą i małą dziewczynką. Nie zdążyłam obejrzeć do końca, gdy nagle usłyszałam głos.

– Co pani tu robi? – spytał Borewicz.

Odwróciłam się i zobaczyłam go stojącego w salonie.

– Szukam pana – odpowiedziałam zaskoczona. – A co niby miałabym robić?

– Szuka mnie pani w lodówce?

– A co to, mało wariatów na świecie?

- No to mnie pani znalazła. O co chodzi?
- Teraz to pan niech mi powie, o co tu chodzi.
- Jak to?
- Skąd się pan tu wziął?
- Jak to skąd? To mój dom.
- Ale przed chwilą zaglądałam do salonu i tam pana nie było.
- Co też pani mówi?
- Wszedł pan do łazienki i zniknął.
- Bzdura.
- Tak było. Jak pan to wyjaśni?
- Byłem w łazience.
- Zajrzałam. Nie było nikogo.
- Bo wyszedłem.
- Niemożliwe, proszę pana.
- Tak właśnie było.

Popatrzyłam mu w oczy, kiwając znacząco głową, jak wtedy, gdy prosi się męża, żeby choć raz się przyznał, a on wciąż i wciąż powtarza, że to niemożliwe i że na pewno nie zasikał deski.

- Może jednak zechce się pan podzielić swoim sekretem?
- Jakim znowu sekretem?
- Nie wiem, niech pan mi powie.
- Proszę opuścić mój dom.
- Dobrze, wyjdę.
- Dziękuję.
- Zaraz po tym, gdy wyjaśni mi pan, gdzie był.

Westchnął przeciągle.

- No to sobie pani poczeka.

Rozsiadł się w fotelu, rozłożył gazetę i zaczął czytać.

- Tę stronę już pan czytał.

Wściekły cisnął gazetą o stół.

- Czego pani ode mnie chce?!

- Ma pan może jakieś ciasteczka? Skoro pan już pyta.

Wydał z siebie coś pomiędzy warknięciem a przeciągłym jękiem.

- Proszę wyjść!

Wyjść? Czemu nie? Kiedyś trzeba zacząć nad sobą pracować. Wprowadzać zmiany. Rozwijać się. Lepiej późno niż wcale, ale śmierć jest dobrym bodźcem do podejmowania nowych wyzwań.

Zdecydowałam, że ten jeden raz to ja mogę zakończy konflikt i wyjść.

– Dobrze, już wychodzę – oznajmiłam.

Odetchnął.

– Odprowadzę panią do drzwi – powiedział.

– Jeżeli można, skorzystałabym jeszcze tylko z łazienki. Nie wyobraża pan sobie, jakie ja mam u siebie warunki.

Spojrzał na mnie z niezadowoleniem, ale wskazał kierunek, w którym miałam się udać.

Borewicz z pewnością znał drogę ucieczki. Gdzie indziej by zniknął i po co tak zaciekle broniłby tajemnicy? Droga ucieczki musiała wieść z jego łazienki, a sekret ukryty był zapewne w książce. Tę natomiast miałam już schowaną pod bluzką.

Uśmiechnęłam się do Borewicza na pożegnanie, zamykając za sobą drzwi. Nie tak znowu miło było poznać, ale oczywiście będę wspominać. Wieczna dusza, energia wszechświata, bezwarunkowa miłość i akceptacja... Bardzo interesujące, ale to nie dla mnie. Było bardzo miło i pouczające, wiele się nauczyłam, może się jeszcze kiedyś spotkamy w kolejnym projekcie. Pobyt generalnie uznaję za ciekawy, godny polecenia, ale jednak trochę przydługi. Czas był na mnie najwyższy. Pora uciekać!

Dopiero teraz, gdy byłam tu sama, bez niego, zrozumiałam, ile czasu marnowaliśmy tam, na ziemi, na rzeczy zupełnie nieistotne. Gdybym mogła cofnąć czas, na pewno nie obejrzałabym ani jednego zachodu słońca.

Tyle chciałam powiedzieć Henrykowi. Mam nadzieję, że pozmywał naczynia.

Przekreśliłam skobelek i rozpoczęłam poszukiwania ukrytego przejścia. To nie mogło być trudne. Zajrzałam do kabiny prysznicowej, za lustro, do szafki, schowka, nawet do pralki. Nic... Opukałam kafelki, obmacałam każdy centymetr podłogi. Niczego nie znalazłam.

Gdzie on ukrył to przejście? Przekartkowałam książkę, szukając jakiejś wskazówki pomiędzy stronami. Niczego tam nie było.

Usiadłam, żeby zebrać myśli i zastanowić się, co dalej. Przyjrzałam się jeszcze raz książce. Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe*.

W końcu doceniona. Otworzyłam na pierwszej stronie i odruchowo zaczęłam czytać.

Po ledwie kilku zdaniach coś poczułam! Zadziała się prawdziwa magia! Wyraźniejsza i silniejsza, niż mogłabym się spodziewać. Wszystko dookoła zmieniło się w zupełnie inne miejsce, widziałam obrazy, słyszałam głosy, czułam zapachy, ludzie chodzili wokół mnie, wszystko było tak wspaniale rzeczywiste, że aż nie wiedziałam, kiedy prawie skończyłam pierwszy rozdział...

Zaraz, zaraz, co to ma znaczyć?! Ja po prostu czytałam książkę! Oszustwo!

Nie pozostawało mi nic innego, jak rozprawić się z Borewiczem, który już pukał zniecierpliwiony do drzwi, ale mimo ogarniającej mnie wściekłości nie miałam w zwyczaju przerywać książki w pół zdania. Postanowiłam dokończyć akapit, choć nie było mi łatwo, gdy pomyślałam, że jednak nie zobaczę mojego Henryka. Przestraszyłam się, że zapomnę, jak on w ogóle wygląda. Przywołałam w pamięci tę jego chudą gębę, aż tu nagle jak nie huknie! Jak nie zatrząsie! Mało się sedes nie rozleciał!

W miejscu podłogi pojawił się wirujący tunel, do którego – rzecz jasna – nie miałam najmniejszego zamiaru wchodzić. Niestety, nikt nie zapytał mnie o zdanie.

– Chwila! Co to za obsługa?! – zawołałam. – Powariowali, czy co?! Niech chociaż zaznaczę, na której stronie skończyłam czytać!

Jakość podróży była zdecydowanie poniżej wszelkich standardów, wliczając w to nawet te polskie, i tak bardzo niskie. Ciasno, duszno, ciemno i trzęsło jak jasna cholera. Coś pomiędzy przepychaniem się kanałem rodzym a podróżą pociągiem do Zakopanego w szczycie sezonu.

Zalet trudno było się dopatrzeć, co nie oznaczało, że nie należało próbować. Nie było zbędnych przystanków ani męczących pasażerów jedzących przez całą drogę kanapkę z jajkiem. Na koniec wylądowałam w wiadomym miejscu we własnej łazience, zupełnie jakbym poprosiła taksówkarza o odwiezienie do domu, a na pytanie, gdzie konkretnie, odpowiedziała: „Do łazienki”.

Nogi się pode mną ugięły na widok naszego domu. Moje miejsce, moje przedmioty. Niestety, żadnego nie mogłam dotknąć. Jak w jakimś filmie z lat dziewięćdziesiątych. Co to miało znaczyć? Później się nad tym zastanowię. Pewnie trzeba uruchomić jakieś dodatkowe opcje. Wysłałam przez uchylone drzwi łazienki.

Narażałam się, poświęcałam, śpieszyłam się, jak tylko mogłam, żeby jak najszybciej go zobaczyć. A on co?!

Siedział, jak gdyby nigdy nic, przed telewizorem i pochłaniał ciasto! W dodatku taki wielki kawał sobie ukroił? Przecież to na dwa trzeba było podzielić! A jak dla gości, to nawet na cztery!

Jak on mógł się tak obżerać?! I to po dwudziestej?! Co on, nie wie, jak to potem zgaga pali, nie można zasnąć i się człowiek kręci z boku na bok, i co chwila wstaje wodę pić, ale to nic nie pomaga, tak boli?!

– Już idziesz?! – spytał, nie odwracając nawet wzroku od telewizora.

– Jak to idę? Henryk, przecież dopiero przyszedłam – odpowiedziałam zaskoczona.

Stałam przed nim, wyciągając do niego ręce. On nawet na mnie nie spojrział. Gniewał się, że się nie odezwałam, że dotarłam, że u mnie wszystko w porządku, jedzenie smaczne, zakwaterowanie znośne, że są spacer, podwieczorki, wycieczki i bogaty program kulturalny?

– Henryku, co się z tobą dzieje? – spytałam. – Już o mnie zapomniałeś?

– Nie słyszę!

– Dlaczego tak krzyczysz?

– Nie słyszę, telewizor zagłusza!

– Henryk, spójrz w końcu na mnie. Wróciłam...

– Nic nie mówiłam! – Dobiegł damski głos z kuchni.

– Musiało mi się zdawać! – odpowiedział Henryk, dalej patrząc w telewizor.

Chciałam coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Wszystkiego się spodziewałam: że zapomni podać paprotkę, że nie umyje szklanki, nie opuści deski, że... ale nie tego, że będzie beze mnie oglądać telewizję, obżerając się sernikiem... Tfu! Miałam na

myśli, że następnego dnia po mojej śmierci sprowadzi sobie babę do naszego domu!

Jak mógł mi coś takiego zrobić?

Ja, dobra, kochająca i wyrozumiała przemierzałam wszechświaty, narażając bogatą i uprzywilejowaną część ludzkości na zagładę, żeby tylko znowu z nim być, gotować, sprzątać i pracować. Przecież on nawet nie wiedział, do której przegródki w pralce wsypuje się proszek, a do której wlewa się płyn albo gdzie w naszym domu, od ponad czterdziestu lat, stoi żelazko.

A on co? Już się tego dowiedział? Od innej? Co on sobie myślał? Że ona sobie z naszą pralką poradzi?! W czasach, gdy Henryk ją kupował, to w miejscu Galerii Mokotów krowy się pasły!

Cała się trzęsłam z nerwów, ale musiałam pójść i ją zobaczyć. Mówiła z pełną gębą, mimo to po głosie słychać było, że młodsza.

Zajrzałam do kuchni.

Sodoma i gomora!

Stała tyłem i coś szykowała.

Każdą herbatę parzyła z nowiuteńkiej saszetki. Bizancjum, cholera jasna! Herbata taka mocna, że aż ciemna! Przecież musiał czymś popijać takie kawały ciasta, które mu pokroiła. Szybko zaczynała go sobie tuczyć!

Przyjrzałam się jej przez chwilę. Młodą sobie przygruchał! W dodatku jaką dupiastą!

Jeszcze nie mogłam w to uwierzyć. Próbowałam zebrać myśli. Uspokoić się.

To nie jego wina. Omamiła go. Po mojej śmierci był w szoku. Nie wiedział, co robi.

Na co ona liczyła? Nie miała przecież u Henryka żadnych szans. Nawet jeżeli nie był symbolem wierności, to żaden mężczyzna by na taką nie spojrział. Musiałby być całkowicie ślepy, głuchy, pozbawiony gustu i resztek rozumu! Doprawdy nie wiem, skąd miałyby się taki na ziemi wziąć! Może w lesie wychowany albo w jakiejś dżungli z dzikimi! Nie obrażając dzikich.

Ale co to?!

Cwana wiedźma!

Od razu przyprowadziła swojego bachora!

Ależ był wielki, tłusty i niezgrabny, a rozczochrane włosy zasłaniały mu całą gębę.

Nie wierzyłam, że Henryk mógłby się nabrać na takie tanie sztuczki.

Dzieciak wszedł do salonu jak do siebie, a Henryka w ogóle to nie zdziwiło. Musiał już wcześniej tu być...

Wtedy pierwszy raz zwątpiłam. Musieli się dobrze znać. Ile w takim razie to mogło już trwać?

Henryk wstał, odstawił talerzyk z ciastem, spojrzął na niego, objął go i ucałował.

– Trzymasz się, dziadku? – spytał dzieciak Henryka.

– Staram się – odpowiedział Henryk. – Nie martw się o mnie.

Dziadku? Dopiero wtedy, otrząsnąwszy się z amoku, dostrzegłam w chłopaku znajome rysy. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak dawno nie widziałam własnego wnuka. Ależ wyrósł, zmeźniał, wyprzystojniał i miał teraz taką modną fryzurę. Z tą zawadiacko postrzępioną grzywką wyglądał jak jakiś młody celebryta. Daniel Olbrychski albo Jan Englert!

Synowa natomiast... w sumie niewiele się zmieniła. Jakoś się trzymała.

Nawet jeżeli chciałabym powiedzieć o niej coś miłego, to nie było już na to czasu, bo po chwili zaczęli się schodzić ludzie. Oczywiście wszyscy z wyjątkiem mojego syna! Zrobiło się małe zamieszanie. Każdy najwyraźniej czuł się w obowiązku obściskać i ucałować Henryka. Zupełnie jakby to on umarł, a nie ja! Ale on taki już był. Tylko o sobie myślał. Zawsze brylował w towarzystwie i nie trzeba było długo czekać, żeby wymyślił coś, czym mógł zwrócić na siebie uwagę.

Oho! A nie mówiłam? Dokładnie w tym momencie się rozplakał. Jakie to było przewidywalne i żałosne. A najgorsze, że najwyraźniej wszyscy się na to nabrali.

– Nie martw się, dziadku – pocieszał go wnuk, przysiadając się obok i głaszcząc go po ramieniu niczym dziecko. – U babci na pewno wszystko w porządku. Pewnie chciałyby zjeść z nami ten sernik.

Henryk się uśmiechnął. Przecierając łzy i całując młodego w głowę.

Co za bezczelność! Skąd mu to w ogóle przyszło do głowy? W życiu nie zjadłabym sernika tej zołzy. Po moim trupie! Przecież ona w ogóle nie potrafiła nic w kuchni zrobić, a zwłaszcza ciasta upiec. Tyle pchała jajek i masła, że się w głowie nie mieści. Niemal tak jak w przepisie! Magda Gessler się znalazła! Ja bym z tej ilości pięć blach zrobiła.

Jeżeli sernik miałyby się składać głównie z sera, to po co byłyby przepisy, programy kulinarne czy książki kucharskie? Wystarczyłoby rzucić dwa kilo sera na stół, ale czym tu się wtedy chwalić. Pieczenie wymaga wyobraźni, kreatywności, znajomości wielu nauk: chemii, fizyki, a zwłaszcza ekonomii.

Świat zmierza w stronę weganizmu i dlatego sernik musi się składać głównie z ziemniaków.

– Jeżeli istnieje niebo czy jakiegokolwiek życie pozagrobowe – przemówił Henryk uroczyście do ludzi poruszonych najwyraźniej jego łzami. – Jeżeli istnieją anioły, święci i sam Bóg wezwałby ją do siebie... – Na te słowa wszyscy wzniesli wzrok, zupełnie jakbym z nie wiadomo jakiego powodu miała znajdować się na suficie. – ... to mam nadzieję, że Zofia będzie dla nich cierpliwa, wyrozumiała i łagodna.

Miałam dosyć tego cyrku! Cholera jasna!

Nagle światło w pokoju zamigotało, a telewizor na moment przygasł.

– Co to było?! – Synowa podskoczyła ze strachu.

Wnuk wyjrzał przez okno.

– W mieszkaniach naprzeciwko pali się bez zakłóceń – stwierdził.

– Więc co to?

– Duch?

O jasna cholera, zawsze bałam się duchów. Nawet iść w nocy do łazienki. Zawsze budziłam Henryka, żeby patrzył, jak idę, czy coś nie wyłazi z ciemności.

– Może to babcia – powiedział wnuk z szeroko otwartymi oczami.

– O ja pieprzę! – Zakryłam ręką usta, słysząc własne słowa. Zapomniałam, że tu można przeklinać.

Ale było już za późno.

Huknęło! Błysnęło! A w przedpokoju wystrzeliły korki!

Po chwili wszystko ustało i słychać było tylko cichutkie dzwonienie. Nikt nie miał pojęcia, co to mogło oznaczać w świecie duchów. Okazało się, że nic. To tylko łyżeczka w trzęsącej się dłoni Henryka dzwoniła o szklanę.

Tego się nie spodziewałam.

– To ja? Ja to zrobiłam? Miałam moc? – mówiłam sama do siebie.

Oto narodziła się superbohaterka. Nazwę się Superemerytką. Miałam moc zakłócania sygnału telewizyjnego oraz wywalania korków. Nikt już w spokoju nie obejrzy ulubionej telenoweli. Będę postrachem elektrowni!

– Co też pani najlepszego narobiła? – spytał czerwony ze złości Borewicz, który nie wiadomo skąd pojawił się za moimi plecami.

– Widział pan, jaką mam moc? – odpowiedziałam przejęta, patrząc z fascynacją na swoje ręce.

– To nie żadna moc.

– Nie widział pan, co tu się działo.

– Niestety, widziałem, i obawiam się, że nie tylko ja. To nie było nic nadzwyczajnego. Jeden z pani bliskich musiał zwrócić się do pani z intencją skontaktowania się, a pani w sposób nierozważny, i co najgorsze, niekontrolowany zmanifestowała swoją obecność.

– O co pan się tak wścieka?

– Na pani poziomie rozwoju duchowego nigdy nie wolno dopuścić do takiej sytuacji.

– A to niby dlaczego?

– Jak to dlaczego? Mogło się stać coś złego. Mogła pani nawet kogoś zabić!

Zabić? O czym on, u licha, mówi? Jak to zabić? I to kogoś z własnej rodziny? Moich ukochanych? Jakież to byłoby bezsensowne marnotrawstwo zainwestować tyle czasu, energii i pieniędzy, tyle stania w kolejkach, przy garach, sprzątaniam, praniem, karmieniem w kogoś, kogo potem miałyby się zabić. Nawet jeżeli niemal codziennie miało się na to wielką ochotę!

– Wracamy – rozkazał Borewicz, chwytając mnie za rękę.

– Zwariował pan? – zaśmiałam się. – Ja nie wracam.

– Musi pani.

– Nie ma mowy. Nie po to uciekłam. Zostaję.

– Pani nie wie, co mówi. Znikąd pani nie uciekła. Nawiedziła pani tylko swoich bliskich.

– Niech pan mnie puści.

– Nie wie pani, co robi. Zagraża im pani.

Zanim dym ze spalonych korków opadł, Borewicz chwycił mnie za rękę, zdecydowanym ruchem pociągnął do łazienki, otworzył *Księgi Jakubowe* i zanim się obejrzałam, trzask-prask!, i z powrotem znalazłam się w tunelu.

Rozdział 5

Podróż powrotna, jeżeli tak to można określić, bo odbywała się z ziemi w zaświaty, nieco przypominała samą śmierć. Była cicha, spokojna i można nawet powiedzieć, że na swój sposób oczyszczająca i przyjemna. Co prawda nie pozbywałam się już ciężącego i wiecznie kłopotliwego ciała, ale i tak ogarnęło mnie uczucie uwolnienia i niezwyklej lekkości. Podczas wznoszenia do światła miałam, podobnie jak za pierwszym razem, to dziwne wrażenie powrotu do domu, do miłości, źródła i Boga. Osoby mniej uduchowione z pewnością będą czuły z tego powodu pewien dyskomfort, ale z czasem można się do tego przyzwycząić.

Matko jedyna, co się ze mną dzieje? No żeby wpadać w taką niezdrową melancholię i opowiadać takie ckliwe dyrdymały? Przesiąkłam tą miłosną propagandą albo w końcu, nie daj Boże, zaczęłam się starzeć!

– Co pani sobie wyobrażała?! – Borewicz brutalnie przerwał moje duchowe rozważania, gdy wylądowaliśmy na jego klozecie. – Jak pani mogła zrobić coś takiego?!

– Cieszę się, że się pan w końcu zrobił bardziej rozmowny – odpowiedziałam. – Ale widzi pan, tym razem to ja nie mam nastroju do pogaduszek.

Ruszyłam w kierunku drzwi wejściowych, bo mimo że byłam nieco skołowana, to nie miałam najmniejszej chęci pozostać w towarzystwie tak nieżyczliwego i męczącego człowieka.

– Pani nie zna konsekwencji – kontynuował.

– A pan zna?

– Wynik zespołu poleci na łeb.

– Przeze mnie?

– A przez kogo?

– Przecież ten wynik to jakaś farsa. Nie da się go uratować.

Popatrzył na mnie zafrasowany.

– To nie znaczy, że należy go torpedować. Wszystko trzeba robić w odpowiedni sposób. Inaczej panią namierzą. Ale pani narobiła

kłopotów.

– Zrobiłam tylko raz to, co pan zapewne robił wielokrotnie. Niech pan nie będzie śmieszny.

Wyszłam.

Nie byłam na niego zła. Nie zaprzętałam sobie w ogóle głowy jego dramatycznymi krzykami. Mimo że ucieczka mi się nie udała, nie miałam żadnego innego pomysłu na wydostanie się stąd i wyglądało na to, że pozostanę tu na wieki, to nie mogłam przestać myśleć o tym, co powiedział znacznie wcześniej, na samym początku. Okazało się, że nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Coś jednak z tych kryminałów wyniósł dla siebie.

Mogłam kogoś zabić, powiedział... a to szelma!

Że też sama na to nie wpadłam!

Kto mógł podejrzewać, że do czegoś takiego dojdzie, ale najwyraźniej nie pozostawało mi nic innego, tylko właśnie to zrobić. Zabić Henryka!

I znowu będziemy razem.

Genialne!

Nie dość, że na wieczność bez możliwości ucieczki, to jeszcze na cudzym utrzymaniu. Może z czasem wystaralibyśmy się o jakieś dwa pokoje z kuchnią. Ja nadal pracowałabym w Sekcji Dobrych Uczynków, Henryk zajmowałby się domem. Jakbyśmy się już urządzili, to może sprowadzilibyśmy syna, oczywiście z synową. Wnuk niech jeszcze sobie pożyje. To dobry dzieciak. Nie wiem, jak im się to udało. Może szkoła go wychowała.

Doskonały pomysł. Tak zrobię... Tylko jak konkretnie miałoby to wyglądać?

Wprawdzie nieraz miałam zamiar Henryka ukatrupić i niejednokrotnie wyobrażałam sobie, jak stłukę go po jego powrocie do domu, ale teraz byłoby to zadanie znacznie trudniejsze. Co innego zabić w afekcie, a co innego zaplanować na zimno. Co innego zabić z nienawiści, a co innego z miłości!

Dodatkowo sprawa komplikowała się z braku odpowiednich narzędzi. Nie mogłam go dotknąć. Musiałam zatem posłużyć się kimś, kto mógłby wykonać za mnie czarną robotę. Mógł się z tym jednak wiązać mały problem. Ludzi, którzy zobaczyli lub usłyszeli ducha, paraliżuje strach. Niektórzy mogą dostać pomieszania

rozumu, trafić do zakładu dla umysłowo chorych. Lekarze bardzo nie lubią, gdy pacjenci opowiadają podobne historie. Zwłaszcza psychiatrzy. Nafaszerują nieboraka lekami, położą w łóżku i będzie tak leżał nie wiadomo do kiedy. A to przecież ogromny koszt i wysiłek znaleźć lub wykształcić dobrego fachowca.

A nie daj Boże, jeżeli taki spartoliłby robotę? Matko jedyna! Jeżeli na przykład Henryk poradziłby sobie z napastnikiem i pokonał go, ratując życie? To byłoby straszne. Tyle pracy poszłoby na marne!

Nie mogłam na to pozwolić. Musiałam sama się tym zająć. Osobiście dopilnować, by umarł skutecznie, ale też niezbyt boleśnie. Wiadomo przecież, że mężczyźni są niezwykle wrażliwi. Kobieta, gdy ją coś boli, to robi zakupy, ugotuje obiad i jeszcze posprząta. Mężczyzna natomiast od razu osiąga stan agonalny, a jedyne, co może robić, to leżeć, stękać i oglądać Ligę Mistrzów.

Jak w takim razie zabić Henryka? Mojego Henryczka? Nic prostszego. Przecież on jest taki łatwy do zabicia. Sam by się zabił nawet obieraczką do ziemniaków. Może nawet już nie żyje. A jeżeli jakimś cudem przeżyje te parę chwil beze mnie, to nic prostszego. Wystarczy tylko, że załatwię przeniesienie ulewy znad Niemiec do Polski. Dach naszej kamienicy przecieka, odkąd jeden czyściciel sadysta podający się za spadkobiercę poprzedniego właściciela chciał go zdemontować, żebyśmy się wyprowadzili. My oczywiście chcieliśmy się wszyscy wyprowadzić, ale nikt nie miał dokąd. Nieważne. Nie w tym rzecz. Mnie nie zalewało, bo mieszkałam na drugim piętrze, więc mi ten kamienicznik mógł nagwizdać. No ale grubej z czwartego to już bardziej zalażł za skórę, dlatego gdy wszedł na dach, to mu zabrała drabinę. Przesiedział tam dobre cztery godziny, zanim koledzy po niego przyjechali. Okropne zbiry. Bardzo się zdenerwowali, ale jej nie ruszyli. Za wielka. W każdym razie w środku nocy, bo cała akcja demontażu była potajemna i nielegalna, nie mogli znaleźć żadnej drabiny, żeby tamtego zdjąć. Poszli więc do dozorczy. Nie wiem, gdzie oni się wychowywali, ale najwyraźniej nie byli w ogóle zaznajomieni z etosem pracy dozorczy. Otóż dozorca był nim jedynie w godzinach od ósmej do dwunastej, co drugi dzień od dwunastej do szesnastej. W sobotę od dziesiątej do dwunastej, a w niedzielę nie był dozorcą ani przez chwilę. Poza wyznaczonymi godzinami był zwykłym człowiekiem, szarym

przechodniem, na niewielu rzeczach się znał, rzadko o czymś wiedział, ludzi słabo kojarzył, a z nieznanymi nie rozmawiał, bo w dzisiejszych czasach to strach.

No i oni poszli do niego po tę drabinę. W środku nocy. Nie otworzył im, rzecz jasna, ale sami sobie otworzyli. Okazało się bowiem, że każdy z nich oprócz zawodu oficjalnie wykonywanego był też ślusarzem amatorem, w dodatku bardzo sprawnym. No ale dozorca drabiny nie miał. Bo gdyby oni przyszli w godzinach pracy, toby od dozorczy tę drabinę dostali, ale tak, to skąd zwykły człowiek miałby wziąć taką wielką drabinę, i to w środku nocy?

Gruba z czwartego o tym wie i po drabinę nie pójdzie. Choćby dlatego, że ma swoją, którą zwinęła właśnie tamtemu czyścicielowi. Nie przyznała mu się przecież, że to ona. Bo może by się jednak w kilku zdecydowali zaryzykować i spróbować zrobić jej jakąś krzywdę. Kto ich tam mógł wiedzieć, jakie jeszcze skrywali talenty i zdolności.

Drabinę ma, ale co z tego, skoro i tak po niej nie wejdzie. Zawsze z byle błahostką pierwsze co robiła, to chodziła po ludziach. A mojego Henryka darzyła szczególnym uznaniem. Oj, przydałby się jej taki chudy, co się wszędzie wciśnie i wszędzie wlezie. No a Henryk głupi, to ludziom zawsze chętnie pomagał. I tym razem też na ten dach na pewno wejdzie. Podobnie jak podczas ostatniej ulewy, kiedy całe Śródmieście zalało, a wiatr papę zerwał, mimo że kamieni było nakładzione. Wszedł wtedy, wejdzie i teraz, jak się będzie lało strumieniami na klatkę schodową i ludziom do mieszkań.

Plan był, tylko czy nie zbyt skomplikowany i czy nie zawierał zbyt wielu niepewnych elementów? Czy to wszystko mogło się wydarzyć?

Oczywiście, że plan był doskonały. Żadnego ryzyka. Wszystko więcej niż pewne!

Pozostało wdrożyć go w życie.

Musiałam szybko zrobić w sekcji dobre wyniki, nauczyć się tego i owego od Borewicza, bo widać, że on mimo swoich oczywistych ograniczeń nieźle sobie w zaświatach radzi, i w kluczowym momencie, gdy Henryk stałby już w środku ulewy na dachu, trachnę elegancko piorunem albo dwoma, może dla pewności trzema, bo

i tak kamienica do niczego nie będzie nam już potrzebna, i zadanie wykonane.

Atmosfera w sekcji nieco oklapła po tym, jak wynik na tablicy świetlnej spadł o kilka tysięcy. Mnie jednak to nie złamało. Nie zamierzałam się poddawać. Czekałam tylko, aż przyjdzie mi chęć i energia, żeby w końcu tę pracę zacząć.

– Niech się koleżanka nie martwi – odezwał się siedzący przy sąsiednim biurku Edward Gierek.

– Ja się nie martwię – odpowiedziałam.

Wtedy uśmiechnął się dobrotliwie, wstał i podszedł do mnie dostojnym i uroczystym krokiem.

– My koleżance pomożemy – kontynuował.

– My, czyli kto? – spytałam, bo był sam.

– No my – wyjaśnił, wskazując na siebie.

– Wy, czyli pan?

– Tak, właśnie my.

To powiedziawszy, pracowicie i względnie uprzejmie pokazał mi, jak on swoją pracę wykonuje. Poświęcił na to tyle czasu, że byłoby nieuczciwe, gdyby nie został po godzinach i tego nie odpracował.

Pokrzepiona dawką wiedzy i doświadczenia, ale przede wszystkim tym, że Gierek zrobił za mnie z pół dziennego urobku, rzuciłam się w wir obowiązków. Byłam zmotywowana, pełna energii i wiary w cel. Robota paliła mi się w rękach tak, że aż bałam się dotknąć papieru, żeby się nie zapalił. Pewnie dlatego ludzie ślinili opuszki palców.

Pracowałam nieustannie, nie licząc przerwy na kawę, po której niezwłocznie przystępowałam ponownie do pracy. Kawy nie piłam, ale pobyt w kuchni był częścią współczesnego rytuału pracy. Niegdyś ludzie gromadzili się w kręgu wokół magicznego ognia, teraz schodzili się do elektrycznego czajnika. Tam w zastępstwie najstarszego mędrca, snującego mityczne opowieści tłumaczące sens życia i budowę wszechświata, przemawiał przełożony lub inny, najwyższy rangą pracownik. Tylko on zyskiwał odpowiedni posłuch

i mógł swobodnie serwować dowcipy, z których wszyscy się śmiali, lub opowiadać anegdoty, które wszyscy podziwiali. Kiedy ktoś inny zabierał głos, natychmiast rozpoczynała się walka o dominację polegająca na licytacji osiągnięć. A gdy aspirujący do przyciągnięcia uwagi zebranych uczestniczył w biegu, przełożony też biegł, ale w górach. Kiedy ten pierwszy również biegł w górach, to przełożony w Himalajach, jeżeli tamten też w jakichś wysokich, to ten drugi biegł, niosąc na plecach ранnego kolegę. Gdy ktokolwiek wspomniał o wakacjach w nadmorskim kurorcie, to przełożony był na wyspie, a jeśli tamten też był na wyspie, to przełożony na wulkanie, a gdyby tamten miał jeszcze cokolwiek do dodania, to przełożony ewakuował całą wioskę, wyniósł z pożaru staruszkę, potem wrócił po psa i jeszcze pomagał strażakom gasić. I wszystko to sam, bo kolega przecież skręcił kostkę podczas biegu.

Pokrzepiona plemiennymi rytuałami, otoczona radością i bezwarunkową miłością wracałam na stanowisko pracy. Wtedy z drugiego końca sali spoglądał na mnie Brygadzysta, dając mi do zrozumienia, że za długo czerpałam z nieskończonego, błogosławionego i przepełnionego miłością źródła mądrości. Powinnam więcej pracować nad sobą, żeby nie pozwalać sobie na taką zachłanność.

Zabrałam się więc szybko do karteczek. Czytanie ich było nudne i co jakiś czas zdarzały się literówki, ale to mi aż tak nie przeszkadzało... może trochę... z czasem coraz bardziej... nie do wytrzymania!

Nogi mi puchły, kręgosłup bolał, a kark palił żywym ogniem. Do tego jeszcze te cholerne literówki! W końcu zaczęłam je podkreślać: „Drogo pani”, „proszę”, „grzech”, „wybuczenie”, „pożądanie”, „Baże”, „prośła”, „pakuta”, „błaśania”. Wypisałam błędnie wstawione litery: o, s, z, u, k, a, ł, a, ś.

„Oszukałaś”! Ha! Kto by pomyślał? Ale mi się ładnie ułożyło.

Zawsze byłam dobra w łamigłówki. Poświęciłam jeszcze kilka minut i z kolejnych dwóch karteczek uzyskałam: „stara wiedźmo”.

No proszę, jak to można sobie dodatkowo umysł poćwiczyć... Zaraz, zaraz... Co to ma znaczyć?

A niech to szlag!

Czyżby to było to, co myślę? Dopadło mnie niczym bohatera tragicznego?

Naraz usłyszałam głos, jakby z tyłu głowy.

– Nie widziała pani kolegi?

Matko jedyna, co się dzieje? To przerażające! Słyszę głosy! Mówią do mnie wyrzuty sumienia?!

– Muszę z nim koniecznie porozmawiać – dodał głos.

A niech to cholera. To tylko Brygadzysta. A już myślałam, że tracę zmysły. Ależ to by było piękne. Aż mi się gorąco zrobiło.

– Co pan mówił? – spytałam.

– Szukam pani kolegi.

– A czy pan nie widzi, jaka jestem zmotywowana, nastawiona na cel i jak ciężko pracuję?

Przyjrzał mi się badawczo.

– Widzę.

– Mało zmysłów nie tracę.

Pokiwał głową.

– Doceniam.

– Do łazienki nie mam kiedy pójść i chyba dostałam odleżyn.

– Pracuje pani dopiero piętnaście minut. Ile karteczek pani opisała?

– A idź pan do diabła!

– Do jakiego diabła? – Rozejrzał się nerwowo. – Co pani mówi? Do jakiego diabła?

Odwrócił i odszedł szybkim krokiem. Kapitalista.

Borewicz wrócił do biurka, dopiero gdy Brygadzisty nie było już od kilku minut.

– Skąd właściwie, proszę pana, biorą się te pytania? – spytałam go dyskretnie.

– Jak to skąd? – odpowiedział jak zwykle pytaniem na pytanie.

– No przecież ludzie na ziemi nie piszą do nas.

– Ach, to. – Wsparł się na łokciach i wyciągnął nieco w moją stronę, co oznaczało, że albo powie coś mądrego, albo że go tyłek

rozbolał. – Ludzie zastanawiają się nad czymś, kładą się spać z problemem, w modlitwie proszą o radę albo radzą się kogoś, na przykład przyjaciółki. W różnej formie trafiają na drugą stronę.

– A skąd się biorą te karteczki? Mnie to pasuje, ale przecież to chyba trzeba było już dawno skomputeryzować.

– Tak, ale to są drogie rozwiązania.

– Jakie tam drogie, proszę pana. Minister sprawiedliwości też nie miał pieniędzy, ale system Pegasus do podsłuchiwania telefonów sobie kupił. Zabrał z funduszu na rzecz ofiar przestępczości. Skoro sam minister tak zrobił, to musiał chyba dobrze zrobić. Sam prokurator generalny nie miał nic przeciwko temu. Możliwe, że dlatego, że to ta sama osoba, ale nie wolno krytykować, jeżeli nie zna się szczegółów. W każdym razie ja rozumiem, że skoro ktoś jest ofiarą przestępstwa, to nic mu już bardziej nie zaszkodzi, jak nie dostanie pieniędzy, których i tak nie miał.

– Mamy dział białoruskich hakerów, który uzyskuje dostęp do wielu zasobów elektronicznych, ale to dopiero jest testowane. Było kilka wpadek. Może pani słyszała: WikiLeaks, Sowa i Przyjaciele, maile od Dworczyka.

– Faktycznie, coś mi się obilo o uszy.

– Najłatwiej poszło z systemem spowiedzi online. Ale nie było tam zbyt wiele wartościowego contentu. Większość to kopiuj-wklej z internetu. Cały czas najlepsze prośby trafiają do nas w formie analogowej i są przepisywane.

– Kto to robi?

– Ci z gorszego miejsca.

– Poważnie? To jak współpraca z wrogiem.

– My byśmy tego nie wytrzymali. Brygadzysta miał jakieś znajomości w gorszym miejscu i zakładając naszą sekcję, wpadł na pomysł, żeby puszczać im narzekania ludzi z całego świata. To świetny pomysł. A że zarząd funduszu zwraca tylko część kosztów torturowania, to tam też szukają cięć. Do tego dochodzi dramatyczne przeludnienie gorszego miejsca. To wymusza opracowywanie tańszych i wydajniejszych metod. Wyobraża sobie pani gotowanie w smole miliardów istot? Jaka to by była emisja dwutlenku węgla? A skoro oni już tego słuchali, to czemu nie mieliby zapisać. Kto teraz, proszę pani, lubi pisać? A jak już piszą,

to raz dziennie Brygadzysta odbiera karteczki. My piszemy odpowiedzi i przekazujemy dalej. Do Działu Snów, Przypadków i Gier Losowych i tak dalej.

– Naprawdę słuchają wszystkich narzekań świata?

– Zgadza się. Pamięta pani, jak się tak żarliwie modliła o to, żeby szlag trafił jednego sąsiada?

– Ja? A skąd?! – oburzyłam się. – O czym pan mówi? Dlaczego miałabym coś takiego robić?

– W porządku. To nic takiego.

– Może mi się zdarzyło raz czy dwa.

– Nie ma się czym przejmować, to jedna z najczęstszych modlitw.

Rozdział 6

Wkrótce potem Brygadzysta zaprosił mnie do salki konferencyjnej.

– Nie musi pani nigdzie jechać – powiedział. – Czas i energia takiego pracownika jak pani są zbyt cenne. Pozostali uczestnicy spotkania będą online.

– Naprawdę muszę? Czy nie wystarczy, że jak to się mówi, całe życie przeszło mi przed oczami? – spytałam w nadziei, że jeszcze uda mi się uniknąć zdemaskowania.

– A przeszło pani? – spytał.

– Oczywiście! Całe, caluteńkie, w najdrobniejszym szczególe. Cudowne dzieciństwo, szkoła podstawowa skończona z wyróżnieniem, liceum pełne kreatywnych pomysłów i pracy na rzecz społeczeństwa, ambitne studia, lata pracy w chwalebnym zawodzie i na koniec zasłużony odpoczynek. To było wspaniałe. Dziękuję za to i już sobie pójdę, nie chcę panu zabierać czasu.

– To fascynujące – stwierdził, łapiąc mnie za rękę. – Pierwszy raz słyszę, żeby komuś faktycznie całe życie przeszło przed oczami.

Uśmiechnęłam się do niego przekonywająco.

– Później zajmiemy się wyjaśnieniem tego fenomenu – stwierdził.

– A teraz zapraszam na projekcję.

– Nie jestem gotowa. Może innym razem?

– To nie potrwa długo. Będzie pani zadowolona. Życie na ziemi jest krótkim epizodem, podczas którego nasza wieczna dusza zbiera doświadczenia. Przegląd i analiza ostatniego ziemskiego życia mają na celu zebranie, omówienie i przemyślenie tych doświadczeń. Dzięki temu krótki czas na ziemi zostaje lepiej wykorzystany.

– Nikt mnie nie informował, że te zajęcia są obowiązkowe, a ja jestem bardzo zapracowana. Nie mam nawet kiedy pójść do łazienki.

– Może pani pójść w każdej chwili, a przegląd życia został przygotowany specjalnie dla pani. Żeby pogodziła się pani z odejściem z ziemi i powrotem do źródła wiecznej energii i miłości.

– To bardzo dobrze. Dziękuję. Już się pogodziłam.

– Kiedy to nastąpiło?

– Właśnie teraz, po drodze.

– Bardzo się cieszę. Tym bardziej przegląd życia nie powinien być już dla pani kłopotliwy. Dusze przybywające z ziemi, tak jak pani, zabiegają o tę możliwość. Zdarza się, że osoby po wyjątkowo traumatycznych przejściach niechętnie do nich wracają, ale dajemy im odpowiednio dużo czasu i wsparcia, żeby razem przez to przejść.

– To się dobrze składa. Ja właśnie należę do tych osób. Może życie to był koszmar. Potrzebuję mnóstwo czasu i wsparcia, zanim choćby o nim pomyślę. Było mi bardzo miło. Dam znać, gdy będę gotowa. Do zobaczenia.

Odwrociłam się, ale zanim zdążyłam odejść, chwycił mnie za ramię.

– Pozwoli pani, że to my o tym zdecydujemy. Wszyscy już czekają. Zapraszam na prezentację.

– To pomyłka – zaprotestowałam, próbując się wyrwać. – To nie moja wina. Stałam w swojej kolejce. To wszystko przez nią.

Nie wiem, skąd miał tyle siły, ale nie zdołałam się uwolnić. Otworzył drzwi i mimo że złapałam się futryny, wepchnął mnie do środka.

– Proszę się nie opierać – wycedził przez zęby. – Już i tak jesteśmy spóźnieni. Zdaje się, że zaczęła się już dorosłość.

– Dorosłość?! O matko! Nie wystarczy samo dzieciństwo? Dzieci są takie słodkie.

No to koniec. Od razu zobaczą, że to nie ja. Jeżeli jeszcze tego nie odkryli. Nie dość, że cały plan pójdzie na marne, to jeszcze relegują mnie pewnie do gorszego miejsca, bez wygod, z kwaterą w pawilonie bez windy, może nawet ze wspólną łazienką, i nie wiadomo, na jakie towarzystwo się trafi. Może na samych nierozmownych, wstających do łazienki lub chrapiących w nocy. Matko jedyna, tylko nie to!

– To kłamstwo! – krzyknęłam, wpadając niemal na środek sali.

Było to nieduże pomieszczenie bez okien. Prawie całą jego powierzchnię zajmował wielki, szary, nieładny stół otoczony pustymi krzesłami. Na blacie znajdował się tylko jeden laptop, nad nim podwieszony pod sufitem projektor rzucający na ścianę naprzeciwko obraz składający się z małych, podpisanych imieniem

i nazwiskiem główek oraz z większego obrazu będącego czymś w rodzaju filmu z czyjegoś życia.

No właśnie, czyjegoś... Obraz widać było z punktu widzenia bohaterki. Niech żyje pierwszoosobowa narracja!

– Niestety, nie zdołamy obejrzeć całego życia – stwierdził Brygadzysta – bo w tej chwili mamy natłok podobnych weryfikacji, a abonament pozwala nam oglądać tylko na trzech urządzeniach jednocześnie, dlatego przejdziemy teraz do ślubu.

– Oczywiście – zgodziłam się. – Ślub był piękny. Skromny, ale uroczysty. Krótka, podniosła ceremonia, trochę nerwów, mnóstwo wzruszeń. Potem wesele w kasynie wojskowym. Henryk był taki szarmancki i taki przystojny w mundurze. Nasze rodziny, oficerowie, toasty, przemówienia, było wspaniale, choć patrząc z perspektywy czasu, oczywiście mogło być lepiej.

Brygadzysta przycisnął guzik na pilocie i po chwili na ekranie pojawił się ołtarz, przed nim niewysoki, otyły ksiądz o czerwonej twarzy. Wspierał się o pulpity, a raczej trzymał się go, kołysząc się to na jedną, to na drugą stronę. Mówił mało składnie i co chwila zapominał kwestii, starał się to nadrobić rozczulającym uśmiechem. Potem zjawiał się pan młody w ciasnej marynarce i szerokich spodniach. Chyba też był pod wpływem. Nie dało się jednak tego jednoznacznie stwierdzić, bo zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, do kościoła wtargnęli mundurowi, odsunęli księdza na bok, a pana młodego po wygłoszeniu odpowiedniej formułki skuli i wyprowadzili na zewnątrz.

– Czy zechciałaby pani jakoś to skomentować? – spytał Brygadzysta, zatrzymując odtwarzanie.

– A dlaczego pan pyta? – odpowiedziałam nieco skonfundowana.

– Tak jak powiedziałem. Musi się pani pogodzić ze swoim życiem, z rzeczy bolesnych wyciągnąć wnioski, ale zaakceptować to, co się wydarzyło, i iść dalej. Na tym między innymi polega rozwój duchowy. Rozumie pani?

– Oczywiście, że rozumiem, dlaczego miałabym nie rozumieć?

– Choćby dlatego, że wesele też nie wyglądało tak, jak je pani opisała. Choć owszem, były rodziny, oficerowie i przemówienia, ale w areszcie i podczas odczytania aktu oskarżenia w sprawie nielegalnej produkcji i dystrybucji alkoholu.

Popatrzył na mnie, jakby chciał wybadać, czy dobrze się rozumiemy. Uśmiechnęłam się.

– Przejdźmy do pracy zawodowej – powiedział, przewijając materiał. – Proszę nie czekać, proszę mówić.

– No cóż... lata aktywności zawodowej nie były może najłatwiejsze, ale dawały także sporo satysfakcji. Wychowywanie i kształcenie młodych ludzi to jedno z najważniejszych wyzwań stojących przed społeczeństwem.

Tymczasem na ekranie ukazała się więzienna cela zastawiona piętrowymi pryzkami, na których siedziały młode kobiety o znudzonych i otępiałych spojrzeniach. Jedna paliła papierosa, inna robiła tatuaż koleżance.

Brygadzysta spojrzał na mnie znacząco.

– Nie wiem, czy jest sens iść dalej – stwierdził. – Pani Zofio, chyba widzi pani, że mamy z nią pewien kłopot.

– Doprawdy?

– Tak. Wypiera pani niektóre fakty, a swoje wspomnienia znacząco ubarwia. Obawiam się, że taki brak harmonii może zahamować pani dalszy rozwój duchowy.

– Czy to znaczy, że nie zdałam?

– Swoim życiem, zwłaszcza ostatnimi laty, zasłużyła pani zawiązką, inspirując przy tym kolejnych ludzi do czynienia dobra. Działając na rzecz potrzebujących, rozdając jedzenie...

– Jak to rozdając jedzenie?! – Aż się zachłysnęłam powietrzem. – Za darmo?!

Spojrzał na mnie.

– Za darmo, za darmo – potwierdził. – Pani płacze?

– Coś mi musiało wpaść do oka.

– To dobrze, że pani płacze. Proszę płakać. Niech pani nie kryje emocji. To dobra droga.

Podszedł zdecydowanie za blisko, naruszając moją strefę osobistą, i dziecinnym gestem poklepał mnie po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze, tylko zalecam dodatkowe zajęcia – stwierdził.

– Wiem, korepetycje.

– Można tak powiedzieć.

Wyglądało na to, że się wywinełam. Przeżyłam jeszcze chwilę grozy, oglądając kolejne sceny z życia kobiety z patologii, gdy po całonocnej libacji rano podeszła do lustra. Zamarłam, oczekując, że zaraz wszyscy uczestnicy spotkania zobaczą jej twarz. Na szczęście na pomazanej powierzchni ukazała się sina i opuchnięta gęba z nie do końca otwartymi oczami. Jak dla mnie, to przypominała brakujące ogniwo ewolucji, ale wśród uczestników spotkania nie wzbudziła szczególnych podejrzeń. Spojrzeli na mnie kolejny raz z dezaprobatą, ja uśmiechnęłam się niewinnie i przeszliśmy dalej.

Zastanowiłam się jednak, jak taka osoba miała znaleźć się w tak dobrym miejscu. Co więcej, jak Henryk, którego niebawem zabiję, miał tutaj do mnie trafić? Musiałam się tego dowiedzieć.

– No cóż – zaczął Brygadzysta. – Przejdźmy do podsumowania.

– Wiem, jak to wszystko wygląda – przerwałam mu. – Ale życie na ziemi wcale nie jest takie łatwe. Zwłaszcza w ostatnich latach w Polsce.

– Zgadza się, ale proszę nie być dla siebie zbyt surową. Zrobiła pani wiele dobrego dla innych. Chce się pani tym pochwalić?

– Ma pan na myśli rozdawanie jedzenia?

– To i wszystko inne. Nigdy nie odmówiła pani przygodnego seksu bez zobowiązań, napiła pani spragnionego, choćby był to niskiej jakości produkt fermentacji bez akcyzy. Nie zanieczyszczała pani powietrza, jeżdżąc samochodem, korzystała pani z transportu publicznego i co najważniejsze, nie piła pani wody z bezzwrotnych butelek.

Wróciłam do biurka w dobrym nastroju. No, może to za dużo powiedziane... po prostu wróciłam do biurka.

Spojrzałam na tego gbura Borewicza.

Nic nie powiedział.

Spojrzałam jeszcze raz.

Brak reakcji.

– No może wreszcie się pan zapyta? – zwróciłam się do niego.

– O co? – odpowiedział jak zwykle pytaniem na pytanie.

– Jak to o co? O to, jak poszła mi weryfikacja życia.

– Dobrze więc – westchnął, nie przerywając pracy. – Jak też pani poszła weryfikacja życia?

– Ujdzie – odpowiedziałam zdawkowo, bo co mu miałam odpowiedzieć, skoro to w ogóle nie była jego sprawa. – Ale dobrze, że pan pyta, bo nie uwierzy pan, kogo widziałam przy wejściu. Wyglądali przekomicznie, jak Trubadurzy.

– Z Krawczykiem w składzie?

– Nie.

Słyszając to, Borewicz bez słowa zanurkował pod biurko, a że nie było ono zbyt obszerne, to przyznaję, że poczułam się bardzo niekomfortowo z powodu naruszenia mojej osobistej przestrzeni.

– Można wiedzieć, co pana tak nagle do mnie przekonało? – spytałam, gdyż bardzo mnie zaskoczyła jego niespodziewana otwartość na zbliżenie.

Nie odpowiedział, co zapewne oznaczało, że wcale nie był zamknięty na ludzi, a jedynie nie lubił rozmawiać. Ja jednak, mimo chwilowej fascynacji tym nowym dla mnie zwyczajem, nie czułam się w najmniejszym stopniu gotowa na taki rodzaj niewerbalnych kontaktów i bliskości. Postanowiłam jednak uszanować jego awersję do konwersacji i o braku zgody na kontynuowanie pobytu pod moją częścią biurka poinformowałam go bez słów – obcasem.

Wyczułam jego dłoń, tak jak wyczuwa się stopę współpasażera w tramwaju, gdy chce się dać mu do zrozumienia, że mógłby się nieco przesunąć, i nacisnęłam ją z wymaganą siłą.

Przyznaję, że w swoim milczeniu był niezwykle konsekwentny. Jednak cicho jęknął, ale na tyle cicho, że nie usłyszeli go mili panowie, którzy ukłonili mi się i zatrzymali przy biurku.

Ich promieniujące uśmiechem twarze kontrastowały z naburmuszonym Borewiczem, którego niechcianą obecność i grubiańskie maniery musiałam znosić.

– Dzień dobry, szanowna pani – powiedział pierwszy z nich.

– Ujdzie – odpowiedziałam.

– Zastaliśmy kolegę?

– A jak się panu wydaje?

– Mamy dla niego bardzo ważne informacje – odezwał się drugi. – Oczekuje ich i byłby bardzo zawiedziony, gdyby się dowiedział, że

się minęliśmy.

Uśmiechnęli się obezwładniająco. Ich zabawne uniformy były doskonale dopasowane: szerokie spodnie wydawałoby się, że trochę za krótkie, za to marynarki wąskie, przydługie. Szyk porównywalny jedynie z mundurami dyżurnych ruchu warszawskiego metra.

– Pomoże nam pani? – spytał niższy.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Z wielką chęcią.

– Bardzo rozsądnie. – Drugi, jeszcze niższy, pokiwał głową.

– Proszę podać mi te ważne informacje – oznajmiłam. – A ja wszystko, słowo w słowo, przekażę temu panu.

Uśmiechnęłam się, jak tylko umiałam najpiękniej, wierząc, że i mnie uda się zrobić na nich tak dobre wrażenie, jak im na mnie. Zacisnęli zęby i odeszli, rzucając w moim kierunku zawiedzione spojrzenia.

Gdy kroki tamtych ucichły, Borewicz wychylił się, a potem powoli wyszedł spod biurka. W ogóle nie było po nim widać, że płakał.

– Przepraszam panią za tę chwilową niedogodność – powiedział, siadając na swoim miejscu.

– Samo przepraszam nie wystarczy.

– Przykro mi.

– Krzysztofowi Krawczykowi wydałabym nawet własne dziecko.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– A co dopiero pana. – Spojrzałam na niego spode łba. – Niech mi pan powie, jak stąd zwać.

– Nie ma takiej możliwości. Niech pani przestanie mnie o to męczyć.

– Mam ich zawołać? Chyba nie odeszli daleko.

– Powtarzam, nie da się. Nie ma dokąd.

– Na ziemię.

– Nie mamy ciał.

– To co pan robił na ziemi?

– Nic.

– Niech pan powie.

– Sprawa osobista.

– Rodzinna?

Nic nie odpowiedział.

Niestety, śmierć Borewiczowi nie służyła. Opuścił siebie. Nie ćwiczył pamięci ani umysłu. Skutki widać było nader wyraźnie. Ponadczasowy bohater, bożyszczko kobiet, obiekt zazdrości każdego, kto chciałby komuś złamać nos, dał się przechytrzyć dwóm niewysokim urzędnikom niższego szczebla w randze strażnika.

Poczekali za drzwiami i przy drugim okrążeniu już go mieli. Podeszli z dwóch stron i położyli swoje małe dłonie na jego barkach, tak żeby dać mu do zrozumienia, że ewentualna próba ucieczki się nie powiedzie.

Zaraz potem nadbiegł zziębnięty Brygadzysta.

– Ja się tym zajmę – powiedział do kolegów, dysząc głośno, a potem zwrócił się do Borewicza. – Zarejestrowaliśmy nieautoryzowany start...

– Dziękujemy za tę informację – odpowiedział Borewicz. – To bardzo ciekawe.

– Mam na myśli nielegalny start.

– To źle, to bardzo źle, jest tyle zła.

– Niech pan zgadnie, z czyjego domu.

– Z pańskiego, panie Brygadzisto?

– Dość. Jak pan może tak się zachowywać?

– Zbudował pan takie napięcie, że to wydawało mi się najmocniejsze rozwiązanie. Najbardziej dramatyczne.

Dwaj niewysocy urzędnicy wymienili spojrzenia. Brygadzysta westchnął przeciągle.

– Z pańskiego domu był ten lot i obaj dobrze o tym wiemy – wyjaśnił Brygadzysta spokojnym głosem. – Ponadto na ziemi w miejscu lądowania zarejestrowaliśmy nieautoryzowane wyładowania atmosferyczne. Nie było wtedy żadnego zachmurzenia w promieniu kilkunastu kilometrów. – Spojrzał na nas pytająco. – Niby jak ludzie mają to sobie wytłumaczyć?

– No... mamy przecież to ocieplenie klimatu i tyle już pod to podciągnęliśmy incydentów... – Pomyślałam, że to akurat mogę spróbować wyjaśnić. – ...tych, jak im tam? Ekstremalnych zjawisk atmosferycznych...

– Dość! – przerwał Brygadzysta.

– Proszę się tak nie unosić – odezwał się Borewicz. – Tylko powiedzieć, jaka jest za to kara, i dać nam pracować.

– Nie będzie kary. Mam coś lepszego. – Brygadzysta uśmiechnął się z satysfakcją. – Przeniesiemy pana.

– Słucham? – zdziwił się Borewicz. – Dokąd?

– Przejrzeliśmy z kolegami pańskie akta i pańskie postępy w rozwoju duchowym...

– Daj pan już spokój z tym rozwojem duchowym – westchnęłam, kręcąc ze znużeniem głową.

– I wynika z nich, że już dawno powinien pan dostać nowe wcielenie na ziemi.

Borewicz pobladł.

– Niemożliwe – powiedział, a jego twarz stała się martwa jak twarz matki idącej na wywiadówkę. – Musiała nastąpić pomyłka.

– Doprawdy? Jeżeli tak, to zaraz to naprawimy. Ma pan jakieś ulubione miejsce? Egipt, Tunezja? Zostanie pan wysłany na odpowiedni poziom...

– Nie.

Brygadzysta spojrzał na niego, jakby usłyszał słowo, którego znaczenia nie rozumiał. Niewysocy urzędnicy uśmiechnęli się pod nosem.

– Jak to, nie? – spytał, nie dowierzając. – Nie ma takiej odpowiedzi. Co pan ma na myśli, mówiąc „nie”?

Borewicz zaczął błądzić wzrokiem i pocierać twarz.

– Bo ja... – zaczął niepewnie – ...mam tu coś do załatwienia.

Brygadzysta zaśmiał się, choć chyba nie powinien, bo zaraz spoważniał i odpowiedział spokojnie, ale stanowczo:

– Pan wybaczy, ale to nie pan o tym decyduje.

Cokolwiek Borewicz sobie uroił w swojej siwej głowie, to Brygadzysta, będący pod presją kolegów, musiał mu to z jego głowy wybić.

– Bo ja... – dukał Borewicz. – Muszę zostać... ponieważ... ponieważ pani Zofia poprosiła mnie, żebym został jej przewodnikiem duchowym.

Brygadzysta spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– To prawda? – zwrócił się do mnie, licząc chyba, że zaprzeczę.

Nie miałam zamiaru go zawieść. Spojrzałam na Borewicza. Co on sobie myślał? Wpakował się w kłopoty przez te transgalaktyczne podróże, a teraz mną się chciał zasłaniać? Przyjaźń przyjaźnią, ale

jak ja niby miałam mu pomóc? A co, jeżeli mnie odeślą razem z nim? Jako kurczaka z chowu klatkowego?

– Niedoczekanie – oznajmiłam.

Borewicz westchnął. Brygadzysta uśmiechnął się szeroko.

– Pani Zofia – bronił się Borewicz – interesuje się różnymi zagadnieniami. Na przykład odwiedzaniem żyjących na ziemi.

Brygadzysta spojrział na mnie.

– Wykluczone – oburzył się. – Nie ma takiej możliwości. Co też pani przyszło do głowy?

– No właśnie – stwierdziłam zaskoczona. – Co też mi przyszło do głowy?

– Panie Brygadzisto – zwrócił się do niego Borewicz – pomijając wspomniany przez pana incydent, nie miałem żadnych naruszeń regulaminu, prawda?

Brygadzysta spojrział na niego badawczo.

– Zgadza się – odpowiedział. – Ale to nie ma nic do rzeczy.

– I właśnie to mógłbym przekazać pani Zofii jako jej przewodnik duchowy. Żeby i pani Zofia w żaden sposób nie naruszyła regulaminu.

Mówiąc to, Borewicz spojrział na mnie wymownie.

– Czy to prawda, że pani o to poprosiła? – spytał mnie Brygadzysta, na którego twarzy widać już było oznaki zniecierpliwienia.

– Oczywiście, że to nieprawda – odpowiedziałam, nie spuszcając wzroku z Borewicza. – Nie poprosiłam. Ja wręcz błagałam, żeby kolega Borewicz został moim przewodnikiem duchowym!

Brygadzysta długo patrzył to na mnie, to na Borewicza. W końcu dał znak niewysokim urzędnikom, żeby zwolnili jego ramiona, które cały czas ściskali. Zdaje się, że nie mógł odmówić takiej prośbie. Spojrział na nas rozczarowany, westchnął, po czym ruszył powoli korytarzem.

– Będę miał na was oko – rzucił na odchodne. – Oczekuję szybkich postępów...

– ...w rozwoju duchowym! – wyręczyłam go.

Pożegnaliśmy go uśmiechami pełnymi błogosławionej miłości i spokoju.

– Mów mi pan zaraz – wycedziłam przez zęby, uśmiechając się nieprzerwanie do odchodzącego Brygadzysty – jaki jest ten patent na niewykrywalne loty?

– Słyszała pani – westchnął Borewicz, także szczerząc się do tamtego. – Nie ma takiej możliwości. Co też pani przyszło do głowy?

– Mam ich zawołać?

– Dobrze, już dobrze, ale nie tutaj. Chyba to pani rozumie.

Oczywiście, że rozumiałam. Dlaczego miałabym nie rozumieć?

Musiałam się przejść.

Wyszłam na zewnątrz i udałam się w kierunku plaży, na którą prowadziły otoczone bujną zielenią kamienne schodki. Chłodny słony wietrzyk od morza musnął moje skronie. Niby ładnie, ale przecież przeziębienie gotowe.

Spojrzałam na malowniczy zachód słońca, który najwyraźniej codziennie był tu taki sam, i zdałam sobie sprawę, że będę musiała go oglądać wiecznie. Gdybym mogła cofnąć czas, z pewnością za życia nie pochwaliłabym zachodu słońca w Orłowie ani za nim nie zatęskniła.

Mimo to miałam dziwne uczucie, że niemal pierwszy raz w życiu, to znaczy w życiu i po życiu, zdawało się iść ku dobremu. W miarę jak szłam brzegiem, zaczęłam odczuwać spokój, ukojenie, a może i nawet radość.

Plaża była pusta, spokojna, nawet mewa szybująca nad wodą wcale nie darła się jak szalona. Żadnych wczasowiczów, parawanów, wypożyczalni skuterów ani wrzeszczących handlarzy lodami, kawą i prażoną kukurydzą. Jednym słowem – nuda!

Choć może przyszedł czas, żeby się nieco uspokoić, wyciszyć, znaleźć miłe hobby, na przykład szydełkowanie, robić konfitury. Mogłabym się postarać zrozumieć ludzi, może nawet być dla nich trochę bardziej tolerancyjna. Choć to byłaby jednak przesada. Ale może warto byłoby spróbować.

Nagle coś stuknęło mi pod butem.

Cholera jasna! Brakuje jeszcze, żebym się przewróciła!

Spokojnie... pomyślałam zaraz. Tylko się potknęłam. Pewnie o walające się tu i ówdzie zmurszałe kłody. Nic się przecież nie stało. Wszystko, co złe, odeszło. Było już za mną. Czas otworzyć się na nowe. Musiałam być gotowa na pozytywną zmianę, na wyciszenie, spełnienie, miłość.

Spojrzałam zatem pod nogi, pełna ciepła, łagodności i zrozumienia. To tylko butelka. Zwykła rzecz, która przecież nic mi nie zrobiła, leżała tylko w miękkim piasku. Zobaczyłam też, że coś w niej było.

A to niespodzianka. Skoro miałam się otworzyć na zmianę... odkorkowałam.

To list! Jak miło! Co za dzień!

Rozwinęłam zrolowany świstek i przemierzyłam szlaczki niezbyt estetycznego pisma.

„Wiem o tobie, stara wiedźmo, i powiem wszystkim, że oszukałaś!”

Moje nowe, piękne życie zgrzytnęło nagle jak kreda o tablicę.

Jak ktoś mógł nazwać mnie „starą”?!

Złorzeczając pod nosem, natychmiast podarłam karteczkę. Jakie szczęście, że to ja znalazłam tę butelkę. Aż mnie zimny pot zalał na myśl o tym, że ktoś mógł to zrobić przede mną.

Ruszyłam dalej brzegiem, myśląc, że ta cholerna butelka nie może mi przecież spieprzyć mojego błogosławionego wyciszenia i otwartości na pozytywną zmianę, gdy jeszcze raz spojrzałam na miękki żółty piasek... cały usłany kolejnymi butelkami.

Niech to szlag!

Opisywaliśmy spokojnie kolejne karteczki, gdy na środek sali wyszedł Brygadzysta. Minę miał nietęgą. Rozejrzył się, odchrząknął i zaczął mówić:

– Słuchajcie, moi drodzy. Jak zapewne już dawno zauważyliście, wyniki sekcji dalece odbiegają od oczekiwanych. Odbiegają także od akceptowalnych. Niestety, mimo licznych prób nie udało nam się zmienić tego stanu rzeczy. Nawet sprowadzenie trzeciego

najlepszego człowieka na świecie nie tylko nie pomogło, ale nawet pogorszyło sytuację...

– Bezpodstawne oskarżenie! – Zerwałam się na równe nogi. – Jak pan to udowodni?!

– Spokojnie, pani Zofio, jestem w trakcie obliczania. Na razie możemy przyjąć, że to przypadek.

– To znaczy, że... – odezwał się niepewnie ktoś z końca sali – jest wśród nas ktoś o nieczystym sumieniu...

Przez salę przeszła fala szeptów.

– ...ktoś o nieczystym sercu – kontynuowała Szaflarska, wzbudzając wśród ludzi narastający strach. – To znaczy, że jest wśród nas sabotażysta.

To ostatnie słowo zmroziło powietrze niczym zakręcenie kurka z gazem przez rosyjskiego dostawcę.

– Nie chcę o niczym przesądzać. – Brygadzysta ponownie włączył się do dyskusji. – Ale w tym trudnym i kluczowym dla sekcji momencie proszę wszystkich o wzmożoną czujność i wysiłek. Każdy, kto świadomie lub nie szkodzi sekcji, szkodzi faktycznie nam wszystkim. Musimy zrobić, co tylko w naszej mocy, żeby mu to uniemożliwić.

Borewicz spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

– Mocne słowa – stwierdził.

– Zgadza się – przytaknęłam.

Podniósł kubek z kawą i napił się, nie spuszczając ze mnie wzroku. Ja także patrzyłam na niego.

– Podejrzewa pani kogoś?

– Oczywiście, że podejrzewam. Dlaczego miałabym nie podejrzewać?

Jeszcze raz zmierzyliśmy się wzrokiem.

– Zalecam pani rozwagę i unikanie pochopnych działań.

– Podobnie jak ja panu.

– Co pani zamierza?

Wstałam i powoli podeszłam do biurka Edwarda Gierka. Borewicz stanął za mną.

Gierek spojrzał na nas i uśmiechnął się dobrotliwie.

– Witajcie, kolego i koleżanko – powiedział. – W czym możemy pomóc?

- Mógłby pan pokazać mi swoje karteczki? – spytałam.
- Które karteczki?
- Choćby te od chłopów z jednej z mazowieckich wsi skarżących się na biedę.
- Nie przypominamy sobie takiej, koleżanko.
- Przecież sam pan mi ją pokazywał.
- Musiała nas pani z kimś pomylić.
- Odpisał pan, że za jego czasów było gorzej, a ludzie pracowali i nie narzekali, że w dzisiejszych czasach przed każdym stoją nieograniczone możliwości i nawet jeżeli posiada się jałową, nieskomunikowaną ziemię w samym środku niczego, to ona jest wielkim dobrem narodowym, a jak ktoś nie wie, co z nią zrobić, to niech na niej zbuduje lotnisko!
- Nic takiego nie napisaliśmy, droga koleżanko.
- Napisał pan, sama widziałam.
- Nieprawda. O co koleżance chodzi?
- Lotnisko na wiejskim polu? Gdy dziesiątki innych w całej Europie świecą pustkami?
- A gdyby podciągnęło się kolej...
- Kolej w Polsce? Rozum panu odjęło? W Polsce od wojny powstała może jedna nowa linia kolejowa. Dzięki unijnym dotacjom ledwo co drgnęły remonty. Niech pan spróbuje przejechać rano z Pragi do centrum Warszawy przez most średnicowy. To już łatwiej było sforsować Wisłę w czterdziestym piątym!
- Przecież to byłaby wielka inwestycja na skalę kraju, koleżanko.
- Inwestycja? To dlaczego tylko lotnisko? Trzeba było zaproponować kosmodrom!
- Nic takiego nie pisaliśmy.
- A jak w pięćdziesięciotysięcznym miasteczku na jednym osiedlu fazę wybijało, to stwierdził pan, żeby wybudować tam największy w Polsce blok elektrowni.
- A co to ma do rzeczy? – obruszył się Gierek.
- Węglowy?! Kiedy w Polsce jest najgorsza jakość powietrza w Europie i kilkadziesiąt tysięcy ludzi rocznie umiera na raka, którego u nas z uwagi na koszty praktycznie się nie leczy?! Akurat za rok statystycznie umrze panu cała Ostrołęka. To samo z dwoma alkoholikami, którzy pijąc nad wodą, uroili sobie, że życie rzuca im

kłody pod nogi, uniemożliwiając realizację wielkich planów. Chcieliby dla przykładu opłynąć świat dookoła, ale nic z tego, bo mieszkają we Fromborku. Co na to pan Edward? Co za problem przekopać mierzeję?!

– Oszczerstwo – odpowiedział, splatając ręce na piersi i odwracając wzrok. – Stek bzdur.

– Chore wizje realizowane za pieniądze ludzi.

– Wypraszam sobie.

Natarliśmy na siebie niczym zawodnicy MMA na wazeniu dzień przed walką. Z pewnością zetknęlibyśmy się nosami, gdyby w ostatniej chwili nie wszedł między nas Borewicz.

– Pani Zofio – zaczął wyniośle – to są poważne zarzuty.

– Bezpodstawne – wtrącił towarzysz Gierek.

– Przekonajmy się – stwierdziłam.

– Jak pani to sobie wyobraża? – spytał Borewicz.

– Jeźdźmy. Zobaczmy na własne oczy. – Odwróciłam się w stronę sali, żeby nadać sprawie nieco rozgłosu. – Ktoś ma coś do ukrycia? Może warto rzucić okiem na jego zadania.

Odpowiedziała mi cisza.

– Brygadzista się nie zgodzi – zaproponował Borewicz.

– Sprawdźmy.

Ruszyliśmy korytarzem do pakamery Brygadzisty. Natarłam zdecydowanie na drzwi bez pukania. To był błąd. Brygadzista natychmiast chwycił pilot do starego telewizora, ale zanim zdążył go użyć, zobaczyliśmy wystarczająco wyraźnie, co było na ekranie.

Spojrzałam na Borewicza.

Zażenowanie, jakie malowało się na jego twarzy, świadczyło o tym, że i on był zdania, że nie trzeba było jednak tak się śpieszyć i należało zapukać.

Brygadzista nigdy nie był dla mnie wielkim autorytetem, ale teraz trudno mi już było o nim myśleć z szacunkiem.

– Jak pan mógł? – spytałam. – W takim wypełnionym bezwarunkową miłością, świętym błogosławieństwem i nieskończoną dobrocią miejscu?

– To przecież nic takiego. – Brygadzista szczyrzył zęby w nieszczerym uśmiechu, ale na jego twarzy widać było strach i zawstydzenie.

– Wszystko mógł pan oglądać, tylko nie to.
– Skusiło mnie. Nie wiem dlaczego. Tyle się o nim mówi.
Zakrył dłonią oczy, jakby chciał cały się w tej dłoni schować i zniknąć. Nie był jednak w stanie.
– Dużo pan tego obejrzał? – drążyłam.
– Trzy sezony.
– Zrozumielibyśmy nielegalne kopie, ale dlaczego akurat *Lucyfera*?
– Tak mi wstyd. Znalazłem DVD w skonfiskowanych rzeczach.
Popatrzyliśmy na niego. Wydawał się jeszcze mniejszy niż wcześniej.
– No nic, przejdźmy do rzeczy – oznajmiłam. – Chcielibyśmy, żeby podpisał nam pan delegację.
– Słucham? – spytał Brygadzysta, jakby nie zrozumiał.
– Wyjazd służbowy.
Popatrzył na nas zdezorientowany.
– Potrzebujemy zbadać coś w terenie – wyjaśniłam.
– Pani Zofia zarzuca jednemu z członków sekcji błędne decyzje. Chcemy to zweryfikować.
– Poczekamy, aż umrze ktoś związany z daną sprawą, wtedy zda relację i wszystkiego się dowiemy.
– To pilne.
– Już pani mówiłem, że tu czas nie istnieje.
– Istnieje za to na ziemi. Pan jest zadowolony z wyników sekcji? Uważa pan, że działa prawidłowo?
– Co to ma znaczyć?
– Ktoś sabotuje nasze działania. To oczywiste. Niemożliwe, żeby nawet przy takiej liczbie ludzi dobrej woli świat był tak bezsensownie okropnym miejscem.
– Może kiedyś będzie pani miała okazję poprowadzić własną sekcję i wtedy będzie pani decydowała, a do tego czasu to ja mówię „nie”.
– Rozumem.
– Cieszę się.
– W takim razie będę musiała poinformować pańskich przełożonych o tym, co pan ogląda, oraz o tym, jakich słów użył pan w pierwszej rozmowie ze mną.

Spojrzał na mnie, po czym pochylił się nad kartkami rozłożonymi na jego biurku.

– To kiedy ten wyjazd? – spytał. – Nie możecie informować mnie tak w ostatniej chwili! Przecież ja muszę wam znaleźć jakieś zastępstwo!

Rozdział 7

Niestety nie może pani jechać z nami – stwierdził Borewicz, gdy zebraliśmy się na placu.

– Jak to nie mogę? – odpowiedziałam oburzona. – To co niby miałabym robić?

– Odpisywać na karteczki.

Popatrzyliśmy na siebie przez chwilę. Ja z nadzieją, oni z przerażeniem.

– Może lepiej byłoby mieć ją blisko siebie – zauważyła Szaflarska. Borewicz westchnął ciężko.

– No dobrze – stwierdził. – Przynajmniej będziemy mieli panią na oku. Ale ma pani wykonywać moje polecenia.

– Oczywiście. Jeszcze nikt nigdy tak nie wykonywał pańskich poleceń, jak ja będę.

– Nie odstępuję nas pani na krok.

– Jeszcze będzie pan prosił, żebym dała panu chwilę wytchnienia. Popatrzył na mnie.

– I żadnych, ale to żadnych działań na własną rękę – zakończył stanowczo.

– Przysięgam na życie męża.

To mu wystarczyło. Weszliśmy do łazienki do oddzielnych kabin, każde z egzemplarzem *Ksiąg Jakubowych*.

– A jak podróżowaliście, zanim Olga Tokarczuk napisała tę książkę?

– Różnie, z *Nad Niemnem* podróż ciągnęła się w nieskończoność. Z *Dziadami* ludzie się gubili i odnajdowali po tygodniach, niektórzy wcale. Przy *Krzyżakach* ktoś stracił oko. Kiedyś jeszcze o tym porozmawiamy. Musimy ruszać. Otwieramy książki!

Szliśmy polną drogą pośrodku kompletnego pustkowiecia.

– Może byśmy skorzystali z jakiegoś transportu? – zaproponowałam, licząc się z tym, że mogą na mnie naskoczyć lub co najmniej strzelić wykład o tym, jak spacer poprawia wewnętrzny przepływ energii w naszym duchowym ciele.

– Zaraz wsiądziemy w pendolino – odpowiedział Borewicz.

– Jak to? Nie wzbudzimy podejrzeń? Nikt nas nie rozpozna? – zdziwiłam się.

– Bez obaw. Mamy własne stacje i lotniska. Jeździmy z Włoszczowy, a latamy z Radomia. Nie spotkamy tam żywej duszy.

Jeszcze chwilę podążaliśmy polami, potem przez moment lasem. Tam musieliśmy niepostrzeżenie przekroczyć granicę pomiędzy wymiarami, ponieważ nagle poczułam, że jesteśmy na ziemi. Nie było to metafizyczne doświadczenie, po prostu nagle w lesie pojawiły się gówna i śmieci.

Niemal bezpośrednio pomiędzy drzew wyszliśmy na sam peron. Obok stał stary odrapany budynek dworcowy, dalej niewysokie bloki przypominające PGR. Zrobiło mi się przyjemnie, bo przypominałam sobie młodość.

– Wydawało mi się, że to jakiś polityk partii rządzącej postawił tę stację dla siebie – mówię. – Tak przynajmniej sądziliśmy na ziemi.

– Nie, szanowna pani. Nie dla siebie ani dla tych ośmiu podróżujących mieszkańców. To nasze zamówienie, a pan Przemysław, niech mu kilof lekkim będzie, wziął na siebie ciężar sprzeniewierzenia osiemdziesięciu sześciu milionów złotych z publicznych pieniędzy. Dlatego właśnie nie ma go między nami. Heroiczne poświęcenie.

– A jeżeli potrzebowalibyśmy transportu o innej godzinie? – spytałam, wypatrując nadjeżdżającego pociągu. – Poza rozkładem pendolino?

– Wtedy korzystamy ze sposobu sprzed budowy stacji we Włoszczowie. Zauważyła pani na pewno, że pociągi w Polsce co jakiś czas zatrzymują się i stoją bez powodu w szczerym polu.

– Trudno było tego nie zauważyć.

– To właśnie my wtedy wsiadamy – uśmiechnął się. – Trochę to zajmuje, bo pani Danuta jest w spódnicy, a bez peronu ciężko się wspiąć po stromych schodkach wagonu.

– Przecież to rozwala cały rozkład PKP.

– Nie nasza wina. Wszędzie na świecie bardziej dba się o kolej i szanuje pasażerów. Dlatego już od dawna niemal wszystkie agencje chętnie podróżują przez Polskę. Tu nadal można wszystko.

Wkrótce na ciągnących się w nieskończoność torach pojawił się dziób pociągu. Jego niezwykle nowoczesny kształt mocno kontrastował z siermiężną PRL-owską architekturą opustoszałego miasteczka. Jakby przybył z obcej planety.

Lokomotywa minęła naszą grupę. Za nią cicho przesuwają się kolejne wagony. Transport szynowy działał na mnie niezwykle pobudzająco. Nogi same rwały się do biegu. Odruchowo odepchnęłam zupełnie nieprzygotowanych do wsiadania Szaflarską oraz Borewicz i rzuciłam się biegiem w kierunku oddalających się drzwi. Cóż to była za radość na samą myśl, że znów będę próbować wcisnąć się do środka, zanim inni zdążą wysiąść. Biegłam do wejścia stojącego już wagonu, ale gdy odwróciłam się, żeby posłać triumfalny uśmiech tym, którzy zostali z tyłu, zobaczyłam ich już wsiadających przez drzwi, które zatrzymały się na wprost nich.

Poczułam się zniesmaczona. Matko jedyna, ale im się śpieszyło!

Wspięłam się na górę i zaraz spotkało mnie pierwsze zaskoczenie. Zatkaliśmy nos, przechodząc obok toalety, ale okazało się, że żadna z nich nie śmierdziała. Było to dla mnie niezwykle zaskoczenie, że w tak nowoczesnym pociągu nie było żadnej czynnej łazienki.

Potem nie było wcale lepiej. Idąc w kierunku reszty mojej ekipy, patrzyłam na fotele, lampeczki, stoliczki; wszystko to wydawało się bardzo ładne. Naprawdę nie wyglądało na tandetne, a jednak było. W przeciwnym razie zostałyby przecież już dawno ukradzione.

Naszych zastałam wsiadających do przedziału konduktorskiego. Tam założony został tymczasowy sztab, siedziba dowództwa operacyjnego oraz kantyna, jako że przechodząc przez wagon, na jednym z foteli znalazłam nieruszone, oryginalnie zapakowane ciasteczko.

– Skoro mamy trochę czasu, podsumuję najważniejsze informacje – zaczął Borewicz, spoglądając na nas. – Po pierwsze, nie dysponujemy już wszystkimi żywiołami.

– Niewiarygodne – stwierdziłam zaskoczona.

– No niestety. Żywioł ziemi odzyskamy nieprędko. – Borewicz pogładził się po twarzy. – Po ostatniej wyprawie na Śląsku zasypało

kilku górników, a pod Krakowem pewnemu staruszkowi pół działki zniknęło w wielkim leju. Ognia nie mamy od pożaru katedry Notre Dame w dwa tysiące dziewiętnastym, podobnie zresztą jak nie mamy już wstępu do Paryża. Smutna historia. Mam nadzieję, że wyciągniemy z niej lekcję. Z wodą ostrożnie. Żeby przykryć wpadki, opracowaliśmy nowy termin w meteorologii: „powódź błyskawiczna”...

- Niewiarygodne, dlaczego pan wcześniej nie powiedział?
- Że nie dysponujemy wszystkimi żywiołami?
- Że w pociągu rozdają ciastka.
- Niechże się pani skoncentruje! Pani Zofio!
- Dobrze już, dobrze. Sam by pan pewnie chętnie zjadł, tylko że pan nie znalazł.

Popatrzył na mnie, ściągając brwi i zaciskając usta.

– I najważniejsza rzecz. – Teraz z kolei podniósł brwi wysoko. – W żadnym wypadku nikomu się nie ujawniamy.

- Niewiarygodne, dlaczego pan wcześniej nie powiedział?
- Mam już tego dość! – wrzasnął. – Niech pani już skończy z tym ciastkiem.
- Z jakim znowu ciastkiem?! – oburzyłam się. – Dlaczego pan wcześniej nie powiedział, że możliwe jest ujawnianie się?
- Właśnie pani mówię, że nie jest możliwe.
- Gdyby tak było, toby pan tego nie zabraniał. Proszę powiedzieć, jak to się robi.
- Nigdy pani tego nie wyjawię.
- Przecież to dyskryminacja.

Spojrzałam na współpasażerów, ale Gierek znalazł jakąś bardzo interesującą plamę na podłodze, a Szaflarska patrzyła przez okno, sprawdzając, czy w kraju wszystko w porządku.

Jakiś czas później pokład delikatnie się zakołysał, a obrazy za oknem zwolniły, aż ostatecznie przestały się przesuwać. Co to było? Zatrzymaliśmy się tak niepostrzeżenie, bez żadnego szarpnięcia. Nic nie trzęsło, nie piszczało, nie huczało, żadna walizka nie spadła nikomu na głowę. W ten sposób człowiek mógł się nawet nie zorientować, że pociąg się zatrzymał, i przejechać swoją stację. Przy tak dużej prędkości można było nawet wylądować na drugim końcu Polski. Nie wiem, czy zmiany na kolei szły w dobrym kierunku.

Ruszyliśmy korytarzem do wyjścia. Dwadzieścia lat zajęło mi zrozumienie, jak działa magiczna korbka otwierająca od środka drzwi wagonu, ale teraz i ta wiedza okazała się nieprzydatna, bo drzwi otworzyły się same.

Zeszliśmy po schodkach na peron, a tam znieruchomiałam ze strachu na widok siedzącego na ławeczce zarośniętego i brudnego człowieka. Kiwał się na boki, nie wiadomo jakim sposobem wciąż trzymając pion. Na moment odstawił butelkę od ust, skupił na nas błędny wzrok i jakby na chwilę odzyskał jasność umysłu i bystrość spojrzenia.

– Widzi nas? – spytałam Borewicza zaniepokojona.

– Zdaje się, że tak. Martwi to panią? – odpowiedział jak zwykle pytaniem na pytanie.

– Chyba lepiej, żeby nas nie widział.

– Myśli pani, że ktoś uwierzy bezdomnemu z Dworca Centralnego, że widział, jak w środku nocy z pendolino wysiadł Bronisław Cieślak w towarzystwie Edwarda Gierka i pod rękę z Danutą Szaflarską?

– Zgoda. Nie było pytania.

Poszliśmy w stronę ruchomych schodów pozdrawiani przez człowieka z ławki. Mnie się uklonił, Borewiczowi i Gierkowi zasalutował. Uśmiechnęłam się i pomachałam mu, żeby może i mnie też zapamiętał. Pewnie rano będzie o nas opowiadał.

Dawno nie byłam na Dworcu Centralnym. Może nawet od czasu, kiedy go trochę przemyli i posprzątali w dwa tysiące dziesiątym za prawie pięćdziesiąt milionów złotych. Gigantyczne pieniądze. Nie ma się co dziwić, że od tego czasu każda kobieta z zachodniej granicy chce przyjechać i sprzątać w Polsce.

Przyjemnie było się znowu tu znaleźć. Ileż to się spędziło godzin przy pierwszych w Warszawie drzwiach automatycznych produkcji szwajcarskiej, wyposażonych w niespotykany wówczas mechanizm reagujący na ciężar ludzkiego ciała zamontowany przed wejściem i wyjściem. Nie mówiąc już o jeżdżeniu sprowadzanymi z Paryża i Brukseli ruchomymi schodami lub gapieniu się w zakupione we Włoszech elektroniczne zegary.

Trochę brakowało dawnego smrodu, umięśnionych wyrostków, złodziei i kieszonkowców. No ale cóż. Czasy się zmieniają. Wszystko idzie naprzód. Dworce przestają śmierdzieć, złodzieje robią kariery w finansach, bandyci w polityce. Zmiany, zmiany, zmiany...

Wyszliśmy na powierzchnię. Borewicz jeszcze raz powtórzył plan działania, ale ja już tego nie słyszałam. Bo mnie już z nimi nie było. Nie mogło mnie być.

Popatrzyłam przez chwilę, jak odchodzą w stronę Marszałkowskiej, a sama ruszyłam w kierunku Alei Jerozolimskich.

Podziemia prowadzące z dworca były zupełnie puste, ale nie zawahałam się ruszyć przed siebie. Wszystko, co złe w życiu, i tak mnie już spotkało, a kto by tam wierzył w duchy.

Wyszłam na powierzchnię przy dworcu Warszawa Śródmieście WKD. Ktoś tam chyba krzyczał, ale w centrum miasta w nocy zawsze ktoś krzyczy. Nikt się tym nie przejmuje. Jak się człowiek przyzwyczai, to potem już praktycznie nie słyszy. Stamtąd w miarę szybko dotarłam do Żelaznej, potem Chmielna i już byłam na Miedzianej.

Miasto szare, zatłoczone i hałaśliwe... ale było. I gdzieś tam, nie tak znowu daleko, na drugim piętrze jednej z wielu kamienic, był ktoś, kto dzielił ze mną kawał mojego życia. Pamiętał mnie z lat młodości, kiedy jeszcze wszystko było przed nami, świat wydawał się przyjazny, otwarty, możliwy do zdobycia, w jakiś tam sposób. Wiele bym dała, żeby spotkać siebie z tamtego czasu. Tyle miałabym sobie do powiedzenia, jak pokierować życiem, co zrobić, żeby wszystko potoczyło się inaczej, czego nie robić, jakie decyzje podjąć,

czego unikać... Gdybym teraz stanęła naprzeciwko siebie z młodości, powiedziałabym przede wszystkim... Powiedziałabym...

Popatrzyłam jeszcze raz na ulicę, przejeżdżające samochody, mijających mnie ludzi, gmachy po drugiej stronie i zastanowiłam się jeszcze raz.

Nic bym sobie nie powiedziała. Może tylko, że jakoś to będzie, że da radę, by się nie martwiła, bo wszystko się jakoś ułoży. Niech życie się toczy.

Ucieszyłam się na widok miejsca, gdzie spędziłam niemal całe życie. Raz było gorzej, a raz jeszcze gorzej, ale to było moje miejsce na ziemi. Znałam tu każdą dziurę w chodniku – jedna czarna miała kształt rozdziawionej gęby pewnego posła. Kiedyś sąsiad z parteru zwicznął sobie w niej nogę w kostce. Ów poseł na pewno się z tego ucieszył.

Ale ja nie miałam teraz czasu na nostalgiczne bzdety. Jeżeli chciałam znowu być z Henrykiem, to musiałam działać.

Najlepszym narzędziem do zabicia człowieka nie jest nóż, pistolet czy inne tego typu duperele, tylko samochód. Samochody nie są zabronione, a im dalej od cywilizacji zachodniej, tym bardziej są uprzywilejowane. Można zabić człowieka, powiedzieć, że straciło się panowanie nad pojazdem, zapłacić pięćset złotych mandatu i sprawa załatwiona. W Polsce oczywiście. Bo na świecie, gdzie durni jest nieco mniej, wprowadzono już do kodeksu przestępstwo zwane zabójstwem drogowym. Na przykład we Włoszech leniwi zabójcy zaczęli odchodzić od tradycyjnych metod egzekucji za pomocą broni palnej i używać właśnie samochodów do regulowania mafijnych porachunków. Rzecz jasna wywołało to sprzeciw i zdecydowane działania tamtejszych władz. Tradycja to tradycja i trzeba ją szanować.

Nie pozostało nic innego, jak tylko przystąpić do realizacji planu. A ten był prosty.

Musiałam wywabić Henryka na ulicę, a tam już chętnych do rozjechania człowieka nie zabraknie. Henryk wszędzie by wlaź, gdyby zobaczył leżące tam dziesięć złotych. Schyliłby się po nie, nawet jeżeli nie mógłby się potem przez kilka dni wyprostować. Matko jedyna, jak te plecy wtedy bolą. Nie do wytrzymania, i nic nie pomaga, ani masowanie, ani rozgrzewanie. Nikomu nie życzę.

Drobną niedogodnością było to, że nie miałam pieniędzy. Pomyślałam jednak, że może uda się nastraszyć jakiegoś niczego niespodziewającego się jegomościa podczas zakupów i a nuż upuści przygotowany do płacenia banknot. Powinnam dać radę przestraszyć kogoś teraz, po śmieci, skoro byli i tacy, którzy bali się mnie jeszcze za życia.

Podeszłam do straganu z owocami, gdzie jakiś młodzian w za krótkich spodniach, ale za to w za dużej bluzie oglądał małe tekturowe pudełko malin za kilkanaście złotych. Tego byłoby stać.

– Uuuu! Uuuu! Uaaa! Uaaa! – zawylałam złowieszczo, pojawiając się naprzeciwko niego.

– Dzień dobry – odpowiedział zmieszany, przyglądając mi się uważnie. – Przepraszam, czy my się znamy?

– Uuuu! Uuuu! Uaaa! Uaaa! – powtórzyłam bardziej zdecydowanie, wzbogacając straszenie o dodatkową choreografię w postaci wymachiwania rękami.

Przyjrzał mi się, przechylając głowę i uśmiechając się podejrzliwie.

– Czy my się znamy? – spytał.

– Nie sądzę – odpowiedziałam. – Uuuu! Uuuu!

– Okej. Udaje pani kogoś? Mam zgadnąć? O to chodzi?

– A niech cię szlag, człowieku!

Naogląda się taki seriali i myśli, że duchy to zabawa. Co za czasy?!

– Orangutan?! Prezydent wyjący na Jasnej Górze?! – zawołał zadowolony. – Zgadłem, prawda?

– Idź pan do cholery!

– Jakaś podpowiedź? – Zastanowił się. – Żyje w polskich lasach?

Ręce mi opadły. Westchnęłam ciężko i zastanowiłam się, czy nie należało rozważyć zmiany planu.

– Dobra, wystarczy – stwierdziłam. – Powiem wprost. Potrzebuję pieniędzy.

– Więc o to chodzi... – powiedział to tak, jakby to on miał powód, żeby poczuć się zawiedziony. – No... ale niestety, ten pani występ to trochę za słaby był.

– Ale ja muszę. Chcesz, żebym cię nawiedzała? Co noc? Nie ma sprawy. Ja mam czas.

Zastanowił się.

– No dobra, a ile pani potrzebuje?

– Dziesięć złotych.

Zaśmiał się. Ale zaraz potem spoważniał.

– Mogę dać pięć.

– Potrzebuję banknot.

– To musi pani jeszcze coś pokazać. Coś naprawdę dobrego.

– Niby co?

– Kurczę, no sam nie wiem. Musi pani coś podnieść. Może samochód.

– Gdybym potrafiła podnieść samochód, to nie potrzebowałabym twoich cholernych dziesięciu złotych, ty dusigroszu!

– Myślałem, że pani potrafi.

– Nie potrafię. Przedmioty przelatują mi przez ręce. Nie potrafię nawiązać fizycznego kontaktu z materią. W drugim semestrze będą z tego zajęcia. Na wyższym poziomie rozwoju to możliwe. Kolega pokazywał filmik.

– Na YouTubie?

– Nie, u nas w ogóle nie ma zasięgu.

– Nawet marnego LTE?

– Nawet LTE.

– To straszna prowincja.

– Dasz te dziesięć złotych czy nie?!

– A co innego potrafisz?

– Potrafię się ukazać. Chyba sam widzisz? Ale też nie każdemu.

Zastanowił się chwilę.

– Dobra, wejdiesz do tego sklepu – powiedział, wskazując na supermarket. – Pojawisz się nagle i będziesz przenikać przez półki. Jeżeli wszyscy uciekną, masz dychę. Stoi?

– Stoi.

– Zaczekaj, aż zacznę nagrywać! – zawołał chłopak.

Ale ja już go nie słuchałam. Przeszłam przez ścianę i wyłoniłam się z półki z wędlinami.

– Dzień dobry – powiedziałam do poblądłej ekspedientki – po ile kaszanka?

Matko jedyna, nie spodziewałam się, że taka drobna kobieta będzie miała tyle siły w płucach. Zrobiła mi połowę roboty, biegnąc

przez cały sklep, wrzeszcząc jak opętana i przewracając towar. W normalnej sytuacji miałabym żal za kradzież przedstawienia, ale śpieszyłam się, więc było mi to na rękę. Zdezorientowanych lub niezdecydowanych sama zachęcałam do ucieczki, wyłaniając się a to spomiędzy kiści bananów, a to z lodówki z mrożonkami. Największe wrażenie zrobiłam, pojawiając się zniemacka tuż przed twarzą grubego jegomościa sprawdzającego świeżość pstrągów na rybnym. Tam właśnie rozegrał się armagedon. Nie moja wina, że świeże ryby sprzedają z głowami i całość wyszła dosyć demonicznie. W każdym razie facet chyba trochę popuścił, choć żonie powiedział, że w panice się czymś zalał. Tak to jest, jak się na temat mięśni Kegla robi tylko niewyszukane żarciki i docinki. Wszyscy uciekli, przewracając się po drodze na śliskim rybnym śluzie, który zalał podłogę po tym, jak ktoś wywrócił beczkę ze śledziami.

– Uuu... Uuuu – odchrząknęłam, bo mi od tego zaschło w gardle.

– U... u...

Kuriozalna sytuacja. Co za żenada.

Wszystko to trwało może niecałą minutę, ale to nic, bo filmiki do internetu muszą być krótkie. Podeszłam do chłopaka, który stał pod sklepem skupiony na ekranie swojego smartfona.

– Jak mi poszło? – spytałam zdyszana, ale zadowolona. – Dobrze było, nie?

– Chciałbym pani zaproponować dłuższą współpracę – powiedział przejęty, rzucając co jakiś czas nerwowe spojrzenia na chaos, jaki powstał na ulicy. – Co pani powie na dwadzieścia złotych tygodniowo?

– Kusząca propozycja młodzieńcze, ale nie mam na to czasu.

– Proszę się zastanowić.

– Kasa!

– Porozmawiajmy... Ma pani talent i nie powinna go pani marnować.

– Płać albo idę po moich kolegów.

– A kogo pani zna?

– Jak to kogo? Wszystkich. Borewicza, Gierka, Szaflarską... jest ode mnie niższa. Ewidentnie to widać nawet z daleka.

– Zapłacę pani, ile tylko zażąda, jeżeli ich pani przyprowadzi.

– Na razie daj dychę.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel. Po czym spojrzał na mnie.

– Ale jak...

– Rzuć na ulicę. O tam.

Wskazałam mu naszą bramę.

– Pośpiesz się.

Ruszyliśmy czym prędzej w tamtą stronę, bo Henryk sikał już od dobrych piętnastu minut i lada chwila powinien kończyć. Zaraz potem będzie zbierał się do wyjścia, zanim wykupią wczorajsze pieczywo.

– Kładź dychę na ulicy i odejdz – nakazałam chłopakowi. – To nie może wyglądać podejrzanie.

Zrobił tak, jak mu powiedziałam.

Zdażyłam. Patrzyłam na bramę, czekając, kiedy się otworzy, gdy nagle usłyszałam męski głos.

– Ej, zobacz, dycha leży! – zawołał ktoś zza moich pleców.

– Won! – wrzasnęłam, pojawiając się raptownie tuż przed nim.

– O kurwa! – krzyknął, przewracając się. – Co to było?!

Uciekał chwilę na czworakach, potem się przewrócił, a gdy odzyskał równowagę, uciekł, odwracając się kilka razy i sprawdzając, czy go nie gonię. Zachłanna hiena i chciwy obibok bez ambicji. Pieniądze by chciał na ulicy znajdować!

W końcu w bramie pojawił się Henryk. Niedokładnie ogolony, w pogniecionej koszuli, zatrzymał się, ziewnął i drapiąc się po zadku, ruszył w stronę sklepu. Nagle jego bystre, choć dopiero na wpół otwarte oko dostrzegło wyglądający znajomo kolorowy kształt na czarnym asfalcie. Jak każdy inteligentny człowiek, tak i on zainteresował się nowym przedmiotem w swoim otoczeniu.

– Chyba coś panu wypadło! – zawołał do tamtego uciekającego. – Proszę pana!

Patrząc za nim i wołając, nie zwrócił uwagi na nadjeżdżający z przeciwnej strony wielki czarny wóz. Taki, jaki kupują sobie ludzie za wszelką cenę pragnący pokazać innym, do czego zdołali w życiu dopełnić i za jaką imponującą kwotę udało im się spieniężyć swoją chciwość i bezwzględność, zanim w jednej chwili wylew lub zawał albo w kilka tygodni nowotwór pozbawi ich wszystkiego.

Samochód uderzył go z prędkością wystarczającą, żeby Henryk poszybował dobre dziesięć metrów. Przez chwilę wyglądał jak wielki ptak. Miałam wrażenie, że gdyby rozłożył ręce i choć trochę nimi zatrzepotał, wzbiłby się i odfrunął. Choćby w kierunku pobliskich drzew. Może nawet założyłby tam gniazdo. Kto go tam wie. Taki był zdolny i umiał wymajsterkować coś z niczego.

Henryk jednak nie wzbił się i nie poleciał. Siła uderzenia wyrzuciła go natomiast w kierunku betonowej latarni. Najlepszy pilot by się z tego nie wymanewrował, a co dopiero mój Henryk, który leciał pierwszy raz. Zmierzał dumnie do swojego celu jak koledzy Osamy Bin Ladena na spotkanie w World Trade Center.

Odwróciłam się, bo mimo że go zabiłam, to nie byłam przecież bez serca i nie mogłam patrzeć, jak będzie leżał na betonie z powyginanymi członkami jak jakaś fajtłapa.

Głuche uderzenie.

Ludzkie krzyki.

Potem cisza.

Westchnęłam ciężko.

Już po wszystkim.

Najgorsze za nami. Nie było lekko, ale się udało. Plan wykonany. Teraz już będzie dobrze.

Henryk, gdyby żył, powiedziałaby teraz...

– Ale się porobiło! – Usłyszałam słaby głos za moimi plecami.

Właśnie to powiedziała Henryk, gdyby żył!

Odwróciłam się błyskawicznie. Ruch na ulicy się zatrzymał. Ludzie wysiadali z samochodów, inni biegli w kierunku antyaborcyjnej ciężarówki, na plandece której zamiast wizerunku zakrwawionego płodu leżał w nienaturalnej pozycji mój Henryk. Przypominał nieco komara rozbitego o szybę samochodu. A obok niego widniał napis: „Ono mogłoby jeszcze żyć!”.

– Niemożliwe! – zawołałam, łapiąc się za głowę. – Niemożliwe! Co za pech!

Nie mogłam uwierzyć, że to się nie udało.

A ludzie jacy się chętni do pomocy zrobili! Jak przed wypłatą emerytury przez kilka dni niemal nie mieliśmy co jeść, to nikogo to nie obchodziło, ale jak po takim widowiskowym fifraku rąbnął

o ciężarówkę, to cała ulica biła mu brawo. Nawet szklanę wody dostał, gdy już wstał i się otrzepał.

Może niech mu jeszcze jajecznicę usmażą!

Nikt nawet nie widział, ile ja musiałam się napracować, żeby on teraz mógł tak zabłyszczeć!

I choćby dlatego, że tak dużo wysiłku już zainwestowałam w naszą wspólną przyszłość, nie zamierzałam się tak łatwo poddać. Miedzianą ludzie jeździli jak wariaci, używając jej jako objazdu, ale byli też kierowcy, którzy zawsze i wszędzie się śpieszą. Praktycznie nie używają hamulców. Nie mają na to czasu, bo są ludźmi odgrywającymi najważniejszą rolę we współczesnej światowej cywilizacji. Są dostawcami.

Bez nich dziesiątki milionów pulchnych oszustów i wyzyskiwaczy pracujących codziennie w pocie czoła, żeby nas wszystkich jeszcze dokładniej ogolić, nie zjadłoby rano swojej drożdżówki! A ich dorodne potomstwo jedzące tylko najdelikatniejsze mięsko, bo takie jedzą dzieci znajdujące się obecnie na szczycie popularności celebrytki, nie dostałoby swojego kotlecika z cielęcinki!

Dlatego właśnie niedogolony kierowca o zapadniętych policzkach za najniższą krajową plus premia poza umową pruć przez miasto na zderzaku kogoś, kto nie wie chyba, co się na świecie dzieje, bo jedzie po mieście sześćdziesiąt na godzinę.

Temu pędzącemu teraz Miedzianą od strony Prostej wystarczył nieoczekiwany podmuch wiatru, który wpadł przez otwarte od strony kierowcy okno, poderwał leżące na fotelu pasażera faktury, z których dwie fatalnym zbiegiem okoliczności niemal przykleiły się do szyby, ograniczając widoczność na drodze do minimum. Co prawda kierowca dysponował odpowiednimi umiejętnościami, a jego refleks nie budził zastrzeżeń po przespaniu niemal czterech godzin pomiędzy odebraniem zwrotów poprzedniego dnia a rozpoczęciem rozwożenia dnia następnego, ale zaskoczony sytuacją nie zdążył usunąć niebezpiecznej zasłony, zanim tuż przed jego pojazdem pojawił się dumny z siebie chudy staruszek otrzepujący stary, choć jeszcze całkiem dobry garnitur po bardzo dziwnym i niefortunnym upadku.

Dostawczak rąbnął Henryka tak, że ten na pewno nie zdążył sobie nawet przypomnieć, czy miał zapłacone składki, czy nie. Uderzenie

było tak silne, że nadało mu tak niezwykle rodzaj energii kinetycznej, iż Henryk przez cały swój całkiem długi lot nie opadł nawet o centymetr, tylko praktycznie sunął między ludźmi z kończynami wyrzuconymi w kierunku przeciwnym do kierunku poruszania się. Zdawało się, że łamie tym samym wszelkie prawa fizyki.

Nawet na koniec nie opadł, tylko zatrzymał się wprost na ścianie kamienicy.

Teraz to już naprawdę wyglądał na pokonanego i nawet taki wariat jak Henryk nie wstałby po czymś takim i nie chciał kontynuować walki.

Mnie jednak za bardzo na nim zależało, żeby pozostawiać najważniejsze sprawy ślepemu losowi, musiałam więc mieć absolutną pewność, że mi się jakimś cudem nie wyślizgnie. Zwykła rzecz. Henryk przyjął z godnością całkiem spory kawał tynku, który odstawał już od jakiegoś czasu od nieremontowanej od lat i nienależycie zabezpieczonej elewacji. Kilkudziesięciokilogramowa bryła przysypała biedaka, nie dając mu najmniejszej szansy na przeżycie.

Na ulicy zrobiło się małe zamieszanie. Ludzie podzielili się na dwie zwyczajowe frakcje. Pierwsza, wychowana w normalnych domach i rodzinach, ruszyła, by udzielić pomocy ofierze. Druga, wychowana na amerykańskich filmach, miała syndrom Mela Gibsona, który to zawsze, kiedy zamordowano mu żonę, poświęcał jej góra dwie sekundy tylko po to, żeby nikt nie zarzucił mu, że nawet nie sprawdził, czy nieszczęsna żyje, i zaraz potem ruszał w pościg za sprawcą. Spora część Miedzianej większą atrakcję widziała w możliwości wymierzenia kary potencjalnemu winnemu niż w ewentualnym ratowaniu życia przysypanego staruszka.

Niestety, nikt tu przecież nie był winny. Bo niby kto? Złe warunki atmosferyczne, ekstremalne zdarzenia pogodowe, zaostrenie klimatu, erozja?

Wyglądało na to, że wszystko się pięknie udało i nie zmartwiło mnie nawet wycie syren nadjeżdżającej karetki. Już chyba tylko jakiś uzdrowiciel cudotwórca mógłby go uratować. Czyli wiceminister sportu i jego firma, ale Henryk nie miał przecież tyle pieniędzy, a tamten też miał sporo zajęć w sądzie i prokuraturze.

– Co pani znowu wyprawia?! – spytał Borewicz, chwytając mnie za ramię.

Twarz miał czerwoną, niemal fioletową, a gdy mówił, w kącikach ust zbierała mu się piana. Obrzydliwe.

– O co panu znowu chodzi? Przecież wystawiłam panu sabotażystę wraz z dowodami. Miałam jeszcze palcem pokazywać? Lotnisko w szczerym polu, nowy blok elektrowni węglowej, przekop Mierzei Wiślanej...

Borewicz nie był już w stanie nic powiedzieć. Wsparł się o Gierka, który przytrzymał go, bo z pewnością by się przewrócił. Popatrzyłam na nich. Oni na mnie.

– Nic tam nie było, pani Zofio. Łąka, dziura i jakaś graciarnia – powiedziała spokojnie Szaflarska.

– Niemożliwe. Przecież rząd o tym trąbił, pisano o tym w gazetach, ludzie od miesięcy rozmawiali, a z podatków ciężko pracujących podatników wydano miliardy. Chyba nie myślicie, że to mogło chodzić jedynie o mistyfikację dla wyciągnięcia pieniędzy z budżetu?!

– Naprawdę szukaliśmy. Ani śladu lotniska, przekopu, elektrowni.

Wystawiono mnie. Jak mogłam tak się dać nabrać? Była to zdecydowanie najpotężniejsza kompromitacja w moim życiu... a na pewno jedna z większych... bez wątpienia mieściła się w pierwszej piątce... dziesiątce. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większe odnosiłam wrażenie, że zarówno w tej dziedzinie, jak i w kilku podobnych nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa. Czułam się w pełni sił i zdawało się, że niejedno jeszcze przede mną. Dlaczego zatem miałabym się jakoś nadzwyczajnie przejmować akurat tą wpadką?

Całą drogę powrotną nie czułam się komfortowo, wysłuchując niekończącego się ciągu zarzutów ze strony bardzo sfrustrowanego i bez przerwy patrzącego wstecz Borewicza. Nie miałam żadnej, nawet najmniejszej przyjemności z przebywania w jego towarzystwie. Wydawał się taki mały i wystraszony, jakby się skurczył od myślenia o konsekwencjach tego, co ja – w jego ocenie – rzekomo narozrabiałam.

Po powrocie do sekcji swój występ rozpoczął Brygadzysta. Był tak zapieniony, że niezbyt wiele dało się zrozumieć z tego, co mówił.

Nie było wielkiego sensu zastanawiać się nad sensem jego słów, ponieważ po niespełna dwóch minutach przekroczył dzienny limit przekleństw i jego słowa stały się zupełnie niesłyszalne. Przypominał wtedy aktora przedwojennego kina niemego, co akurat całkiem mi się podobało. Zresztą nie tylko mnie, bo do naszego biurka zeszło się całkiem sporo osób. Ci z mojego pokolenia patrzyli ze wzruszeniem, młodszy z ciekawością. Nikt nie pozostał obojętny. Gdy Brygadzista w końcu opadł z sił, wszyscy bez wyjątku bili mu brawo na stojąco. Niektórzy nawet domagali się bisu.

Nie zdążył jednak, nawet gdyby dał się namówić, bo właśnie w tej chwili usłyszeliśmy dziwny dźwięk. Jakby kliknięcie metalowego mechanizmu i zgasło światło. Potem rozległ się krótki świst i podświetliły się niewielkie tabliczki wskazujące drogę ewakuacyjną.

Nikt nie miał odwagi powiedzieć ani słowa. Choć mówiło się o tym od dawna, to nikt, włączając w to Brygadzistę, nie mógł uwierzyć, że przepowiednia się ziściła. Ludzie powoli wstawali i szli w kierunku wyjścia. Nikt jednak nie zbliżał się nawet do drzwi. Wszyscy w milczeniu zatrzymywali się przed wielkim wyświetlaczem deficytu dobra, który zatrzymał się na wartości – 9 999 999 999.

– Co teraz? – spytał ktoś szeptem.

– Nie wiem – odpowiedział ktoś inny.

Nikt nie wiedział. Nawet Brygadzista. A może zwłaszcza on.

Jedni stali, patrząc z niedowierzaniem na martwy wyświetlacz, jakby mieli nadzieję, że doznał jedynie chwilowej zapaści, po której nagle ożyje i zacznie znowu odmierzać głębokość moralnego upadku ludzkości. Inni zaczęli podawać sobie dłonie, ścisnąć się na pożegnanie i powoli rozchodzić w nieopisanym smutku.

Jakiś bystrzak zaproponował, żeby wyświetlacz zrestartować lub przywrócić do ustawień fabrycznych, ale Brygadzista nie pozwolił go dotykać. Pewnie nie miał instrukcji i bał się utraty gwarancji.

Powoli wycofałam się w kierunku wyjścia. Czułam, że powinnam coś zrobić. Zwłaszcza że raczej nie dało się już więcej zepsuć.

Szybko minęłam żółty domek, trawnik otoczony drzewami owocowymi, pokonałam mostek. Potem zarośla, las, zejście, mgła, potykanie się nie wiadomo o co, wiszące gałęzie, grube konary i na

końcu wzniesienie. Mówią, że droga dłuży się zawsze za pierwszym razem. Nieprawda.

Wychyńłam zza skrzyń z kompostem, ale tym razem nikogo nie zobaczyłam. Pierwsza myśl, jaka nasunęłaby się każdemu w takim momencie, to spróbować tej rzodkiewki.

Lecz nie mnie. Ja z warzyw tolerowałam jedynie ziemniaki.

Poszłam dalej, aż do ogromnego domu. Zdziwiłam się, bo nie był to żaden Tadż Mahal, Notre Dame ani nawet Świątynia Opatrzności. Zwykły dom. Byle proboszcz lepiej mieszkał.

Podeszłam do przeszklonych drzwi od strony tarasu i przykleiłam nos do szyby. Oglądała *Seks w wielkim mieście*. Zdziwiająca. A jednak można tu mieć internet.

Nagle musiała mnie usłyszeć, bo odwróciła się, spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

Padłam na kolana, ale wstałam tak szybko, że nawet nie zdążyła się nadąsać. Otworzyła drzwi i spytała:

– Oglądasz ze mną? Może zrobimy sobie babski wieczór?

– Nie mogę się przyzwyczaić, że jesteś kobietą.

– *Hello* – odpowiedziała, uśmiechając się i rozkładając ostentacyjnie ręce. – Co w tym dziwnego?

– Nie no, nic. To świetnie. Po prostu... na ziemi... na religii mówią, że jesteś mężczyzną.

– Co takiego? Mężczyzną? – parsknęła śmiechem, aż się delikatnie opluła. – Przepraszam – powiedziała, wycierając usta. – Mężczyzną? Przecież to posługacze. Praktycznie niepotrzebni. Stworzyłam ich z nudów, z twojego żebra, żeby miał ci kto ciężkie torby nosić, słoik odkręcić, ewentualnie kran naprawić. No i żeby miał ci kto mówić, że jesteś piękna.

– Księża mówią co innego – stwierdziłam ze smutkiem.

– Co za księża? Też mężczyźni?

– No tak, oni twierdzą, że są twoimi przedstawicielami na ziemi i wyznają wiarę w twojego syna.

– W mojego syna? Nonsens!

– To prawda.

– Nie do wiary. – Zaśmiała się. – Mężczyźni uprawiają kult mojego syna?

Przeszła się w tę i z powrotem, zakładając ręce pod boki i patrząc w ziemię.

– Jezus! – zawołała. – Jezus! Chodź tu, leniu!

Nikt się nie odezwał.

– Jezus, do jasnej cholery! Chodź tu natychmiast, bo ci wyłączę konsolę!

Po chwili przyszedł z wolna ubrany w szare dresy, chudy, zarośnięty młodzieniec o śniadej skórze i mętym spojrzeniu.

– Byłeś na ziemi? – spytała surowym głosem.

– Co? – spytał tonem dającym do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać.

– Zdejmij te słuchawki, jak matka do ciebie mówi! – wrzasnęłam i natychmiast zamarłam z przerażenia, zakrywając sobie usta. – Przepraszam... wyrwało mi się...

Spojrzeli na mnie nieco zaskoczeni, ale tych rzuconych odruchowo słów nie dało się już cofnąć.

– No zdejmij, na co czekasz? Pani dobrze mówi – potwierdziła kobieta spokojnie. – Byłeś na ziemi czy nie? – spytała, gdy niechętnie zdjął słuchawki.

– Nie – odpowiedział w taki sposób, że każdy by się domyślił, że nie mówi prawdy.

– Powtarzałam ci przecież, że to nie żadna gra w Simsy.

– Oj, mammo...

– Coś tym im tam nagadał?

– Nic, wszystko tak, jak się powinno. Miłość, tolerancja, uczciwość, miłosierdzie, skromność...

– No to cię chyba słabo zrozumieli.

– Bo tobie się wydaje, że to tak łatwo. Nie masz pojęcia, jakie to tłumoki.

– No to trzeba było prosto mówić, głośno i wyraźnie. A ty się pewnie popisywałeś.

– Wcale nie.

Jezus splótł ramiona na piersi i nadąsany usiadł na kanapie. Ona podążyła za nim.

– Na pewno się popisywałeś – stwierdziła. – Już ja cię znam.

– Nie – odpowiedział.

– Chodziłeś po wodzie?

– A ty to niby lepiej się komunikowałaś. Ciekawe, kto miałby zrozumieć, co znaczy płonący krzak?

Spojrzała na niego gniewnie.

– Czego ty znowu chcesz od płonącego krzewu? – oburzyła się, wyrzucając ręce do góry w teatralnym geście. – Czego mieliby nie zrozumieć? To przecież jasne jak słońce. Płonący krzew oznacza, że należy żyć w miłości, pokoju, przyjaźni i wzajemnym poszanowaniu. Czego mieliby nie zrozumieć?

– Oj, mamó, daj spokój... Mogę już iść?

– Wyłączę ci te gry, zobaczysz.

Poszedł.

Kobieta stanęła naprzeciwko mnie z rękami założonymi pod boki.

– Naprawdę mnie zaskoczyłaś – stwierdziła. – Nie pomyślałabym, że tacy nieudacznicy, którzy nie potrafią ani się ubrać, ani nakarmić, nie mówiąc już o urodzeniu dziecka, mogą coś znaczyć.

– No, oni sami się powołali do władzy. Są silniejsi.

– Fakt, dałam im trochę mięśni. To błąd. Dziękuję, że zwróciłaś mi na to uwagę. Zannotuję to.

– A może... – zastanowiłam się. – Skoro już o tym rozmawiamy, to może dałoby się coś z tym zrobić? Oni bywają okropni. Dyskryminują, ograniczają prawa, zdradzają, nie płacą alimentów, nie ustępują miejsca w tramwaju!

– Nie, nie. – Machnęła ręką, idąc do kuchni. – Szkoda czasu. To już od dawna idzie do zatopienia. Kochanie! – zawołała w kierunku korytarza. – Co robisz?!

– Porządki w szafie! – odezwał się męski głos.

– Grasz na konsoli?! – spytała ponownie.

Przez kilka sekund nie było odpowiedzi.

– Na chwilę zrobiłem sobie przerwę!

– Podejdiesz?!

– Już, kochanie!

Po chwili w salonie pojawił się siwy, uśmiechnięty brodac z nieznaczną nadwagą i o nieco prząśnym wyglądzie.

– Zesłałeś już ten potop, o który cię prosiłam? – spytała kobieta.

– Nie! – zaprotestowałam. – Proszę tego nie robić.

– Dlaczego?

– Tam został mój mąż... i syn...

– Mężczyźni?

– Tak.

– No to po co ci oni?

– Ci dwaj... akurat ci dwaj... nie są aż tacy źli.

– Zesłałeś ten potop czy nie? – powtórzyła pytanie.

Mężczyzna zafrasował się, po czym uśmiechnął się kwaśno, sugerując, że chyba z czymś nawalił.

– Nie – odpowiedział.

– Ile można cię prosić? – Ponownie wyrzuciła ręce do góry i przeszła się po salonie.

– Ale czekaj. – Coś mu zaświtało. – Już wiem. Słuchaj. Przypomniało mi się. Chciałem zesać, ale wiesz, co się okazało? Że ludzie sami już się tym zajęli.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Poważnie. Nie uwierzysz, w jaki sprytny sposób: najpierw produkują dwutlenek węgla...

– Daj spokój. – Pokręciła głową. – Nie można na tobie polegać.

– Mówię prawdę.

Podniosła ze stolika szklanek z wodą i od razu ją odstawiła.

– Słuchaj, a ty wiedziałeś, że Jezus był na ziemi? – zwróciła się do niego.

– Ja? – spytał, wytrzeszczając oczy z zaskoczenia. – Czy ja wiedziałem?

– Pozwoliłeś mu jechać na ziemię? – Zmieniła ton na wyraźnie nieprzyjemny. – Czy ty w ogóle myślałeś o konsekwencjach? Przecież mogło mu się coś stać!

Mężczyzna pocierał nerwowo dłonie, wykrzywił przy tym usta i przewracał oczami.

– Wiem, że to nie najlepszy moment – wtrąciłam się nieśmiało. – Ale jeżeli byłaby możliwość, żeby Jezus jeszcze raz przyszedł na ziemię, to ziemskim sprawom bardzo by to pomogło.

– Wykluczone! – ucięła kategorycznie kobieta.

– Raczej by nie chciał. – Mężczyzna pokręcił głową. – Nie najlepiej wspomina tamten raz. Miał jakieś nieporozumienia z kolegą.

– Jakim kolegą? – zainteresowała się kobieta. – Nic mi nie mówił.

– Z jakimś rudym Januszem.

– Judaszem – poprawiłam odruchowo.
– Możliwe. Źle się rozstali.
– Dobra, nieważne – przerwała zniecierpliwiona kobieta. – Stare dzieje. Zostawmy to. Piwnicę posprzątałeś?

Spuścił głowę.

– Coś stamtąd słyhać. Tyle razy ci mówiłam.

– W piwnicy jest porządek.

– Na pewno? Żeby się tam coś przypadkiem nie zaległo. Weź Jezusa i posprzątajcie.

– Jest porządek, na pewno.

– Słyszałam stamtąd jakieś odgłosy.

– To pewnie kocioł.

– Zrób to, o co cię proszę.

– Dobrze, tylko coś zjem – westchnął, idąc do kuchni.

– Tylko byś jadł i jadł.

Odwróciła się, sięgając w końcu po szklanekę wody, którą tyle razy miała już zamiar wypić. On natomiast skinął na mnie. Na początku myślałam, że mi się zdawało, ale powtórzył gest, więc podeszłam dyskretnie, a on nachylił mi się do ucha.

– Przekażę Jezusowi – szepnął, po czym dobrotliwie pokiwał głową, mrużąc oczy na znak porozumienia.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziałam równie konspiracyjnie.

– Podaj jakieś hasło, żeby wiedział, kiedy i gdzie przyjść.

– Ale jakie?

– Najlepiej jakiś częsty i łatwy do zapamiętania zwrot.

W tym momencie kobieta odwróciła się w naszą stronę, przez co mężczyzna momentalnie ruszył w stronę kuchni. Dopiero gdy zniknął jej z pola widzenia, ponownie pokiwał głową i zmrużył porozumiewawczo oczy.

Ona natomiast spojrzała na mnie, ale już bez tego uśmiechu co na początku.

– Słuchaj – powiedziała. – Miło, że wpadłaś, ale nie zatrzymuję cię. Pewnie masz swoje zajęcia.

– Cóż... – zaczęłam, myśląc jednocześnie, jak tu wybrnąć z krępującej sytuacji. – Tak naprawdę przyszedłam w konkretnej sprawie.

– Naprawdę?

- Chodzi o Sekcję Dobrych Uczynków.
- Jest taka?
- To start-up w ramach funduszu sprawiedliwości.
- Widocznie utworzyłam ją zdalnie. Co z nim?
- Mieliśmy kilka małych niepowodzeń.
- To nic.
- Naprawdę?
- Ziemia do zatopienia. Sekcja do zamknięcia. Postawimy tam biedronkę.
- Westchnęłam ciężko.
- A czy można byłoby prosić o jeszcze jedną szansę? – spytałam nieśmiało.
- Która to już by była? Według mnie jakaś dwa tysiące setna.
- Bardzo nam zależy. Poprawimy się. Mam nowy pomysł. Żeby nie wytwarzać wiele małych dobrych uczynków. Poszerzymy skalę, wykreujemy jeden duży, znaczący. Wprowadzimy innowacje, posłużymy się zgodą, szacunkiem i miłością...
- Nie no, proszę cię... – Usiadła na kanapie, zakrywając sobie uszy. – Nie interesują mnie technikalia. Chcesz? Zgoda.
- Naprawdę?
- Tak, ale w zamian weźmiesz swojego jedyne syna, zaprowadzisz go na górę wysoką, a tam weźmiesz nóż i...
- Spojrzałam na nią przerażona.
- Ha! Mam cię! – Podskoczyła na kanapie rozbawiona. – Ale miałaś minę! To taki żart środowiskowy.
- Podniosła pilot ze stolika i wznowiła odtwarzanie.
- No idź już, idź. Ratuj, produkuj. Powodzenia. Przyjdź, jak skończysz. Powiesz, co i jak, i razem pooglądamy seriale.

Rozdział 8

Byliśmy gotowi. Stanęliśmy w korytarzu niczym superbohaterowie, zmotywowani, chcący rozprawić się z całym złem tego świata. Edward Gierek stał wyprostowany i dumny, pozdrawiając ruchem ręki nieistniejący tłum, Danuta Szaflarska uśmiechała się do wszystkich, Borewicz wodził wzrokiem po zgromadzonych – jednym słowem, byliśmy zdecydowani, ale nie wiedzieliśmy na co. Nie mieliśmy bladego pojęcia, co ze sobą zrobić.

– To może kawa? – spytałam gotowa ściągnąć na siebie gromy za tak trywialną propozycję w tak ważnym momencie.

– Oczywiście, koleżanko – przytaknął Gierek. – Kawa by się przydała.

– Jak najbardziej – zgodziła się Szaflarska.

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku Borewicza pocierającego brodę na znak największego zatroskania.

– Ja zrobię – oznajmił, rozwiewając naszą niepewność i popychając do czynu.

Ruszyliśmy do kuchni, gdzie Borewicz policzył nas, wyjął z szafki kubki, nasypał kawy, wlał wodę do czajnika, nastawił i... na tym koniec. Nie znalazł już niczego, co mógłby jeszcze zrobić. Pozostało czekanie w narastającym napięciu. Najpierw woda zabulgotze, ostrzegając, że ów moment się zbliża, niedługo potem ów moment nastąpi. Ten, w którym nie będzie już nic do zrobienia, żadnych kolejnych wymówek i okaże się to, czego wszyscy najbardziej się baliśmy: że nie mamy pojęcia, co dalej, i że jesteśmy bezradni.

Mimo że w przerwach na kawę w towarzystwie kolegów i koleżanek byliśmy jak nieustraszeni wojownicy, rozwścieczone byki, zabójczy oddział specjalny, niesiona wiatrem husaria, wszystko to nieoczekiwanie i nagle przestawało działać, jeżeli zamiast niezobowiązującej rozmowy i luźnych dywagacji otrzymaliśmy możliwości, a nawet nakaz działania, dokonania czegoś konkretnego. To zabijało kreatywność. Skąd wziąć pomysły? Skąd odwagę? Misja zdawała się niewykonalna.

– Słuchajcie – zaczęłam, nie do końca wiedząc, do czego zmierzam.

Nadspodziewanie szybko i skutecznie zwróciłam na siebie ich uwagę. Każdy wbił we mnie wzrok, jakby tylko czekał na to, że się odezwę. Miałam nadzieję, że chwilę mi zajmie ich ucieszenie, zanim pozwolą mi dojść do głosu, a ja wykorzystam ten czas na zastanowienie się nad tym, co faktycznie mogłam powiedzieć. Tak się jednak nie stało i skoro zaczęłam, to musiałam brnąć dalej. Niestety, jak to w każdej opowieści, początek był najłatwiejszy. Każdy mógł go wymyślić tak, żeby był intrygujący, i wszystko się jeszcze na tym etapie zgadzało. Później przeważnie było gorzej i o tym właśnie miałam się boleśnie przekonać, tak jak przekonał się o tym chyba każdy autor książki zaczynający snuć opowieść bez dobrego planu.

– Słuchajcie mnie... – kontynuowałam. – Musimy mieć... plan...

– O tak, koleżanko – przytaknął Gierek.

– Plan! – podkreślił Borewicz.

– Dobry pomysł – zgodziła się Szaflarska. – Plan.

Zawsze wiedziałam, że lata przepracowane w zawodzie nauczycielki języka polskiego nie pójdą na marne i że to właśnie my, lingwiści, uratujemy świat. To co my tam mieliśmy w tej literaturze? Bohatera, cel i przeszkody. Bohater to nie problem. O przeszkody też się nie martwiłam.

– I cel – dodałam. – Musimy mieć cel.

– Świetnie, koleżanko – przytaknął Gierek.

– Cel! – podkreślił Borewicz.

– Cel i plan – zgodziła się Szaflarska. – A jaki to ma być cel?

Szlag by to trafił, a tak dobrze mi szło! Spojrzałam na nią, ścigając usta i mrużąc oczy. Co to była za destrukcyjna kobieta. Jak z taką pracować? Sabotażystka.

– Może niech pani coś wymyśli – rzuciłam w złości. – Skoro pani w tym taka dobra!

– To jest to – ucieszyła się Szaflarska. – Cel to dobro, tworzenie dobra.

– Bardzo dobrze, koleżanko – przytaknął Gierek.

– Tworzenie dobra! – Borewicz pokiwał głową.

– Przecież to właśnie powiedziałam! – oburzyłam się.

– To co jeszcze? – spytał Borewicz, podniesiony na duchu dobrą passą. – Czego jeszcze możemy potrzebować?

– Może miecza?

– Pełna zgoda, koleżanko – przytaknął Gierek.

– Miecz! – podkreślił Borewicz.

– O czym pani mówi? Jaki znowu miecz? – zdziwiła się Szaflarska. – Po co nam miecz?

Może faktycznie nie ma co przesadzać z tą literaturą.

– Miecz opcjonalnie – wyjaśniłam.

– Tak jest, koleżanko – przytaknął Gierek.

– Opcjonalny miecz! – podkreślił Borewicz.

– Cel, plan i miecz – zgodziła się Szaflarska. – Opcjonalnie.

– A teraz bierzmy się za plan – rzuciłam, zajmując miejsce przy stole i wskazując pozostałym, by zrobili to samo.

Zaszurały krzesła i wszyscy usiedli. Tylko Borewicz podszedł do czajnika i zalał kawę po tym, jak woda się zagotowała, a nikt tego nawet nie zauważył.

– Do realizacji celu – zaczęłam – potrzebujemy bohatera. Bohater jest najważniejszy. Jest nośnikiem naszej historii, jej motorem, a także łącznikiem ze światem stworzonym...

– Rozumiemy – wtrącił się Borewicz. – Musimy kogoś wybrać?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bohatera już mamy.

– Kogo?

– Jak to kogo? – oburzyłam się. – Mnie!

– Nie, to niemożliwe.

– A niby dlaczego?!

– Jak pani to sobie wyobraża?

– Normalnie. Udam się na ziemię i wszystko naprawię. Jaki ma pan z tym problem?

– Nie możemy aż taki ingerować w życie na ziemi, to znaczy zmieniać je własnymi rękami. Niestety, to ludzie muszą to zrobić. To ich świat.

Spojrzałam na niego zbита z tropu.

– No to jesteśmy załatwieni – stwierdziłam.

– Zgadza się.

– Ludzie są beznadziejni.

– To prawda.

Czas płynął, kawa stygła, lodowce topniały, a my wciąż byliśmy na etapie planowania.

– No dobrze – rzuciłam, przerywając ciszę. – A może jako bohatera użyć dobrego człowieka, który może zmienić świat. Choć trochę. Przy naszej pomocy, bo inaczej sam już by to pewnie zrobił. A nie zrobił.

– Ale kto, według pani, mógłby to być? – spytała Szaflarska.

Zastanowiłam się.

– Może ożywić Elvisa Presleya? – zaproponowałam.

Skrzywili się, a gdy się zorientowali, że nie żartuję, popatrzyli na mnie jak na wariatkę.

– Nie da się? Szkoda. Tak pięknie śpiewał.

– Da się i dlatego Amerykanie już dawno go ożywili. Ale poza naszym zasięgiem. To bogata i rozwinięta sekcja. Aktualnie zajmują obie wieże World Trade Center, dysponują funduszami, wiedzą, technologią. Mają nieporównywalnie większe możliwości.

– To niesamowite.

– Tyle osób widziało go żywego. Nie zorientowała się pani?

– Aż tak się nie interesowałam.

– Niestety, przeżył zaledwie kilka dni dłużej. Amerykanie wciąż jednak próbowali, przez co zrobił się mały bałagan. Wersji śmierci powstało co najmniej kilkanaście. Tyle samo chodzących po ziemi Elvisów. Większość zamknięto w zakładach dla obłąkanych, ale część nawet koncertuje. Dlatego tych błędów nie chcemy powtarzać – podkreślił to tak dobitnie, jakby sam siebie chciał o tym przekonać. – Nie chcielibyśmy nikogo ożywiać, nawet jeżeli mielibyśmy takie możliwości. A nie mamy.

– Co w takim razie zrobimy? – spytałam. – Wykorzystamy kogoś żyjącego?

– To też kłopotliwe – odpowiedział Borewicz. – Po pierwsze, całe lata musielibyśmy czekać na efekty jego działań, a po drugie, z naszych danych wynika, że bardzo trudno znaleźć odpowiedniego człowieka.

– Dokładniej mówiąc – wtrąciła się Szaflarska – wiemy, że w Polsce nie ma już ani jednego dobrego człowieka.

– Niemożliwe – zaśmiałam się, odchylając na krześle i patrząc z niedowierzaniem na pozostałych. – O czym pani mówi? Przecież jest... no przecież... jest...

To, że akurat nic nie przychodziło mi do głowy, jeszcze nie oznaczało, że na świecie nie było dobrych ludzi...

Kotański nie żyje, Religa nie żyje, Mazowiecki, Geremek, Kuroń... ale i nawet w ostatnim czasie Demarczyk, Pszoniak, Penderecki, Pilch, Kowalewski, Krawczyk, Machalica, Stankówna, właściciel piekarni na rogu, który odkładał mi chleb. O matko jedyna, czy ona mogła mieć rację? To kto pozostał na tej ziemi? Sami sprzedawcy ubezpieczeń, celebryci, pisarze? W takim razie dobrze, że i ja umarłam. Trzeba jednak mieć jakieś poczucie taktu i nie być ostatnią osobą wychodzącą z przyjęcia. Chociaż jakie ja tu mogłabym mieć potencjalne towarzystwo. Muszę ich wszystkich odszukać!

– Dobrze, ale jest przecież Donald Tusk. – Ucieszyłam się, że ktoś jednak przyszedł mi do głowy. – Co z nim nie tak?

– Dobry człowiek, ale je mięso w piątek, a gdy gra w piłkę, to przeklina i fauluje. Raz też splunął na murawę.

– Obrzydliwe. No a ten nowy, Trzaskowski? Taki ładny.

– No on przecież zepsuł oczyszczalnię ścieków.

– Jak niby miałby to zrobić? Wrzucając pieluchę do sedesu? To plotki i pomówienia.

– Też jesteśmy tego zdania, ale jednak niesmak pozostaje.

Zastanowiłam się chwilę, po czym uśmiechnęłam się szeroko.

– Ha! Mam! – Podskoczyłam z radości. – Jest przecież Janina Ochojska! I co?! Jest!

– Ona się nie liczy.

– Jak to się nie liczy?

– Zwyczajnie. To nie człowiek.

– Tylko kto?

– Nasza agentka.

– Tak myślałam – fuknęłam, rozprostowałam się na fotelu i zaplotłam ręce na piersi, pokazując, jak bardzo jestem pewna siebie.

– Naprawdę? Domyśliła się pani? – spytała niedowierzającym tonem. – To może ojca Ryzyka też się pani domyśliła?

– Chyba sobie pani żartuje?! – wybuchłam. – To kto go niby rekrutował?! Feliks Dzierżyński?!

– Spokojnie. Niech się pani nie unosi – zaśmiała się. – Jest agentem, ale nie naszym.

– Naprawdę?!

– Tak. Przeciwnej strony.

– Nie do wiary! Umieścili agenta w Kościele?!

– Żeby to jednego.

– To by wiele wyjaśniało – przytaknęłam po zastanowieniu.

– Z naszych danych wynika, że już co dziesiąty ksiądz nie jest człowiekiem.

– Matko jedyna.

– To jest wojna, droga pani, to jest wojna – stwierdziła ze smutkiem. – Ale to nie jest najsilniej przesiąknięta grupa zawodowa. Źle jest w Sejmie, nie wspominając o rządzie, niewiele lepiej w bankowości, urzędach, chyba sama pani wie. Przy czym Kościół wciąż jest dla nich najatrakcyjniejszy. Dzięki temu uderzają tam, gdzie najbardziej boli, oraz doskonale nas dyskredytują, bo Kościół, nie wiedzieć czemu, wciąż jeszcze jest postrzegany jako nasza reprezentacja.

– A nie jest nią? – zdziwiłam się, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że chyba potrafiłam sama sobie odpowiedzieć na to pytanie.

– Kościół robi wiele dobrego, ale w znacznym stopniu przeinaczył nauki Jezusa. Zrobili już tyle przekładów Pisma Świętego, że z oryginalnego przekazu niewiele zostało. To, co niewygodne, pominęli, to, co przydatne, uwypuklili. Zmarginalizowali na przykład rolę kobiet w życiu duchowym, praktycznie usunęli Marię Magdalenenę. Utworzyli klub dla mężczyzn dzięki zagwarantowaniu sobie monopolu na kontakt z Bogiem. Gdyby, proszę pani, na tym rynku funkcjonowała jakakolwiek konkurencja, to wszelkie patologie zniknęłyby w ciągu kilku tygodni. Albo gdyby chociaż Kościół obejmowała działalność Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

– Słuchajcie – przerwał zniecierpliwiony Borewicz. – Rozumiem, że rozmawiamy o ważnych sprawach, ale kręcimy się w kółko. Musimy w końcu coś postanowić.

– Czuję, że to się może nie udać – westchnęła Szaflarska. – Jak nie zamkną sekcję.

– Zamkną? Tak od razu? – nie dowierzałam. – Nie dadzą nam szansy?

– Już dostaliśmy. Były szanse – włączyła się do rozmowy Emilia Plater. – Każda sekcja mogła sobie kogoś ulepić. Niemcy zrobili Angelę Merkel, Amerykanie Baracka Obamę. Oni wiele dobrego dali swoim krajom i światu. My też chcieliśmy być wielcy. Dogonić światowe potęgi, a nawet je prześcignąć. Ale geopolityka, ekonomia, energetyka, ochrona środowiska, to wszystko takie skomplikowane i trudne...

– Kogo ulepiliśmy?

– Jak to kogo? Roberta Lewandowskiego! Nie widziała pani, jak on strzela? Rzadko którą piłkę my podkreścamy.

– Można się było domyślić.

– Za kilka lat będzie kanonizowany, a potem beatyfikowany. Obok Świętego Tomasza z Akwinu czy Świętego Franciszka z Asyżu będzie nasz Święty Robert z Bayernu.

Atmosfera zrobiła się tak podniosła, że przez chwilę myślałam, że wstaniemy i się pomodlimy do nowego świętego, ale na to było jeszcze za wcześnie. Miał do rozegrania dwa, może nawet trzy sezony na dobrym poziomie.

– Myślę, że będzie trudno – powiedziała Maria Skłodowska-Curie, dołączając do dyskusji. – Polska sekcja nie ma żadnego poważnego sukcesu od wygranych wyborów papieża Polaka.

– To wasza sprawka? – spytałam.

– Oczywiście. A jak pani to sobie wyobrażała? Przez czterysta lat włoscy kardynałowie wybierali Włocha, z jednym jedynym wyjątkiem, kiedy wybrano Holendra. Papież z Polski? Niech się pani zastanowi.

– Trudno uwierzyć, że wam się to udało. – Popatrzyłam na nich z powątpiewaniem. – Nie mówiąc już o tym, że w ogóle cokolwiek wam się udało.

– Ach, droga pani, cóż to była za walka – westchnęła Skłodowska-Curie. – Jakie emocje. Włosi zablokowali się między wyborem konserwatywnego Giuseppe Siriego a postępowego Giovanniego Benellego. Byliśmy zresztą bliscy zdemaskowania. Hiszpan Vicente

Tarancón powiedział wprost: „Bóg poróżnił Włochów i wykorzystał ludzką złość, żeby utrudnić wybór papieża”. Co on tam wiedział? Przecież to oczywiste, że Bóg nie miała z tym nic wspólnego, tylko my. A konkretnie nasz największy narodowy talent do kłótni i jątrzenia. Bóg zresztą by nam na coś takiego nie pozwoliła. Ale my znaleźliśmy sposób. Nikt nie poznał preferencji ani sympatii Boga. To tajne. Jednak już w latach siedemdziesiątych do naszej sekcji trafiało wiele komunikatów o niewyjaśnionych zdarzeniach. Jednym z nich były wyczyny Wandy Rutkiewicz. Ludzie mówili, że była dzieckiem szczęścia, ale jakim trzeba być naiwnym, żeby w coś takiego uwierzyć? Mieliśmy podejrzenie, że to nie przypadek, i postanowiliśmy zaryzykować. Gdy po trzydziestu trzech dniach od rozpoczęcia pontyfikatu nieoczekiwanie zmarł Jan Paweł I, natychmiast wysłaliśmy panią Wandę na Mount Everest. W tamtych czasach była to niezwykle trudna i niebezpieczna wyprawa, dlatego byliśmy pewni, że jeśli faktycznie Bóg łaskawym okiem patrzyła na naszą himalaistkę, to nie będzie mogła nawet oka zmrużyć, kiedy ona będzie wchodzić tak wysoko. Tak też się stało. Zostaliśmy pozbawieni jakiejkolwiek kontroli i mogliśmy działać bez jakichkolwiek przeszkód. Całą drogę jej pilnowała, żeby się nie spierdoliła. To znaczy nie spadła. My to wykorzystaliśmy i w ósmym głosowaniu, kiedy Wanda Rutkiewicz jako trzecia kobieta, pierwsza Europejka i pierwsza Polka weszła na Mount Everest, po mistrzowsku wypromowaliśmy naszego kandydata.

– Tak, ja też to pamiętam – powiedziała wzruszona Izabela Czartoryska. – Wskaźniki Dobra Krajowego Brutto oraz ceny dóbr konsumpcyjnych eksplodowały! W kilka miesięcy spłaciliśmy zadłużenie i przez lata byliśmy nad kreską. Do niedawna – dodała ze smutkiem. – Cały kapitał został roztrwoniony. Jesteśmy na gigantycznym minusie i nie zanoszą się, żebyśmy zdołali się z tego wygrzebać. Nie ma też od kogo pożyczyć, bo inni, choć nie są w takiej dupie jak my, to też nie mają zbyt wiele.

– Słuchajcie – przerwałam, bo narzekanie oczywiście każdy lubi, ale tylko własne. Cudze problemy najpierw nudzą, a potem irytują.
– Może to właśnie jest rozwiązanie?

– To znaczy? Proszę nie mówić zagadkami.

– Nie ograniczenie deficytu czy wzrost produkcji dobra, tylko ograniczenie emisji zła. Zamiast szukać dobrego człowieka i go wspierać, spróbujmy znaleźć złego i zacząć go nękać. Niszczyć jest przecież o wiele łatwiej, niż budować. Łatwiej i przyjemniej. Przecież nie można stale zmuszać się do pracy, bo nigdy nie będziemy mieli żadnej efektywności. Musimy mieć z niej choć trochę radości.

Borewicz odstawił kubek z kawą, z którego jeszcze przed chwilą miał zamiar się napić. Wszyscy popatrzyli na mnie dziwnie.

– Ale my, koleżanko, mamy przyjemność z czynienia dobra – stwierdził Gierek półgębkiem.

– A pani nie ma? – dodała Szaflarska, mierząc mnie wzrokiem, jakby widziała mnie pierwszy raz, i może licząc, że jednocześnie ostatni.

– Oczywiście, że mam! Dlaczego miałabym nie mieć?! – oburzyłam się. – Mam, i to jeszcze większą niż wy! Ale spójrzcie na efektywność, na wyniki. One mówią same za siebie. Dobro się nie opłaca.

Odruchowo spojrzeliśmy na tablicę wiszącą nad drzwiami, która wielkimi czerwonymi literami wyświetlała dług dobra rosnący chyba szybciej niż pieniądze na koncie ojca Rzyzka. Nie wyglądało to dobrze. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby w tym miejscu powiesić krzyż.

– Stare metody nic nie dają – kontynuowałam. – Świat się stacza, a my z nim. Trzeba iść naprzód, z postępem, myśleć innowacyjnie, otwierać się na nowe możliwości. Tak jak ja.

– Może to i dobry pomysł – powiedział ktoś na tyle niezdecydowanie, żeby w razie protestów łatwo móc się z tych słów wycofać.

– Obróćmy nasze wady w zalety i wykorzystajmy je przeciwko wrogowi. Jesteście przecież tak zdemotywowani i dekadency, że w kilka chwil każdemu odbierzecie chęć do działania. To się musi udać!

– W sumie... Złych ludzi jest więcej i łatwiej ich znaleźć.

– Są głupszy, bardziej leniwi, strachliwi, przekupni, łatwiej będzie nimi manipulować.

- No ale wtedy wkroczylibyśmy na tradycyjne pole działania gorszego miejsca. Trudno będzie się przestawić.
- Tylko na początku. Potem już samo pójdzie. Zawsze tak jest.
- No ale co z zasadami? Z dekalogiem?
- Na ziemi nawet wierzący się nim nie przejmują.
- Ale my tutaj to co innego.
- Na pewno da się coś z tym zrobić. Zatrudnimy prawników. Jest u nas Lech Falandysz?
- Jest.
- To niech się za to weźmie. Jeżeli się nie uda, to zrobimy kolejny przekład z hebrajskiego.
- Ależ tak się nie godzi.
- To jest wojna, droga pani, to jest wojna.

Spotkania organizowane w ramach przerwy na kawę mają swoje zalety, na przykład całkiem miłą, luźną atmosferę, ale niestety mają też swoje wady. Nie da się podczas nich zrobić przerwy na kawę. Dlatego po jakimś czasie zauważyłam takie symptomy wypalenia zawodowego jak: interesowanie się nieodpowiednio dopasowanymi elementami stroju osób biorących udział w zebraniu oraz tym, jak bardzo przytyły od czasu, kiedy ostatnio je widzieliśmy. Jeżeli nie wymyślilibyśmy szybko czegoś konstruktywnego i rokującego, to spowodowane nadmiernym spożywaniem kawy nadciśnienie i nadkwasota byłyby najmniejszym problemem, jaki mógł nas dotknąć.

- Zrobmy zatem listę najgorszych osób – zaproponowałam. – Takich, których wyeliminowanie z życia publicznego poprawiłoby wyniki w największym stopniu, a następnie spróbujmy policzyć, która propozycja byłaby najtańsza i mieściłaby się w naszym budżecie.

- Obawiam się – powiedziała Szaflarska – że jeżeli nie wykażemy się kreatywnością, to w naszym budżecie zmieści się co najwyżej likwidacja sprzedawcy przypalonych zapiekank z Alei Jerozolimskich na wysokości Poznańskiej. Chociaż oczywiście to byłoby już coś, bo...

Westchnęłam ciężko.

- Proponuję Zenona Martyniuka – powiedziałam. – Bez niego życie byłoby zdecydowanie lepsze.

– Raczej odpada – stwierdziła Maria Konopnicka.

– A to niby dlaczego? Łatwo i tanio można by sprawić, żeby zniknął z życia publicznego. Zachmurzenie, wiatr, przeziębienie, zapalenie gardła, jedno, potem nawracające, i zaraz straciłby głos.

– To nie zadziała.

– Taki odporny?

– Nie, po prostu już dawno odebraliśmy mu głos. Niestety, radzi sobie bez niego.

Szlag! Nie sądziłam, że będzie aż tak trudno. W dodatku kuchenne krzesła były wyjątkowo twarde i niewygodne. W końcu tyłek mnie rozboleł od tego myślenia.

– Szukajmy więc dalej – kontynuowałam, zmieniając pozycję. – Skoro nie da się usunąć ojca Ryzyka, to może szeregowego posła? – spytałam pełna optymizmu.

Popatrzyliśmy wszyscy na siebie. Nikt w zdecydowany sposób się nie zaprotestował.

– Co myślicie? Ktoś ma coś przeciwko temu? – spytał Borewicz, szukając wzrokiem kogoś, kto mógłby ewentualnie zabrać głos w dyskusji. W końcu spojrzał w stronę Jana Pawła II, który kilka minut wcześniej zaszedł na kawę. – Może Ojciec Święty chciałby się za nim wstawić?

– Nie. – Jan Paweł II pokręcił przecząco głową. – Nie znam człowieka.

Coś zatem drgnęło i w końcu zrobiliśmy mały krok naprzód.

– No to mamy pierwszą kandydaturę. – Borewicz przejął inicjatywę. – Musimy działać ostrożnie. W końcu to jemu sekcja z gorszego miejsca zabiła brata.

– Jednak to nie był zamach obcego mocarstwa? – spytałam zaskoczona.

Borewicz popatrzył na mnie z powątpiewaniem. Reakcji pozostałych nie byłam już ciekawa.

– To było w dwa tysiące dziesiątym – pospieszył wyjaśnić Gierek. – Wtedy to my byliśmy w lepszej sytuacji. Pewnie dlatego ich zlekceważyliśmy. Co oni mieli wtedy za środki? Wiatr, chmury, mgłę... Przecież to śmieszne. Mogli co najwyżej obłoczki pomalować albo lasem poszumieć. No ale jakoś dali radę.

– Dlatego szeregowy poseł jest trudny do ruszenia.

– Ale to chyba nie trzeba wiele – kontynuowałam niezrażona. – Może wystarczy podrzucić więcej kotów? Zajmie się nimi i przestanie tracić czas na głupoty.

– Tego już dawno próbowaliśmy, ale koty nie chcą przychodzić, mimo że zapewniamy dobre warunki, dokarmiamy poprzez sąsiada, oferujemy prywatną służbę zdrowia, wcześniejszą emeryturę i dodatek za pracę w trudnych warunkach. Niestety, nawet jeżeli się decydują, to po kilku dniach uciekają.

Ech, wyglądało na to, że całe to przedsięwzięcie nie było takie łatwe. Ale skoro potrafiłam przetrwać jako emerytka w Polsce oraz inteligentka za rządów partii prawicowo-populistycznej, to nie było ryzyka, żebym przepadła w odwiecznej, mitologicznej walce dobra ze złem!

– Musi być jakieś rozwiązanie – stwierdziłam po namyśle. – Jakaś siła największa z sił...

– Przed chwilą pani tłumaczyłam... – wtrąciła się znowu Szaflarska.

– Niech mi pani nie przerywa.

– Chciałam tylko wyjaśnić...

– A weź w końcu zamilcz, kobieto.

Wszyscy spojrzeli na mnie, jakbym miała mieć nerwy ze stali. Uczyłam co prawda w szkole, więc powinnam być przygotowana na pracę z każdym audytorium, ale wszystko miało swoje granice.

– Kobieta! – zawołała Szaflarska. – To jest to! Pokonamy Szeregowego kobietą! Od razu wybije mu z głowy infantylne, idiotyczne i obrażające ludzką godność pomysły, gdy się za niego weźmie.

– No przecież to właśnie powiedziałam – stwierdziłam, sugerując, że nie ma co się ekscytować nagłym olśnieniem Szaflarskiej. – Trzeba było wymyślić, więc wymyśliłam. Bardzo proszę. Pokonamy go kobietą. Wielka mi rzecz.

– Tylko kto to mógłby być? – zastanawiała się Szaflarska.

– A może nie, inaczej, niech się w sobie zakochają. Trzeba by szybko zweryfikować, czy on ma serce. Przestałby nienawidzić, mścić się i pogardzać ludźmi, gdyby kogoś pokochał.

– Tylko jak znajdziemy kogoś, kto mógłby mu się spodobać? Przecież to może zająć lata!

– Albo i dłużej. Poszukiwania musiałyby objąć większość ludności świata. Kobiety i mężczyźni. Przyglądając się Szeregowemu, jego zachowaniu, sposobowi poruszania się i ubierania, należałoby także wziąć pod uwagę ludy pierwotne, Aborygenów oraz żyjące w izolacji dzikie plemiona Afryki. Mimo że jedna z konferencji Ministra Obrony Narodowej i Ministra Spraw Wewnętrznych pokazała, jak daleko idące potrafią być preferencje członków obozu władzy, to jednak wykluczyłbym zwierzęta.

– Może mogłabym kogoś ulepić? – włączyła się Magdalena Abakanowicz.

– Dobry pomysł. – Ucieszyłam się.

– Ale czy wystarczy nam gó...

– Lepilibyśmy z gliny. Ale co z głową i twarzą?

– Musi mieć?

– Dobrze by było. Nie musi być ładna, ale żeby była taka nasza, słowiańska.

– Słowiańska? Wykorzystajmy więc projekty rzeźbiarzy ludowych i amatorów, którzy wzięli udział w konkursie na pomnik tragicznie zmarłego prezydenta. To były wspaniałe maskary.

– Nie będą zbyt podobne do Lecha Kaczyńskiego?

– Bez obaw. Żaden z projektów nie był ani trochę podobny.

Borewicz pogładził się po brodzie.

– Nie, to za długo potrwa – stwierdził zatroskany. – Weźmy gotowe ciało.

– Ludzkie? Przecież potrzebujemy potwora.

– Słyszałam kolejne doniesienia o pojawieniu się yeti.

– Szybko go nie znajdziemy. Poza tym za bardzo owłosiony.

– Podobno on właśnie takie lubi.

– A może inaczej, koleżanko – wtrącił Gierek. – Przed godziną skończyła się w telewizji jakaś krwawa jatka. Nazywa się to gala MMA. Mnóstwo ofiar. W Szpitalu Praskim operują właśnie gruzińską zapaśniczkę. Rokowania są bardzo słabe.

– Owłosiona? – spytałam.

– Jak Chewbacca.

– Ciało w nie najlepszym stanie, ale najgorzej twarz. Nos złamany, łuk brwiowy rozcięty, cała opuchnięta, posiniaczona i pokaleczona.

- Doskonale. Nawet nie będzie trzeba robić żadnej plastyki.
- Rozcięcia warto by pozszywać.
- Gdzie znajdziemy specjalistów?
- Znam dobrego weterynarza.
- Mamy to!

Odchyliłam się na krzesło, próbując wyprostować zeszywniały kręgosłup. Nie miałam pojęcia, że to się może tak przeciągnąć. Niestety, ludzie byli tak pełni entuzjazmu, że nie było siły, żeby ich odciągnąć od roboty. A było już grubo po czternastej!

– Co z rozumem? – włączyła się ponownie Szaflarska.

– A musi mieć? – spytałam kreatywnie, szukając najefektywniejszych rozwiązań. – Ostatnimi czasy u kobiety liczyła się głównie macica.

– Oczywiście, że musi. Nie lekceważmy przeciwnika. Szeregowy jest nikczemny i przebiegły, ale też inteligentny. Jako jedyny z obozu władzy ukończył studia na państwowej uczelni. Nie powinno być jednak problemu, żeby jego kobieta mu dorównała albo nawet go przewyższyła.

– Zgoda. Zarekwirowaliśmy niedawno nielegalną dyskografię Bayer Full. Moglibyśmy za nią kupić w gorszym miejscu mózg Hannibala Lectera.

– Myślę, że już dawno go sprzedali.

– Może Piłsudskiego?

– Za drogo.

– Dobrze, zobaczymy na miejscu, co da się zrobić. Kto się tym zajmie? – rzucił Borewicz, rozglądając się po sali.

Nagle każdy z uczestników zebrania znalazł sobie niezwykle interesujące i pilne zajęcie, o którym wcześniej zapomniał, a teraz ono domagało się jego uwagi.

– Ja – zadeklarowałam hardo. – Ja się tym zajmę.

Borewicz spojrział na mnie, po czym westchnął.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – stwierdził.

– A to niby dlaczego? Nie ufa mi pan?

– To też, ale przede wszystkim to trudna wyprawa. Wielu nie wróciło.

– Proszę pana – zachnęłam się. – Ja w ubiegłym roku to sama, samusieńka o dwudziestej pojechałam na Pragę. – Popatrzyłam na

niego, kiwając głową z politowaniem. – Tramwajem, na Szmulki. Do kogo ta mowa?!

– No dobrze, czy jest jakiś inny kandydat?

Gdy spojrzeliśmy na salę, kilka krzeseł bliżej drzwi było już pustych, a parę osób zastygło w bezruchu podczas wstawania lub już w trakcie ucieczki.

– Musi pani wiedzieć – zaczął mi tłumaczyć. – Że nie może pani liczyć na wsparcie. Brygadzista nikogo nie puszcza. Nie wiemy dlaczego, ale to nie jest moment, żeby się nad tym zastanawiać. Będzie pani zdana na siebie.

– Nie ma problemu. – Zatarłam ręce.

Wyprawa do piekła. Całe życie niczego nie wygrałam, aż w końcu mi się udało!

– Zastanówmy się jeszcze króciutko nad zyciorysem. – Borewicz zatrzymał wychodzących.

– No właśnie – zastanowiłam się – skoro to będzie stworzona przez nas osoba, to jak ludzie mają uwierzyć w jej istnienie?

– Z tym akurat nie ma najmniejszego problemu.

– Naprawdę.

– Tak, wystarczy, że uzupełnimy notkę w Wikipedii.

– Niech zgadnę. Białoruscy hakerzy?

– A myśli pani, że kto wprowadza i aktualizuje te wszystkie wpisy? Krasnoludki?

– Dodamy kilka zdjęć z okresu, którego nikt już nie pamięta, i gotowe. Zobaczysz pani, że znajdą się nawet ludzie, którzy będą przysięgać, że pamiętają ją ze studiów. Każdy zna taką osobę siedzącą w kącie, w ostatniej ławce, przemykającą korytarzem i nierozmawiającą z nikim. To właśnie ona.

– Niech pan notuje. – Borewicz zwrócił się do Gierka, który natychmiast otworzył pożółkły notes. – Niezameżna, bezdzietna...

– Jak to: niezameżna i bezdzietna? Przecież musi być w tej dziedzinie ekspertką, matką Polką, symbolem polskiej rodziny.

– Szanowna pani, a czy księża mają żony i dzieci?

– Nie mają.

– A na rodzinie i jej wartościach najlepiej ze wszystkich się znają?

– Znają.

– To niech pani nie przerywa. Musi być niezamężna i bezdzietna, żeby w sprawach rodziny dodać jej autorytetu i wiarygodności.

– Pisz pan, panie Edwardzie: „Mieszka samotnie, nie umie posługiwać się komputerem, wysłać esemesa, nie ma konta w banku”. Może jeszcze niech o coś walczy. Bez znaczenia. Cokolwiek, żeby tylko mogła purpurowa na twarzy wrzeszczeć o tym z mównicy. To bardzo sexy.

– Chwila – przerwał Borewicz. – Żebyśmy nie przesadzili, bo będzie gorsza od samego Szeregowego.

– Nie ma pan racji. Zło złem zwyciężaj... czy jakoś tak. Musimy się postarać. Szeregowy byle czego nie ruszy.

– Dobrze by było, gdyby umiała płomiennie przemawiać, ale koniecznie w taki sposób, żeby nic za tym nie szło. Coś jak Fidel Castro, a jakby się dało, to nawet sam Morawiecki.

– Zanotowane.

Popatrzyliśmy na siebie z zadowoleniem i odetchnęliśmy po wzmożonym wysiłku. Czuliśmy się wspaniale spełnieni, widząc, jak na naszych oczach powstaje coś odrażającego. Oczami wyobraźni widzieliśmy naszą Narzeczoną Potwora Frankensteina jako odpychającą hybrydę siostry Bernadetty, wampira z Bytowa, generała Kiszczaka i mamy Madzi z Sosnowca. Czuliśmy narastającą ekscytację na samą myśl o jej spotkaniu z Szeregowym. Wzbierało w nas sadomasochistyczne obrzydzenie w oczekiwaniu na to, czy między nimi zaiskrzy.

Rozdział 9

Dzień dobry, panie Brygadzisto – zwróciłam się do niego, uśmiechając się, jak tylko potrafiłam najmilej. Czyli nie uśmiechnęłam się niemal wcale.

– Dzień dobry – odpowiedział.

– Chciałabym jeszcze więcej zrobić, jeszcze więcej pomóc. Może fizycznie? Pan dźwiga takie ciężkie kartony.

– Dziękuję za troskę, ale nic mi nie będzie.

– Może i nie, ale po co ma się pan spocić.

Westchnął tylko. A ja po dłuższej chwili poczułam dziwny ból twarzy, który zniknął, dopiero gdy przestałam się uśmiechać do Brygadzisty i pozwoliłam kącikom ust powrócić do ich naturalnego położenia. Mięśnie potrzebne do uśmiechania się miałam zupełnie niewytrenowane.

– Pójdę z panem po karteczki i panu pomogę – zaoferowałam.

– Jeślibym się nawet zgodził, to mam tylko jedną kartę – zaoponował.

– Tylko jedną? No cóż. W takim razie oferta nieaktualna.

Zatrzymał mnie, zanim wyszłam.

– Zaraz, zaraz – powiedział. – Jeżeli pani chce, to może pani pomóc mi rozładować wózek. Faktycznie dzisiaj jest wyjątkowo ciężki.

– No co pan?! – oburzyłam się. – Pan jest młody i silny. Nie wstyd panu delikatną kobietę prosić?

Rzeczywiście się zawstydził, bo już się nie odezwał. Słusznie. Niech sobie przemyśli.

Ja też musiałam się zastanowić, co dalej z planem. W tym celu udałam się do łazienki. Zamknęłam za sobą drzwi kabiny i po chwili zawołałam głośno i żałośnie:

– Halo, czy ktoś mnie słyszy?! Pomocy!

Jak to zazwyczaj dzieje się w podobnych chwilach, żaden ratunek nie nadchodził.

– Panie Brygadzie, wiem, że jest pan jeszcze na korytarzu! – zawołałam bardziej zdecydowanie. – Pomocy!

– Coś się stało? – odpowiedział niepewnym głosem.

– Och, to pan, panie Brygadzie. Jakie to szczęście, że był pan w pobliżu. Wygląda na to, że zatrzasnęłam się w kabinie.

– Jak to możliwe? Te zamki nigdy się nie zacinały.

– Niech pan nie filozofuje, tylko pomoże. Majsterkowicz się znalazł.

– Zaraz kogoś wezwę.

– Tak, zdecydowanie. Najlepiej jakiegoś fizyka kwantowego. Może samego Alberta Einsteina! Halo, jest pan tam? Niech pan nie robi wstydu, tylko pomoże!

Usłyszałam kroki. Potem pociągnięcie za klamkę.

– Pewnie zamek się zaciął – stwierdził.

Z trudem pozostawiłam to spostrzeżenie bez komentarza, co uznałam za swój ogromny sukces. Może i mnie w końcu udzieliła się atmosfera akceptacji, błogosławionego spokoju i bezwarunkowej miłości. Bardziej jednak prawdopodobne, że po prostu zaschło mi w gardle przez to, że tyle musiałam krzyczeć.

– Od mojej strony – zaczęłam tłumaczyć. – Trzeba czymś podważyć skobelek. Ale nie mam niczego, czym mogłabym to zrobić.

– Ja też, niestety – odpowiedział.

– Przydałoby się coś płaskiego.

– Bardzo by się przydało.

– Sztywnego i wytrzymałego.

– Zgadza się.

– Mogłoby być plastikowe.

– Tak, zdecydowanie mogłoby być.

– Może ma pan kartę płatniczą?

– Oczywiście, że nie mam... ale zaraz, zaraz mam przecież identyfikator!

– Świetny pomysł, niesamowity! Niby takie proste, a jakie skuteczne! Uratował mnie pan!

– Nie przesadzajmy. – W jego głosie słyhać było dumę. – Ale faktycznie, nieraz mi już mówiono, że potrafię zabłysnąć pomysłowością. A to nic wielkiego. Po prostu mi się udało...

– Niech pan już poda tę kartę.
– Ale jak?
– Dołem.
– Jasne, tylko proszę uważać – poinstruował mnie, wsuwając rękę z kartą pod drzwiami. – To bardzo ważna karta.
– Oczywiście, że będę uważać. Dlaczego miałabym nie uważać? – oburzyłam się, chwytając kartę. – Za kogo pan mnie ma?
Pogmerałam chwilę przy zamku, poszarpałam klamką i krzyknęłam przerażona.
– O matko jedyna!
– Co się stało?
– Nie uwierzy pan.
– Proszę mówić.
– Pańska karta...
– Co z nią?!
– ...wpadła do sedesu.
– Jak to się stało?!
– Sama nie wiem. To wydarzyło się tak nagle. Podważyłam skobelek. Może za mocno. Wystrzeliła mi z rąk. I przepadła. – Otworzyłam drzwi, poklepałam po ramieniu załamane Brygadzystę i ruszyłam do wyjścia. – No, ale uratował mnie pan – powiedziałam już spokojnie. – A to najważniejsze. Świetnie się pan spisał. Pomógł mi pan, a to dobry uczynek. Może się panu przyda.
Śpieszyło mi się, ale wychodząc, zdążyłam jeszcze kątem oka dostrzec, jak zatroskany Brygadzista wszedł do kabiny i zajrzał do sedesu.
– Chyba nie chce pan jej wyciągać? – spytałam. – Co za pech. Do widzenia.
Ruszyłam korytarzem w kierunku wyjścia z budynku.
Wytwarzanie dobra szło mi coraz lepiej. Brygadzista miał dobry uczynek na koncie, ja natomiast miałam kartę w kieszeni. I wszyscy byli zadowoleni.

Na nabrzeżu pojawiłam się trochę spóźniona, ale za to z czymś, co sprawiło, iż znowu poczułam, że żyję – z wózcikiem. Co prawda nie był to mój zakupowy, tylko pocztowy wózeczek Brygadzysty, ale gdy ścisnęłam jego rączkę, czułam, jak wesoło podskakuje na nierównościach, i słyszałam jego rytmiczne skrzypienie, to poczułam się znowu... staro. Przypomniałam sobie, jak bolało mnie biodro, jak byłam głodna i jak się martwiłam, z czego zapłacę za prąd i gaz, ale też przypominałam sobie naszą ulicę, kamienicę, Henryka i jak udało mi się tanio dostać żeberka. Pół dnia zajęło nam gotowanie, a wieczorem mieliśmy wspaniałą ucztę. Długo nie mogliśmy jej zapamiętać – taką mieliśmy oboje niestrawność. Piękne czasy...

Dość tych sentymentów. Musiałam być twarda i walczyć. Szłam do piekła, więc czekała mnie przeprawa, być może nawet trudniejsza od składania wniosku EMP o przyznanie emerytury.

Przeciwnik silny, ale do ogrania.

– Gdzie Brygadzysta? – spytał szyper oparty o barierkę promu.

– A gdzie miałyby być? – odpowiedziałam. – W damskiej łazience.

– Naprawdę? Co by tam robił?

– Grzebie w sedesie, jeżeli tak bardzo chce pan wiedzieć.

Spojrzał na moją plakietkę i wózek.

– Nie musi pani być niemila.

Weszłam na pokład, on odwiązał linę, odepchnął prom od nabrzeża i udał się w kierunku mostka.

– Trochę szarpnie! – zawołał, odpalając silnik.

Do kogo ta mowa? Tyle tylko zdążyłam pomyśleć, bo po chwili tak rzuciło łodzią do przodu, że o mało nie przeleciałam przez barierkę i nie wpadłam do wody!

Dobry był! Do Tramwajów Warszawskich to by go z pocałowaniem ręki przyjęli.

Jak na miejsce, gdzie nie istniały czas i przestrzeń, podróż była naprawdę długa. Jednocześnie jednak potrafiłam cały ten czas, co do minuty, przykładowo zmarnować i nawet przez chwilę nie zastanowić się, jak właściwie miałabym sobie w tym piekle poradzić. Może to i dobrze? Całe życie zastanawiałam się nad wieloma zagadnieniami, które wtedy wydawały mi się ważne, a po śmierci okazały się nie mieć najmniejszego znaczenia.

Dobiliśmy do brzegu w samo południe. Upał był jak... to chyba oczywiste, że było gorąco. Każdy by się tego spodziewał. Ja też się spodziewałam, ale niestety w gorączce przygotowań do podróży nie przyszło mi do głowy, żeby spakować kilka baniaków z wodą, a może nawet i cysterne, ale nawet wtedy nie miałabym pewności, że dałabym radę przetrwać w takich warunkach.

– Matko jedyna – jęknęłam, oddychając z największym trudem. – Chyba będę musiała rozpiąć sweterek. Jak pan sądzi?

– Albo nawet zdjąć – odpowiedział szyper, przechodząc z mostka na rufę.

– Albo nawet zdjąć. Co za szaleństwo.

Szyper rzucił linę, a jakiś przygarbiony jegomość w obwisłej marynarce, który pojawił się na nabrzeżu, chwycił ją i przywiązał. Potem położyli kładkę, po której zesłam na ląd. To był Andrzej Lepper, ale udałam, że go nie znam.

– Kurwa mać... – wymsknęło mi się, gdy potknęłam się, wchodząc na kładkę. – Ups, słyszał to pan? – zwróciłam się do szypra, zakrywając usta zaskoczona.

Pokręcił głową z politowaniem.

Andrzej Lepper podał mi rękę, gdy przechodziłam na brzeg. Teraz, z perspektywy czasu, wydał mi się nawet sympatyczny. Pamiętam, że kiedy zaczynał rozsypywać zboże na drogach i organizować blokady, patrzyłam na niego jak na niebezpiecznego wariata. Takich ludzi wcześniej nie było w życiu publicznym, a już na pewno nie w polityce. Był to jednak dopiero początek. Zapanowała moda na szaleńców prześcigających się w arogancji i głupocie. On sam niedługo po wejściu do rządu stwierdził, że przy Kaczyńskim to on jest lalusz.

– Ma pani godzinę – powiedział szyper, schodząc za mną. Skierował się w stronę małej drewnianej szopy, która zdawała się jedynym zabudowaniem portowym. – Potem odpływam. Z panią lub bez pani.

Wyspa, a może nawet kontynent, wyglądała nieco inaczej niż nasza. Sucha i wypalona po sam horyzont. Pustynia... ewentualnie półpustynia, a może wydma... miejscami step, sawanna czy preria. Trudno powiedzieć. Geografia to ważny przedmiot w szkole, ale nie wiadomo dlaczego nauczyciele tego przedmiotu to zawsze młodzi,

mili i zabawni mężczyźni, uwielbiani przez uczniów i uczennice. Karygodne. Nic nie powinno odwracać uwagi od nauki.

...Step, a może sawanna... preria to pewnie nie w tej szerokości geograficznej. A może długości? Nieważne. Nie to jest najważniejsze w geografii.

Coś na kształt ścieżki prowadziło w głąb lądu, co pozwalało przypuszczać, że tamtędy właśnie powinnam się udać. Wskazówką było też niezbyt bystre spojrzenie Leppera rzucone w stronę niewyraźnego, falującego od gorącego powietrza kształtu mającego w oddali. Ciemnoszara chmura dymu ciągnąca się w tamtym kierunku ograniczała dodatkowo widoczność, ale mimo to zdawało się, że ów niewyraźny kształt był czymś w rodzaju oazy.

Ruszyłam tam.

Nogi grzęzły mi w piasku. Upał i wilgoć były nie do wytrzymania. Biorąc oddech, miałam wrażenie, jakbym wypełniała płuca wodą, a nie powietrzem. Czuć było zapach sadzy, zupełnie jak w ogrzewanym węglem sudeckim uzdrowisku.

Już z daleka dochodziły krzyki i woń palonego mięsa. O zgrozo! Przypomniałam sobie zebranie, pytanie Borewicza o to, kto chciałby się tu wybrać, i popłoch wśród zgromadzonych. Pomyślałam nawet, że może to nie był najlepszy pomysł, ale przecież być w zaświatach i nie zajrzeć do piekła, to jak być w Paryżu i nie zobaczyć wieży Eiffla. Jak już się gdzieś jest i nadarza się okazja, to trzeba się interesować, korzystać, zwiedzać, zwiedzać, nie lenić się, tylko zwiedzać!

Najbardziej chciałabym zobaczyć postać ukrzyżowaną na strunach harfy, przywiązaną do lutni i atakowaną przez smoka, monstrualne maskary grające na dziwnym instrumencie dętym albo stwora będącego jednocześnie człowiekiem, jajkiem i drzewem z *Piekła muzykantów* Hieronima Boscha. Albo Lucyfera zamkniętego w lodzie zamarznętego jeziora, ewentualnie Dantego i Wergiliusza schodzących po futrze szatana, aby dotrzeć do środka Ziemi w dziewięciu koncentrycznych kręgach stanowiących „otchłań piekieł” Sandra Botticellego. No ale nie wiadomo, co się uda. Pójdę tam, gdzie będą najkrótsze kolejki i najmniejszy tłok.

Podeszłam powoli do muru i zajrzałam ostrożnie przez szczelinę. Dwóch tłustych jegomości przekręcało kotlety na grillu, a kotłująca się w basenie zgraja co chwila wrzeszczała do tamtych, pytając, czy już gotowe. Wokół basenu rozstawione były leżaki i parasole, a jak okiem sięgnąć ciągnęły się dwupiętrowe pawilony z tarasami zastawionymi agregatami klimatyzatorów.

Podeszłam do niewielkiej bocznej furtki, bo główna brama, o ile istniała, była chyba zbyt daleko i nie miałam już siły jej szukać.

– O, patrzcie! – zawołał operator grilla do kolegów, gdy mnie dostrzegł. – Ktoś w zastępstwie tego... jak mu tam? Janusza!

Spojrzałam na niego. Chciałam odruchowo coś powiedzieć, ale się powstrzymałam. Wszyscy natomiast wybuchli śmiechem. Najgłośniejszym kobiety. Jakiś dzieciak rzucił w moją stronę plastikowym kubeczkiem. Dobrze, że to nie szkoła, bo pewnie nałożyliby mi kubek na głowę.

Weszłam ostrożnie na ogrodzony teren i widząc skrawek cienia pod ogromnym słomianym parasolem, przysiadłam na moment na stojącym pod nim plastikowym krzeselku.

– Przyszłam po przesyłki – powiedziałam w kierunku urlopowiczów.

– Tamtędy. – Jedna z kobiet, zapewne chcąc jak najszybciej się mnie pozbyć, gdy spostrzegła, w jaki sposób patrzył na mnie jej mąż, wskazała mi kierunek. – Ścieżką do furtki. Drewniana szopa.

Nie była to jednak drewniana szopa o wyglądzie i rozmiarach, jakich można by się spodziewać. Był to istny magazyn Amazona. Ciągące się wewnątrz rzędy regałów zdawały się nie mieć końca, ale dopiero to, co zobaczyłam pod nimi, spowodowało, że stanęłam w miejscu i przez co najmniej kilka sekund nie mogłam wypowiedzieć ani słowa.

Zadziwiające było to, że gdy ludzie żyją spokojnie, z dnia na dzień, na zakupach, przy garnkach, sprzątaniu, z książką czy przed telewizorem, często marzą o życiu pełnym przygód, emocji

i niespodzianek. Dopiero zaś mając życie wypełnione przygodami, emocjami i niespodziankami, doceniają... jak jest fajnie!

– Jak to możliwe?! – zawołałam na widok Jerzego Pilcha siedzącego na samym środku ogromnej hali i piszącego na maszynie pośród stosów równo ułożonych karteczek. – Co pan tu robi?!

– Słucham? – Spojrzał na mnie wybity z rytmu, po czym natychmiast wrócił do pisania.

– Niech pan się pakuje, rzucam wszystko i pana stąd zabieram. Nie pozwolę, żeby pan tu został. Każdy, tylko nie pan.

– A, o to pani chodzi. – Machnął ręką niedbale. – To nic. Dopiero co przyszedłem. Jestem tylko na zastępstwo.

– Na zastępstwo?

– Taka mała pokuta. To nic. Jestem winny.

– A czym pan mógł zawinić?

– Jan Paweł II mi wlepił za to, że przeprowadziłem się z Krakowa.

Rozejrzałam się trochę. Rzędy regałów, stosy karteczek, dystrybutor z wodą i tabletkami przeciwbólowymi, przy wejściu jakaś pakamera. Zajrzałam do środka. Nic szczególnego. Biurko, krzesło, jedna półka.

Wróciłam do Pilcha.

– I co? Tak po prostu pan pisze? Te karteczki? Nie może ktoś inny? Od literatury popularnej chociażby?

– No ale kto? Oni nie umierają.

– Jak to?

– A słyszała pani kiedykolwiek o pogrzebie autora literatury popularnej?

– Faktycznie, nie.

– Tu są karteczki do zabrania. – Wskazał wielkie stosy. Stały za nim na podłodze poukładane w kilka większych stert. Wzięłam się więc do pakowania ich do wózczyka Brygadzysty.

– Jeszcze jedno pytanie. – Pakowałam powoli, żeby jeszcze przez chwilę móc z nim porozmawiać. – Kto się wcześniej tym zajmował?

– Niestety nie wiem.

– Kobieta?

– Jest pani pierwszą kobietą, jaką tu spotkałem.

– Jakże mi miło. – Poczułam, że się czerwienię.

– Tak jak mówiłem, dopiero co przyszedłem.

Spakowałam tyle karteczek, ile zmieściło się do wózecka, ale żeby też nie przesadzić. Piasek i wysoka temperatura nie sprzyjały wzmożonemu wysiłkowi fizycznemu. Faktycznie więc włożyłam do wózecka cztery paczuszki wielkości puszek herbaty.

– A gdzie reszta ludzi? – spytałam, zatrzymując się przed wyjściem.

– Z tego, co wiem, pod ziemią.

– Chronią się przed upałem?

– Kopia węgiel.

– Którędy tam dotrzeć?

– Na wschód. – Wskazał ręką kierunek, nie przerywając pisania. – Ale tam bym się nie zapuszczał.

Mógł mieć rację. Nigdy nie byłam przesadnie dociekliwa i teraz także czułam, że nawet jeśli nie wiem wszystkiego, to jednak już mi wystarczy. Wcale nie chciałam wiedzieć więcej. Zainteresowałam się, zasmuciłam i okazałam zaniepokojenie. To i tak więcej niż inni. Niestety, musiałam odnaleźć Piłsudskiego i kobietę z patologii.

– A gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytałam.

– Jak to gdzie? W Warszawie.

– Żartuje pan. Przecież Warszawa nie leży nad morzem.

– Już leży.

Popatrzyłam chwilę na niego, a uśmiech na moich ustach wiedział, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie.

– Domyślałam się – podsumowałam krótko.

Ruszyłam w drogę.

Karteczki były jednak ciężkie, a droga przede mną daleka. Nic by się chyba nie stało, gdybym część wyrzuciła. Zaczęłabym od tych na spodzie, przeterminowanych. O tych prośbach ludzie pewnie i tak już dawno zapomnieli. Wzięłam kilka do ręki. Same bzdury.

„Dobry Boże, poproszę o dwa litry mleka, osiem jajek, dwa kilo mąki, pół kilo półtłustego twarogu...”

– Matko jedyna, co za żenujące bzdury! – wykrzyczałam. – Do Boga z takimi duperelami!? Mogą poprosić o wszystko, a proszą o coś takiego? Ludzie, naprawdę?! – Popatrzyłam jeszcze raz na karteczkę i podrapałam się po głowie. – A nie, to chyba moje. – Rozpoznałam swoją prośbę. – Widocznie potrzebowałam. Zwykła rzecz. Łatwo się czepiać innych.

Niesamowite, że to wszystko jednak działa.

Tak czy inaczej, jedno już wiedziałam. Ciężko będzie znaleźć tu kobietę z patologii.

Ruszyłam na pustynię. To znaczy zamierzałam, bo zatrzymała mnie grupa obleśnych tłuściochów w kąpielówkach, których widziałam wcześniej przy basenie.

– Chwila. – Ten od grilla mnie zatrzymał. – Dokąd to?

Przeżuwał coś, popijając piwem. Nie zamykał przy tym wielkiej gęby, można więc było śledzić cały obrzydliwy proces.

– Ma pani karteczki – dodał. – Co pani tu jeszcze robi?

– Muszę gdzieś się udać.

– A niby gdzie?

– Do złego miejsca.

– To jest złe miejsce.

– Do jeszcze gorszego.

Ruszyłam powoli, licząc na to, że moja pewność siebie ich onieśmieli i mnie nie zatrzymają. Upał był nie do zniesienia i stanie tu dłużej nie miało sensu.

– Chwila. Coś tu nie gra. – Ponownie mnie zatrzymał. – Chciałbym zobaczyć to miejsce.

Reszta, choć chaotycznie, ale podchwyciła ten postulat i zaczęli utwierdzać się między sobą w przekonaniu, że to gorsze miejsce jest warte zobaczenia.

– A niby po co? – zdziwiłam się.

– Jeszcze pani pyta?! – Rozejrzał się po zgromadzonych, sprawdzając, czy są tak samo zaskoczeni jak on. – Przecież to jest właśnie najlepsze!

– Dokładnie – dodał ktoś inny. – Chcemy zobaczyć.

– Znowu nas pomijają.

– Zapominają o nas.

– Mamy swoje prawa.

– I aspiracje.

– Słuchajcie, panowie i panie, nie będę wdawała się z wami w żadne awantury – zapowiedziałam. – Dawajcie mi tu szefa. Już ja sobie z nim porozmawiam.

– Kogo? – spytał gruby w basenie.

– Tego, co was tu pilnuje, nadzoruje i wszystko tu organizuje, głównego złego, diabła czy jak tam go nazywacie.

Spojrzeni po sobie zaskoczeni, jakby w ogóle nie wiedzieli, o czym mówię.

– Nie ma tu nikogo takiego – stwierdził jeden z nich.

– My tu sobie sami wszystko organizujemy – dodał drugi.

– Nie ma diabła. Są tylko ludzie – wyjaśnił trzeci.

No to pięknie. Czułam, jak oddala się wizja szczęśliwego życia, a byłam już tak blisko. Co mogłam zrobić? Może im czegoś naobiecować? Ale czego, skoro wszystko mieli? Nie byli przecież tacy głupi...

Na szczęście w naszym kraju edukacja znacznie poszerzyła swój zakres. Kiedyś w szkole przekazywano teoretyczną, suchą wiedzę z podręczników. Ostatnio jednak, zgodnie w wymaganiami współczesnej cywilizacji, człowiek uczył się całe życie, zawsze i wszędzie. Zwykła informacja mogła mieć wiele znaczeń lub zwyczajnie być nieprawdą. Wszystko należało analizować, weryfikować, odnosić do kontekstów. Nie było już tak łatwo jak kiedyś, gdy leniwy człowiek dowiadywał się wszystkiego w prosty sposób. O nie. To się już skończyło. Żeby sprostać takim wyzwaniom, człowiek musiał się rozwijać. Naprzeciw wychodzili nawet ludzie władzy, z których szkoleń, dostępnych w ramach abonamentu RTV w telewizji publicznej, chętnie korzystałam. Trudne, choć najcenniejsze, były zwłaszcza te dotyczące sztuki przemawiania, wywierania wpływu i manipulowania.

Stałam wyprostowana, uniosłam wysoko głowę, ściągnęłam usta w dziubek, wsparłam obie dłonie na wózczyku, spojrzałam na nich i zawołałam:

– Wam się to przecież należy!

Obsługujący grill posłał mi podejrzliwe spojrzenie.

– Jesteście solą tej ziemi! – kontynuowałam.

Patrzyli otępiąłym wzrokiem, ale już ktoś komuś szepnął coś na ucho.

– Zasługujecie na więcej!

– Ma rację – odezwał się w końcu grubas w basenie.

– Musi wam się żyć lepiej, łatwiej, tak jak tym na Zachodzie.

– Na jakim, kurwa, znowu Zachodzie? – Dopiero co mu się podobało, a teraz znów się zniechęcił.

– To znaczy w niebie.

Grubas w basenie pokiwał głową, wydymając usta. Inni powoli zaczęli go naśladować.

– Stara dobrze gada – stwierdził.

– Tylko nie stara!

– Niby w czym jesteśmy gorsi?

– Tak, tu jest nie do wytrzymania – odezwał się ktoś inny. – W basenie śmierdzi.

– Bo naszczałeś! – włączyła się do dyskusji jego żona, a ich dzieciak rzucił we mnie plastikowym kubeczkim.

– Trzeba zmienić to miejsce! – wtrąciłam się, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. – Nasze miejsce. Do boju! Trzeba powstać z leżaków!

Wybuchł dziki aplauz, a w ich oczach zapłonął ogień. Wszyscy klaskali, pokrzykiwali i wymieniali pełne euforii spostrzeżenia. Facetom trzęsły się brzuchy, babkom cycki. Mało laczki im nie pospadały. Miałam to.

– Dobrze, bardzo dobrze! – zawołał zezowaty w okularach. – Ale oprócz tych obietnic chcemy czegoś jeszcze.

– Oczywiście, koledzy i koleżanki, czego tylko chcecie!

– Oprócz obietnic chcemy także ich realizacji.

Oże kurwa! Wykształciuch pierdolony!

Popatrzyłam na nich i zastanowiłam się chwilę.

– Dobrze więc – stwierdziłam zdecydowanie. – Zbiórka za piętnaście minut przy recepcji. Proszę zabrać ze sobą wodę i nakrycia głowy.

– Chwila, jeszcze nie skończyliśmy – zaprotestował wykształciuch.

– Liczba miejsc ograniczona, więc proszę się nie spóźnić! – dodałam.

Zerwali się biegiem w stronę pawilonów, popychając się i potykając o leżaki.

Na odchodne otrzymałam trzy trafienia plastikowymi kubeczkami. Dwa w plecy, jedno w głowę. Nie myślałam o zemście. Wiedziałam, że cierpią. Okrutna tortura. Niekończący się urlop, z którego nie ma jak się cieszyć, bo nigdy nie wraca się do domu

i przez to także nie ma komu o nim opowiedzieć. Niewyobrażalna męka.

Ruszyłam we wcześniej obranym kierunku.

Po opuszczeniu oazy szłam jakiś czas przez pustkowia. Skwar dokuczał, nawet skrawka cienia. O takich plażach chyba wszyscy marzyli. Kółka wózka zapiaszczyły się i karteczki ciążyły coraz bardziej.

W końcu zobaczyłam coś w oddali. Dotarłam do bramy piekieł, ogromnej dziury w ziemi. Siegająca po horyzont, głęboka i zionąca złowrogą aurą otchłań mogła się równać jedynie z naszymi kopalniami odkrywcowymi w Bełchatowie i Turowie. Było pewne, że podążam we właściwym kierunku.

Minęłam uchyloną furtkę z tabliczką „Uwaga! Głębokie wykopy. Wejście na teren zabronione!” i ruszyłam w dół. Im głębiej schodziłam, tym robiło się goręcej, wilgotniej i ciemniej. Potężny krater przypominał ogromną ranę w ziemi. To chyba tu Peter Jackson nakręcił *Władcę Pierścieni*.

Widziałam coraz gorsze rzeczy. Tam mieściło się całe zło.

Celebrytki wylewały pot w siłowni ze świadomością, że wobec braku wi-fi nikt nie zobaczy ich pośladków.

Politycy stanowili prawo, którego sami musieli przestrzegać, księża i patriarchowie Kościoła głosili nauki, do których musieli się stosować. Bezmiar okrucieństwa przekraczał granice wyobraźni.

Twórcy disco po prostu słuchali własnej muzyki.

Prawicowi bojówkarze, których jedynym marzeniem było to, żeby nigdy nie spełniły się ich marzenia o wielkiej narodowej Polsce, bo co wtedy? Jak żyć?

Po pokonaniu kolejnych ogromnych kręgów moje obcasy w końcu zastukały o samo dno.

– Przepraszam bardzo – zwróciłam się do pierwszego z brzegu człowieka. – Gdzie znajdę Józefa Piłsudskiego?

– Kogo? – spytał, wykrzywiając przy tym twarz i rozdziawiając usta, co w sumie nadawało mu niezbyt inteligentny wygląd.

– Nieważne.

Nie było co wyjaśniać. Jeżeli ktokolwiek z tu obecnych chodził do szkoły, to pewnie i tak nie uważał na lekcjach.

Ale, ale... kogo ja widzę?

W rogu pod ścianą miejsce w fotelu zajmował niegdyś często widywany jegomość. Siedział nienaturalnie wyprostowany, w staromodnym mundurze, z całą masą śmiesznych odznaczeń i idiotycznie wyglądających w panującym tu półmroku przyciemnionych okularach.

Nie był to wprawdzie Piłsudski, który rzekomo tak się szeregowemu posłowi podobał. Ale jeżeli przyjrzeć się dokładniej temu, co robił po wygranych wyborach, to biorąc pod uwagę kwestię zapaści gospodarczej i fatalnych stosunków z sąsiadami, faktycznie odbudowywał Polskę międzywojenną. Jeżeli zaś chodzi o ucisk obywatela przez aparat władzy, nacjonalizację gospodarki czy realizowanie polityki Kremla, to już raczej odbudowywał Polskę powojenną. Czy przyprowadziłabym Piłsudskiego, czy Jaruzelskiego, Szeregowemu nie zrobiłoby to najmniejszej różnicy.

Jegomość siedział w fotelu i z wielką ekscytacją otwierał elegancko zapakowaną przesyłkę. W środku znajdował się nadany przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyż Zesłańców Sybiru. Był poruszony i cieszył się, że prezydent Kaczyński wzniósł się ponad historyczne podziały. Zaraz po tym Kancelaria Prezydenta oświadczyła, że został odznaczony przez pomyłkę, gdyż prezydent akceptował tylko postanowienia, nie zaś nazwiska, i nie zdawał sobie sprawy, że tamten figuruje na liście. Po tym oświadczeniu Jaruzelski spakował odznaczenie i odesłał je z powrotem Lechowi Kaczyńskiemu.

Bardzo to była poruszająca scena i mogłabym oglądać ją w nieskończoność, podobnie jak siedzący nieopodal miłośnicy telenoweli patrzyli, jak Rysiek z *Klanu* je zupę, ale miałam przecież coś do załatwienia.

Podeszłam zatem do Jaruzelskiego, starając się zbytnio nie zwracać na siebie uwagi.

– Czym mogę służyć? – spytał generał, uprzejmie podnosząc wzrok.

– Jest dla pana propozycja – szepnęłam, nachylając się do niego konspiracyjnie. – Bardzo atrakcyjna. Oferta jest przygotowana specjalnie dla pana, bo zależy nam właśnie na panu. Chcemy, żeby został pan naszym klientem. Szukamy ludzi takich jak pan.

– To znaczy jakich?

– Nie przerywaj mi pan, bo zaraz mi się wszystko pomyli!

– Przepraszam.

– Ma pan wszystkie cechy człowieka sukcesu i właśnie z panem chcemy pracować. Ale uwaga, oferta jest ważna tylko dzisiaj. Musi pan się szybko zdecydować. Jestem taka podekscytowana. Jest pan gotów na to wyzwanie?

– A czy mógłbym wcześniej poznać jakieś szczegóły?

– No widzi pan? Zapomniałam powiedzieć, czego dotyczy oferta – westchnęłam. – Wszystko przez to, że mi pan przerywał. Oferuję możliwość powrotu na ziemię. Promocja ważna tylko dzisiaj. Decyduje się pan?

– Jako hinduski chłopiec?

– Nie. W Polsce. Bez dzieciństwa.

– Dlaczego bez dzieciństwa?

– A po co panu? Planeta utrzyma nas jeszcze góra dwadzieścia lat. Nie dożyłby pan.

Zamyślił się chwilę.

– Brzmi interesująco.

– Tak, ale jest mały szkopuł. Drobiazg. Mogłabym nawet panu nie mówić, ale lepiej od razu wszystko wyjaśnić.

– Proszę mówić.

– Wejdzie pan w ciało kobiety, silne, zdrowe, lokalizacja w Warszawie, praca, mieszkanie, abonament na Netflixie... Odpowiada to panu? Oferta ważna tylko dzisiaj. Szukamy ludzi takich jak pan.

– Co pani powiedziała?

– Warszawa, praca, mieszkanie, abonament na Netflixie.

– O ciele?

– Silne, zdrowe...

– Wcześniej.

– Ciało kobiety.

Uniósł brwi i wytrzeszczył oczy.

– Co to ma znaczyć?! – wybuchł. – Jak to ciało kobiety?!

Ależ to wszystko było trudne. Musiałam jednak jeszcze się skoncentrować. Była to przecież dla mnie gra o wszystko, i to na czas nieokreślony. Musiałam być nieugięta jak sprzedawca kredytów we frankach.

– No co pan głupie pytania zadaje? – zaczęłam hardo. – Nie wie pan, że... nie wie pan, że... teraz taka moda? W miastach... W dużych miastach...

– Jaka moda? O czym pani mówi? – zirytował się jeszcze bardziej.

– Czy ja wyglądam na człowieka, którego interesują jakieś mody?!

Spojrzałam na niego jeszcze raz, bardzo dokładnie.

Myślałby kto! A ciemne okulary to kto nosił pięćdziesiąt lat temu, zanim ktokolwiek usłyszał o ray-banach?!

– Czyli co? Nie zgadza się pan? – westchnęłam przeciągle.

– A czy ja powiedziałem, że się nie zgadzam?! – oburzył się. – Moment. Muszę się chwilę zastanowić... Oczywiście, że ciało kobiety jest nieakceptowalne... w teorii – mówił, przechadzając się w tę i z powrotem z rękami splecionymi za plecami. – W praktyce natomiast, gdyby ojczyzna nasza stanęła nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom obracał się w ruinę. Struktury państwa przestawały działać. Gasnącej gospodarce zadawane byłyby codziennie nowe ciosy. Warunki życia przytłaczały ludzi coraz większym ciężarem. Przez każdy zakład pracy, przez wiele polskich domów przebiegały linie bolesnych podziałów. Atmosfera niekończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści siałaby spustoszenie psychiczne, kaleczyłaby tradycje tolerancji, wtedy wielki ciężar odpowiedzialności spadłby na mnie...

– A czy mógłby pan przejść do rzeczy, bo trochę mi się śpieszy?

– Zgadza się!

Podeszłam i chwyciłam go za ramię.

– Świetnie! – rzuciłam szybko, żeby się nie rozmyślił. – Idziemy!

– Niech pani zaczeka.

– O co chodzi? – zaniepokoiłam się, bo już tak dobrze szło.

– Potrzebowałbym... – urwał, nieco skrepowany. – Potrzebowałbym jakichś ładnych fatałaszaków. Niedużo. Widziałem kiedyś taki katalog, oczywiście wpadł mi w ręce przypadkiem...

– Później o tym porozmawiamy. Nie mamy teraz na to czasu.

– To zajmie dosłownie chwilę.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Byłam za dobra.

– Niech będzie – zgodziłam się.

– Tędy.

Poprowadził mnie wąskim przejściem za zaułek. Tam, niemal w całkowitej ciemności, podał mi rękę.

– Tu jest mała przeszkoda – powiedział. – Musi pani przeskoczyć.

Tak zrobiłam, ale zamiast wylądować na twardym gruncie, spadłam może metr lub dwa i ugrzęzłam w lepkiej, gorącej mazi.

– Co to ma znaczyć?! – zawołałam. – Co pan zrobił, do cholery?! Gdzie się pan podział?!

Próbowałam wrócić, ale krawędź pułapki znajdowała się na wysokości mojej szyi i nie byłam w stanie się po niej wspiąć. Poszłam wzdłuż niej, ale po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że chyba kręcę się w kółko.

Wtedy tuż za sobą usłyszałam szepty.

– Czy mogę już więcej nie dostawać tego orderu?

– Zastanowię się.

– Ale przecież pan obiecał.

– Niech pan wraca do siebie.

– Ale chwileczkę...

– Dobrze panu radzę.

Głosy ucichły.

Usłyszałam kroki, głośnie szurnięcie, znowu kroki, a po chwili niedaleko mnie rozbłysło żółto-czerwone światło. Sekwencja powtórzyła się kilkakrotnie, za każdym razem dając coraz więcej światła, aż do momentu, kiedy mogłam dostrzec przygarbioną sylwetkę nabierającą na łopatę węgiel i dorzucającą do paleniska pod kotłem, w którym aktualnie się znajdowałam, a z którego w żaden sposób nie byłam w stanie się wydostać.

Robiło się coraz goręcej.

Jaruzelski gdzieś przepadł.

Nie wiedziałam, co się działo, ale wyglądało na to, że to już koniec. Straciłam wszystko. Z tego to już raczej nie wyjdę. Będę się smażyć całą wieczność albo i dłużej. Miałam tylko nadzieję, że Henryk i nasz syn zdążą sobie jeszcze nagrabić i też trafią tutaj do mnie. Syn jest leniwy, ma potencjał. Henryk podjada słodczyce po dwudziestej, a w nocy nie opuszcza deski. To na pewno wystarczy. Niedługo pozostanę tutaj sama.

W końcu człowiek od łopaty odstawił ją i odwrócił się w moją stronę. Nie miałam ochoty na niego patrzeć. Coś mi mówiło, że to

nie najlepszy pomysł. Pewnie tak samo myśleli wszyscy bohaterowie horrorów, znalazłszy się w podobnej sytuacji. Mimo to zawsze spoglądali.

No cóż. Nie zawiodłam się.

Włosy miał długie, ale rzadkie, posturę przygarbioną. Coś, co może kiedyś przypominało twarz, było szare, pomarszczone, poryte bruzdami i obwisłe. Jedno oko miał całkowicie niewidoczne pod nieokreślonego pochodzenia fałdem skóry, a drugim, nienaturalnie wybałuszonym, łypał złowieszczo.

– No widzi pani – odezwał się. – Jednak sama pani przyszła.

Nie poznałabym go, gdyby nie widoczny dopiero z bliska purpurowy odcisk na czole.

– Zmienił się pan, panie Ryłko – zagadnęłam uprzejmie.

– Boi się pani?

– Czego?

– No, tego mojego straszego wyglądu.

– Straszego? Daj pan spokój. Takiego samego jak pan można codziennie zobaczyć w państwowej telewizji.

– Doprawdy? A niby kogo?

– Nie widział pan marszałka Terleckiego?!

– Więcej węgla! – zawołał wściekły, wskazując przy tym na palenisko pod kotłem.

– Koniecznie importowanego z Rosji! – dodałam.

– Jest pani kretynką.

– Czy to przypadkiem nie pan, panie Ryszardzie?

– O czym pani, do cholery, mówi?!

– O niczym. I tak by pan nie uwierzył. Niech pan faktycznie dorzuci węgla, bo widzi pan, ja przez te długie zimy w niedogrzejonej kamienicy to nie mogę się w ogóle dogrzać.

– Cholera jasna!

– No, no! Tylko bez chamstwa!

Odszedł, sięgnął po szufłę i dorzucił do paleniska. Buchnęły płomienie, zrobiło się jaśniej, a po jakimś czasie jeszcze goręcej.

– Muszę przyznać, że choć zabiegi u państwa są bardzo przyjemne, to jednak jest ciut za gorąco – stwierdziłam.

– Zamierzam obdzierać panią ze skóry, dlatego nie chcę, żeby była za twarda.

– Tak myślałam, że to nie żadna borowina. Nawet w uzdrowiskach na NFZ tak nie polatuje asfaltem.

Wziął się pod boki i popatrzył na mnie. Wyglądał, jakby mu się odechciało pracować.

– Czy mogłaby pani przestać mówić? – spytał.

– Nie.

– To zagrajmy w pewną grę.

– Bardzo chętnie! Co pan proponuje?

– Zasady są takie: jeżeli jest pani w stanie na całym świecie znaleźć choć jedną osobę, której będzie na pani zależeć na tyle, że zechce się z panią zamienić na miejsca, choć jedną osobę – podkreślił – to ja panią od razu wypuszczę. Ale jeżeli takiej osoby nie znajdzie, odbiorę pani głos i będzie pani cierpieć na wieki, ale w ciszy. Zgadza się pani?

No cóż, faktycznie w literaturze szatan znany był z zawierania różnych układów. Nie przychodziła mi za to na myśl żadna postać, która na układaniu się z nim dobrze wyszła. Ale za kogo on mnie miał? Myślał może, że nie jestem dobrą osobą, że nie znajdzie się ktoś, kto dla mnie by się w ten sposób poświęcił? No to się kolega szatan grubo mylił!

– Decyduje się pani? – spytał zniecierpliwiony.

– Oczywiście, dlaczego nie miałabym się decydować?

– Dobrze więc. Zostanie pani w kotle, żeby nie próbowała pani uciec. Nawiążemy połączenie telepatyczne. Wystarczy, że pomyśli pani o tej osobie i zada pytanie. Nie może pani jej namawiać ani przekupywać, bo umowa będzie nieważna. Niech pani pomyśli, zada pytanie i żadnych sztuczek. Dobrze pani radzę.

Łypnął na mnie tym swoim wybałuszonym okiem w taki sposób, że aż poczułam się nieco niekomfortowo. Zrobiłam tak, jak chciał, ale tylko po to, żeby niepotrzebnie nie przedłużyć mojej wizyty. Przywołałam w pamięci twarz i powiedziałam:

– Halo, tu Wilkońska. Chciałaby pani może zamienić się ze mną na miejsca?

– Ależ tak! Oczywiście! W końcu! – Rozległ się uradowany głos kobiety z patologii. – Próbowałam się z panią skontaktować w tej sprawie.

– Tak, wiem. Wszystko załatwione. Zapraszam.

- Świetnie! Bardzo się cieszę!
- Radzę zabrać ręcznik i klapki.
- Po co?
- Zobacz pani.

Ryłko pokręcił głową, głośno wypuszczając powietrze, gdy kobieta z patologii pojawiła się po chwili obok niego.

– Pani Zofio... – próbowała coś powiedzieć, ale przez zaciśnięte ze złości usta nie chciały przejść żadne odpowiednio mocne słowa – Pani Zofio...

– Niech mi pani teraz nie panizofiuje, tylko posłucha – powiedziałam zdecydowanym tonem, bo jeszcze mi tylko brakowało wysłuchiwania żalów i narzekań. – Stało się, co się stało, i nie ma co tego roztrząsać. Niech pani nie żyje przeszłością, niech pani to zostawi i idzie dalej, nie pozwoli się temu niszczyć...

– Co też pani pieprzy? – oburzyła się.

Spojrzałam na Ryłkę.

Skinął głową.

– Tutaj można – stwierdził.

– Najchętniej bym panią rozszarpała – kontynuowała. – Za to, że mi pani bilet ukradła...

– A ta znowu swoje... – przerwałam jej, bo już nie mogłam tego słuchać. – Nie macie tu warsztatów z rozwoju duchowego? Musi pani przestać ciągle oglądać się za siebie, być tu i teraz. Nie przywiązywać się do dóbr materialnych, a co dopiero do jakiegoś świstka papieru.

Ogarnęły mnie taka irytacja i zniecierpliwienie, że niemal samej udało mi się wspiąć na krawędź kadzi.

– Panie Ryłko – zwróciłam się do niego. – Niech mi pan pomoże. Co pan tak stoi?

Niechętnie, ale podał mi rękę, dzięki czemu powoli, z trudem wygramoliłam się na zewnątrz.

– Niepotrzebnie mnie pani szantażowała – zwróciłam się do kobiety z patologii, stając obok niej i wycierając się z kleistej mazi.

– Przepraszam, mój błąd. Oczywiście z tym koniec – odpowiedziała.

– Tak po prostu? – zdziwiłam się, że mąż tak łatwo zeszedł. – Nie ma pani już do mnie żalu?

– Oczywiście, że nie.
– No to się bardzo cieszę.
– O co miałabym mieć żal?
– Choćby o to, że przecież chciała pani znaleźć się w lepszym miejscu.

– Zgadza się, ale przecież przyszła pani po mnie.
Spojrzałam na nią i aż musiałam oprzeć się o wózek.

– Jak to po panią? – spytałam, czując, jak zasycha mi w gardle. Ależ tu był upał. Aż mi się słabo zrobiło.

Nie mogłyśmy nawet spokojnie się pokłócić, bo Ryłko popisывał się jak dziecko, na które dorośli przestali zwracać uwagę. A to chwycił kobietę z patologii za rękę, a to ją ciągnął, a to próbował chwycić wpół i podnieść, aż mnie tym naprawdę zdenerwował. Kim trzeba być, żeby nie pozwolić dwóm kobietom spokojnie się pokłócić? Szczyt chamstwa!

– Zapraszam panią do środka. – Ryłko zwrócił się do kobiety z patologii po tym, jak pomógł mi wyjść.

Popatrzyłam na nią. Powinnam ją tu zostawić. Po to przecież wybrałam się do piekła. Żeby skończyć z zagrożeniem i szantażem. Wreszcie byłabym wolna i bezpieczna. Mogłabym spokojnie działać.

– Ja panu coś powiem, panie Ryłko! – krzyknęłam, wymachując znacząco ręką. – Bo mam już pana dosyć. Pan jesteś po prostu fatalny! Mści się pan na zwykłych ludziach za swoją nieporadność i porażki.

Popatrzył na mnie, mrużąc oczy.

– Dokładnie tak, trzeba w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. Kiedyś dobrze się panu wiodło. Był pan aniołem. Ale od tego dobrobytu w dupie się panu poprzewracało, poniosła pana duma, gdy najjaśniejsza wyniosła człowieka zbyt wysoko. No ale pan przegrał. Myślał pan, że coś ugra, ale został pan pominięty. Nie ma się co oszukiwać, to jest przegrana, upadek. Niech się pan rozejrzy. Jak to w ogóle wygląda? To jest syf, proszę pana! Wszędzie brud. Panie, tu nie ma co się odgrywać na słabszych, tylko trzeba się za siebie wziąć. Jak by pan tu chciał na przykład kobietę zaprosić?!

– Czy pani do końca oszalała? – mówił niby spokojnie, ale patrzył na mnie tak, jakby miał zaraz wybuchnąć.

– U Boga jest ekstra. Pełen wypas. Ma nawet najnowszą konsolę z przedsprzedaży, która będzie dostępna dopiero na święta. Potrafi pan to sobie w ogóle wyobrazić? Nie wspominając o abonamencie na Netflixie i Legimi, a tu, sorry, towarzystwo roszczeniowe, aroganckie, nikt się nawet nie uśmiechnie...

Popatrzyłam chwilę na niego i zastanowiłam się nad tym, o czym mówiłam.

– A czy to na pewno poszło o człowieka? Tak tylko pytam, bo widzę, że nam na ziemi to różne bajki opowiadają, a my to wszystko łykamy. Jak dla mnie, to mogło chodzić o damsko-męskie sprawy. Może pan po prostu kosza dostał?

– Niech się pani wynosi! – ryknął tak, że aż się mury zatrzęsły. Trzeba przyznać, że to zrobiło odpowiednie wrażenie. – Natychmiast!!!

– Już idę. – Rozejrzałam się i chwyciłam stojący obok paleniska wózeczek. – Ale z nią. – Wskazałam na kobietę z patologii.

– Ona zostaje!

– Idziemy – zwróciłam się do kobiety, chwytając ją za rękę i pociągając za sobą. – Nie ruszy nas.

Myliłam się. Zagroził nam drogę, a pulsujące żyły na jego twarzy wskazywały, że był naprawdę wściekły, albo był to objaw jakiejś choroby układu krążenia, na przykład przewlekłej niewydolności żylnej. Bardzo niebezpieczna dolegliwość.

– No, no! – krzyknęłam. – Zejdź pan z drogi i łapy przy sobie! Taki z pana damski bokser?! Diabło Włodarczyk się znalazł.

Ale nagle stała się rzecz nieoczekiwana. No przynajmniej dla mnie, bo ktoś inny może by to przewidział. Jeżeli na przykład czytał lub oglądał dużo fantasy. W każdym razie ja się do takich osób nie zaliczałam. To znaczy w każdych innych okolicznościach pewnie wpadłabym na to i ja, ale teraz, kiedy wszystko działo się szybko, w emocjach, i byłam w centrum tych zdarzeń, to jednak mnie zaskoczyło.

Otóż za plecami szatana pojawiła się całkiem liczna grupa. Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniej widziałam, że nie była to niestety odsiecz wiedeńska, Gandalf Szary, żaden klan ani ród z *Gry o tron*. Była to zbieranina lekko zapuszczonych mężczyzn w kąpielówkach i klapkach. Większość z piwem w dłoni, niektórzy

poganiani przez żony. Część z nich widziałam już na basenie, części nie znałam. Rozglądali się z zaciekawieniem, zmierzając śmiało w naszą stronę.

– Co się dzieje, do cholery? – spytał szatan, patrząc na nich.

– Chcieliśmy porozmawiać – odparł gruby z basenu.

– Tak – dodała jego żona. – My tu wszyscy razem, zebraliśmy się, żeby omówić kilka ważnych spraw.

– Zebraliśmy postulaty.

– Najważniejsze to wycieczki.

– I posiłki dla dzieci.

– Dostępność polskojęzycznego rezydenta.

– I animacje.

– Podobno inni mają lepiej.

– Basen jest brudny.

Pociągnęłam kobietę z patologii i wycofałyśmy się, nim jeszcze szatan zdążył zrozumieć, co to znaczy zdrzeć z polską wycieczką.

Biegłyśmy, nie oglądając się za siebie i licząc, że zdążymy zniknąć w półmroku, zanim tamci się zorientują, że nas nie ma.

Po chwili usłyszałyśmy za sobą głosy, potem coraz agresywniejsze krzyki. Byli za nami. Jeszcze daleko, ale się zbliżali.

Nagle jakiś męski głos usłyszałyśmy tuż za plecami.

Ktoś chwycił mnie za ramię.

Zamarłam.

– Pani Zofio... – wydyszał, zgięty wpół, próbując złapać oddech. – Ledwo panią dogoniłem.

Odwrociłam się.

Przede mną stał Lepper.

– Jaka pani opalona! – zauważył.

– Co pan tu robi?

– Szyper zaraz odpływa.

– Nie damy rady. Nie przebijemy się. Chodź pan.

– Dokąd?

– Nie ma czasu. Prędko.

Pociągnęłam ich oboje.

Biegliśmy ile tchu.

Pomyślałam wtedy po raz kolejny, że już dosyć. Po raz kolejny, ale tym razem ostatecznie. Dosyć, bo ja już tego dłużej nie

wytrzymam, nie chcę, nie mogę, nie dam rady. Dosyć i nigdy więcej. Nigdy więcej biegania. To całkowicie nienaturalny sposób poruszania się. Gdybyśmy mieli biegać, to Bóg nie dałaby nam nóg, tylko cztery łapy. Gdy człowiek biegnie, wygląda nienaturalnie, niepoważnie, poci się i robi czerwony na twarzy, a zatrzymany nie jest w stanie mówić, a nawet jeśli, to wygaduje same głupoty. Wystarczy posłuchać wywiadów z piłkarzami w przerwie meczu.

Tamci też mieli dosyć. Po chwili odgłosy umilkły, a my zobaczyłyśmy przed sobą wąskie przejście przypominające korytarz. Był ciemny i niezachęcający, ale skoro istniał, to najprawdopodobniej dokądś prowadził.

– Chodźmy – powiedziałam, z trudem łapiąc oddech. – Gorzej już chyba nie trafimy.

Poszliśmy.

Było wąsko, chłodno, ciemno i wilgotno, a w dodatku stromo.

Po chwili nierówne podłoże uformowało się w schody.

Udręka zdawała się nie mieć końca, aż zobaczyliśmy wysoko przed sobą mikroskopijnej wielkości światełko. Było tak małe, że nie wiedzieliśmy, czy faktycznie istnieje, czy to tylko ciemność płata figla wypatrującym jakiegokolwiek kształtu oczom.

Wraz z pokonywaniem kolejnych stopni światełko powiększało się tylko nieznacznie, ale sprawiało wrażenie, że jest coraz niżej i bliżej. Zastanawiając się nad tym, uderzyłam w coś głową. Rozległ się głuchy huk, który odbił się echem w korytarzu. To nie było nic bardzo twardego, solidnego; ani ściana, ani kamień.

Zaczęłam macać. Gładkie, równe, suche.

Opukałam. Rozległ się głośny, ciepły, niemal melodyjny, znajomy dźwięk.

Drewno.

Drzwi?

Szybkimi ruchami omiotłam całą dostępną powierzchnię.

Mam.

Zimny metal.

Klamka.

Nacisnęłam.

Ustąpiła.

Przeżyjemy?!

Drzwi odskoczyły na kilka milimetrów i wzdłuż futryny zajaśniały wąskie smugi światła. Pchnęłam je z całej siły, ale sama zostałam w miejscu z obawy przed nieznanym.

Blask oślepił nas tak, że zakryliśmy oczy i przez chwilę nie widzieliśmy kompletnie niczego. Gdy nasz wzrok się przyzwyczaił, dostrzegliśmy, że to najzwyczajniejsze mieszkanie. Białe ściany, lustro, komoda, na niej serwetka i zdjęcia.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała szeptem kobieta z patologii.

– Wszystko w porządku – uspokołam ją. – Wiem, jak się stąd wydostać.

Z jednej strony dochodził głos z telewizora:

– Raz, dwa, trzy... dajesz! Jeszcze raz! Dasz radę! I raz, dwa, trzy... Jesteś świetna!

Pokrzykiwaniom Chodakowskiej towarzyszyły rytmiczne tupanie i czyjś głośny oddech.

Z drugiej strony słyszałam szybkie, nerwowe klikanie przeplatane co jakiś czas jękiem zawodu lub cichym utyskiwaniem.

Droga była wolna.

– Idziemy – zakomenderowałam.

– Drzwi są tam – odpowiedziała szeptem kobieta z patologii, wskazując na solidne drewniane drzwi wejściowe.

– Za chwilę – uspokołam ją. – Zobaczmy tylko, co mają w lodówce.

Rozdział 10

Wyszliśmy z za żółtego domku. Czuję się zwyciężczynią, chciałam krzyknąć z radości na widok otoczonych drzewami alejek lepszego miejsca, miałam ochotę pobiec do urzędu i nawrzucać Borewiczowi i Brygadziście za to, że we mnie nie wierzyli, ale niestety musiałam to odłożyć na później. Miałam przecież niepożądane towarzystwo.

Nie ma większego wstydu niż zaproszenie gości do nieposprzątanego domu. Chyba że zaproszenie gości do nieposprzątanego domu i brak jakiegokolwiek poczęstunku. Ewentualnie zaproszenie do nieposprzątanego domu, brak poczęstunku i niepoinformowanie małżonka o wizycie gości. A on mógłby na przykład otworzyć drzwi w jakimś niedostojnym stroju, na przykład w piżamie lub w skarpetce z dziurą na palcu... Wychodziło na to, że zaproszenie do nieposprzątanego domu to żaden wstyd.

– Oto nasz dom – powiedziałam, gdy w końcu udało mi się otworzyć drzwi. Zaraz potem zrobiło mi się słabo na widok tego okropnego miejsca.

– O Boże, jak tu pięknie! – zawołała kobieta z patologii, wprost nie wiedząc, w którą stronę patrzeć. – Tak właśnie wyglądałaby moja melina marzeń.

A niech przynajmniej jedna osoba się cieszy.

– Chciałam, żeby pani dobrze się u mnie czuła – stwierdziłam, zapraszając ich do środka.

Na Lepperze moje lokum nie zrobiło większego wrażenia, kobieta natomiast, z obiema dłońmi przyłożonymi do policzków, wyglądała jak zachwycona nowym pokojem pięćdziesięcioletnia, zniszczona alkoholem dziewczynka.

Po chwili podeszła do kuchni, przyjrzała się przez chwilę podłodze, po czym wymacała mały, okrągły metalowy uchwyt, którego wcześniej nawet nie zauważyłam, i podniosła klapę.

– Co to jest? – spytałam odruchowo.

– Piwnica – odpowiedziała zafascynowana. – O Boże! – krzyknęła nagle. – Aparatura! Ma pani cukier i drożdże?

– Co takiego?

– Uruchomilibyśmy, prawda, panie Andrzeju?

– No... – burknął Lepper rozwalony w fotelu.

– Stop, stop, stop... – zatrzymałam ich. – To jest poważne miejsce, a nie żaden hotel poselski. Pani siedzi w domu i nikomu nie otwiera, a pan idzie ze mną ratować świat. Zrozumiano?!

Trudno było cokolwiek odczytać z ich twarzy, ale miałam nadzieję, że się to wszystko jeszcze nie zawali.

Kilka minut później zameldowaliśmy się na placu.

– Kto to jest? – spytał zaskoczony Borewicz.

– Jak to? Nie poznaje pan?

– Oczywiście, że poznaję. Ale miał być przecież Piłsudski.

– Jakie czasy, taki marszałek!

Wyjazd zaplanowany był na wieczór.

Projekt nabierał rozpędu, co napędzało jego uczestników entuzjazmem i wiarą w szczęśliwe zakończenie. Ludzie byli w dobrych nastrojach, widzieli przyszłość w jasnych barwach. Ja byłam daleka od optymizmu, ale jako że po raz pierwszy udało mi się wywalczyć miejsce przy oknie, więc chwilowo oddałam się względnie przyjemnej zadumie. Patrzyłam na lasy, łąki, wsie i miasteczka. W jednym z nich minęliśmy rozpadające się, smutne, szare, PRL-owskie gmaszysko. Tylko resztki zarastającego chaszczami boiska wskazywały na to, że była to szkoła. Kiedyś pewnie ładna i pełna życia. Inne czasy.

Tak jak zawód nauczyciela, który nie zawsze był godzien pożałowania. Dawno, dawno temu, kiedy wiedza i mądrość były szanowane, a nawet podziwiane, gdy się komuś mówiło, że jest się nauczycielem, to nikt nie odpowiadał ze współczuciem, że mu przykro.

Ba! Można było nawet być z tego powodu dumnym! Od czasu do czasu.

W najciemniejszych latach PRL-u nie było grupy zawodowej, która dostawałaby tyle deficytowych towarów. Nikt nie jadł tyle czekolady co my! Chociaż cała konsumpcja kumulowała się

w dwóch dniach. Były rodziny, głównie dwójkowych uczniów, które odkładały na to przez cały rok.

A teraz? Żaden chłopak nie pójdzie na pedagogikę, chyba że rząd znowu zacznie brać do wojska. Na polonistyce nie ma już męskich łazienek. W rankingu pożądanych zawodów nauczyciel zawsze wypadał gorzej od kierowcy śmieciarki, ale teraz spadł poniżej operatorki infolinii czy szwaczki w Bangladeszu. Z badań wynika, że bezpieczniej jest pracować w tartaku, a lepszy kontakt z podopiecznymi mają nawet grabarze.

Zawód nauczyciela ma już tylko jedną zaletę. Narzekanie na pracę sprawia, że nawet najdłuższa podróż pociągiem mija niepostrzeżenie.

Tak też było i tym razem. Nie wiem kiedy dojechaliśmy do Warszawy Centralnej, a stamtąd to już tylko rzut beretem do szpitala.

Weszliśmy do sali pooperacyjnej przez niedomknięte drzwi. Nie było przy niej lekarzy. Jak się później dowiedzieliśmy, jeden zmarł na dyżurze, drugi nie chciał, więc wyjechał. Mimo to nasza pacjentka była pod najlepszą opieką, jakiej mogliśmy sobie zażyczyć. Siedział przy niej ksiądz. Było więc niemal pewne, że nie ma dla niej ratunku i ciało będzie nasze.

Ciało to za dużo powiedziane, bo wypadek najwyraźniej był okropny.

Niestety, współcześnie już u najmłodszych smartfony, tablety i konsole wyparły tradycyjne układanie klocków, bierki i puzzle, które niegdyś wspomagały rozwój myślenia przestrzennego dzieci, zdolności manualne oraz umiejętność kombinowania. Zapewne dlatego sprowadzonym dla ratowania resztek polskiej służby zdrowia studentom nie udało się nieszczęsnego ciała poprawnie poskładać.

Nogi miała krzywe, opuchnięte i szeroko rozstawione, korpus tęgi, ręce krótkie i masywne. Cała była tak owłosiona, że do operacji musiał chyba asystować psi fryzjer.

- To jest mężczyzna! – zawołał zaskoczony Borewicz.
- Na to wygląda – odparłam.
- Miała być kobieta. Kto to sprawdzał?

– Nazywa się Gia Guruli – bąknął Gierek. – Skąd miałem wiedzieć, kolego?

Ksiądz zmaśniał modlitwę, prawdopodobnie bezwiednie trzymając rękę na masywnym udzie bezwładnie leżącego ciała.

Zrobiło mi się szkoda tego młodego, silnego mężczyzny, ale jego to już nawet Dr Queen nie postawiłaby na nogi.

Na szczęście nie musieliśmy długo czekać, aż ciało rozświetliło się, wystrzeliło jasnymi, kolorowymi promieniami rozchodzącymi się po całej sali, która w wyraźnie wyczuwalny sposób wypełniła się atmosferą takiej doniosłości, że przyćmiła ona nawet odpychający szpitalny fetor oraz zapach taniego odświeżacza do toalety. Z pokracznego truchła powoli zaczął się wyłaniać piękny młodzieniec o orientalnej urodzie.

– O ja piernicę – westchnęłam tylko. – No wychodź, wychodź, ruszaj się, chłopie...

Nigdy, rzecz jasna, nie byłam świadkiem tak olśniewającego i poruszającego przedstawienia. Była to cudownie doniosła zapowiedź, preludium czegoś wielkiego i pięknego niczym czołówka *Mody na sukces*. Podekscytowani, przejęci i poruszeni czekaliśmy, co się będzie działo dalej.

Tuż obok tej, która z powodu zaniedbania budynku była na suficie już wcześniej, pojawiła się szczelina, przez którą do środka wdzierały się jeszcze jaśniejsze promienie światła niż te wydobywające się z młodej, pięknej i nieśmiertelnej duszy gruzińskiego zapaśnika. Piętro wyżej była gastrologia i przez chwilę baliśmy się, żeby nikt stamtąd nie spadł.

Tak się jednak nie stało. W rozwierającej się, wypełnionej bezwarunkową miłością i ukojeniem świetlistej otchłani pojawiły się zarysy postaci. Nie ujrzeliśmy jednak Świętego Piotra. Pewnie odbierał nadgodziny, bo w jego zastępstwie ukazał się sam Jan Paweł II w towarzystwie kilku innych osób, których twarzy nie można było jeszcze dostrzec. Wyciągnęli ręce w kierunku duszy gruzińskiego zapaśnika niczym pracownicy urzędu skarbowego. Ale on się nie przestraszył. Ucieszył się na ich widok, co mogło oznaczać, że albo papiery miał w porządku, albo po prostu była to jego rodzina.

Nagle cudowny seans został bezczelnie przerwany. Drzwi otworzyły się z hukiem i do sali, niczym wygłodniały barbarzyńca, wpadła pielęgniarka.

Przejęci wzruszającą manifestacją światła oraz coraz wyraźniej brzmiącymi chórami anielskimi, nie zwróciliśmy uwagi na sunącą po ekranie kardiomonitora płaską linię oraz wycie aparatury alarmującej o zatrzymaniu akcji serca.

Pielęgniarka była wściekła, jakby przerwano jej rozwiązywanie krzyżówki, bo natarła na biedaka z takim impetem, że ledwo zdążyliśmy odskoczyć.

Zdecydowanym ruchem odkręciła tlen, nałożyła mu maskę na twarz i zaczęła uciskać jego klatkę piersiową z tak ogromną siłą, że gotowa była połamać mu żebra. Jakby jeszcze miał za mało urazów.

Jaśniejąca dusza młodzieńca o orientalnej urodzie przestała wznosić się ku górze, ku światłu i wiecznej, bezwarunkowej miłości, a następnie zaczęła powoli opadać do swego ułomnego, zdeformowanego, okropnie okaleczonego, a aktualnie dodatkowo tłamszonego przez rozsierdzoną pielęgniarkę ciała.

– Nie ma mowy! – krzyknęłam, wdrapując się na łóżko. – Nie na mojej zmianie!

Stałam nad nim okrakiem, zakasałam rękawy, chwyciłam za łeb i ciągnęłam niczym dziecko mające pójść pierwszego dnia do szkoły.

– Może by ksiądz pomógł? – sapnęła spocona pielęgniarka kontynuująca masaż serca.

Ten natychmiast zerwał się z miejsca i ruszył na ratunek potrzebującemu. Oblizał grube wargi, zdjął umierającemu maskę tlenową i tylko chwila dzieliła go od przyłgnięcia do jego ust.

Borewiczowi, Szaflarskiej i nawet Lepperowi zrobiło się niedobrze. Ja natomiast przyglądałam się tej scenie z masochistyczną ciekawością.

– Nie tu! – ryknęła na niego oddziałowa. – Niech ksiądz uciska klatkę piersiową!

Ten wzdrygnął się jednak na samą myśl o wysiłku fizycznym, jaki byłby konieczny do wykonania tak intensywnych ruchów.

– Nie pomoże ksiądz? – Pielęgniarka się zdenerwowała.

– Ależ oczywiście! – odpowiedział.

Odsunął się, ukląkł, przeżegnał i wypowiadając słowa modlitwy, zdelegował podjęcie decyzji o życiu lub śmierci na Stwórcę.

Po jakimś czasie pielęgniarki zaczęły omdlewać ręce. Miałam szansę. Chwyciłam mocniej duszę gruzińskiego zapaśnika, ugięłam nogi w kolanach i pociągnęłam z całych sił, odchylając się maksymalnie do tyłu, jakbym wyciągała pięciokilogramowego bobasa na porodówce.

– Ratusz się, chłopie... – jęknęłam. – Już dawno stwierdzono śmierć mózgową. Nie przeginaj. Nic dobrego cię tu nie czeka. Jesteś w Polsce. Idź do światła...

Pielęgniarka w końcu osłabła. Niemal nieprzytomna opadła na stojące obok krzesło. Gdyby przypadkiem tam się nie znajdowało, z pewnością gruchnęłaby na podłogę.

Ksiądz miał więcej siły i wytrwałości. Nie zaprzestał walki, wspierał duchowo pielęgniarkę, śląc modlitwy do nieba, a w międzyczasie też kilka esemesów do parafii. Z tego, co zdołałam zauważyć, w sprawie zbliżającej się kolacji.

Szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Młoda i piękna nieśmiertelna dusza gruzińskiego zapaśnika wzniosła się do światła, a my oglądaliśmy to wspaniałe zjawisko, czując wszechogarniającą bezwarunkową, błogosławioną i czystą miłość, bliskość i przynależność. Rodzina zmarłego obejmowała go i serdecznie witała. Trochę to było ckliwe, naiwne i bajkowe, ale dla niewymagającego odbiorcy mogło nawet być poruszające. Dlatego Borewicz, Szaflarska, a nawet Lepper obserwowali ten spektakl z rozdziawionymi ustami i szklącymi się oczami. Mało w życiu widzieli telenowel i docusoaupów.

– A co wy tam robicie? – odezwał się z góry, widoczny już teraz wyraźnie, będący na dyżurze Jan Paweł II.

– My? – odpowiedział jak zwykle pytaniem na pytanie Borewicz.

– Proszę odsunąć się od ciała.

– Odprawiamy zmarłego.

– To my. Sekcja Dobrych Uczynków. Mamy pozwolenia na pobyt i pracę.

– A, to wy... – zaśmiał się Jan Paweł II. – Niezdary...

– Niezdary? – oburzyła się Szaflarska. – Co pan sobie myśli?

Jan Paweł II uśmiechnął się, pomachał ręką, po czym zgasił przepelniające bezwarunkową miłością światło i zamknął dziurę w suficie.

– Słyszeliście, jak nas nazwał? – Szaflarska nie mogła się uspokoić. – A co on niby takiego robi? Światło zapala i rękę podaje. Ewentualnie po rodzinę zadzwoni, ale to też rzadko kiedy. Najczęściej to sami muszą iść ku światłu. Bo jemu się wydaje, że jak ktoś się z polskiego szpitala uwolnił, to już będzie ze wszystkiego zadowolony.

– Niech się pani nie przejmuje. Tylko się z panią droczył. Na pewno tak nie myśli. Po prostu żartował.

Korciło mnie oczywiście, żeby wziąć udział także i w tej rokującej wymianie zdań, ale miałam ważniejszy cel, którego starałam się nie tracić z oczu. Kiedy więc pozostali stracili czujność i nadarzyła się doskonała okazja do działania, musiałam działać.

– Co pani robi?! – zawołał Borewicz, ale było już za późno.

Rzuciłam się na ciało! Poczułam zimno, wilgoć, ból, ciężar i smród szpitalnej sali. Obrzydliwe uczucie znalezienia się z powrotem w ciele. Jakbym wpadła do szamba, chociaż oczywiście nie wiedziałam, jak czuje się człowiek, który wpada do szamba, ale w tym momencie tak to sobie wyobrażałam.

Otworzyłam oczy i o mało mi głowa nie pękła od wrzasku oszalałej ze strachu pielęgniarki.

– Otworzył oczy! – krzyczała. – O matko przenajświętsza! Niech ksiądz spojrzy!

Jęknęłam przeraźliwie, próbując wstać. Czułam się, jakbym przyrosła do łóżka, jakby stawy mi zardzewiały, a mięśnie całkowicie zwapniały i zeszywniały. Początkowo z trudem, ale udało mi się usiąść. A jednak dobre ciało. Silny był cholera!

– Miał ksiądz rację – zapiszczała przejęta oddziałowa. – Uratował go ksiądz. To przecież cud.

– W końcu – stwierdził ksiądz. – Pierwsza w życiu wysłuchana modlitwa.

Zruciłam moje nowe nogi z łóżka. Ajajaj... jak one wyglądały! Łydki i stopy owłosione, pazury długie i powrastane, skórki niepowycinane, pięty popękane. Jak można było pozwolić sobie umrzeć w takim stanie?!

No nic, trudno, takie jest życie. Zanim zdezorientowani Borewicz, Szaflarska i nawet Lepper zdołali cokolwiek zrobić, poodpinałam rurki i ruszyłam do drzwi. Pielęgniarka i ksiądz uwiesili się co prawda u moich ramion, chcąc zapewne zatrzymać mnie w szpitalnym łóżku, ale nie sprawiali mi większego problemu w poruszaniu się. Co prawda ból, sztywność kończyn i zawroty głowy nieco mnie spowalniały, ale czułam tę ogromną moc drzemiącą w moim nowym ciele. Bardzo mi się ta moja nowa siła podobała. Ależ ten gruziński zapaśnik miał krzepę!

Wystarczyło, że się obróciłam i tylko nieznacznie machnęłam ręką, a ksiądz pofrunął dobre parę metrów. Miałam nadzieję, że nic mu się nie stało. Mimo że należało mu się choćby za to obmacywanie.

Wobec pielęgniarki byłam znacznie ostrożniejsza. Jednak gdy się posiada tak wiele mięśni i tak wspaniałą masę jak ja teraz, trudno o odpowiednie wyczucie. Klepnęłam ją zatem delikatnie, niemal jak mąż żonę, z miłości. Ona jednak w ogóle tego nie doceniła. Złapała się za twarz i zawyła wniebogłosy, jakby nigdy w życiu nie oberwała. A trudno w to uwierzyć, skoro całe życie mieszkała w Polsce. Przez chwilę czułam się z tym nieswojo, ale przecież to poszło na konto mężczyzn, więc dobrze. Im więcej kobiet jest świadomych problemu przemocy, tym lepiej. Trzymaj się, siostró. Walka trwa.

Zatrzasnęłam ekipę Borewicza w sali i uwolniona od krępującego towarzystwa ruszyłam korytarzem. Następnie zjechałam windą do recepcji. Wzbudzałam co prawda jakieś tam zainteresowanie, ale w szpitalu przeważnie każdy ma swoje problemy i niespecjalnie przejmuje się cudzymi. Dotyczy to także personelu, ale na ten trudniej było trafić, ponieważ w większości przebywał aktualnie na zachodzie Europy.

Izba przyjęć pękała w szwach. To akurat dobrze świadczy o jakości świadczonych usług. Jeżeli jest zainteresowanie, to znaczy, że ludzie są zadowoleni i wracają.

Dziewczynka pracująca w recepcji była miła i kompetentna, zwłaszcza jak na osobę zatrudnioną na umowę śmieciową.

– Proszę mi powiedzieć – przemówiłam zachrypniętym, niewyraźnym głosem, który zaskoczył również i mnie samą – gdzie

leży Henryk Wilkoński?

– A kim pan jest dla niego? – spytała, uśmiechając się.

– Żoną oczywiście – odpowiedziałam, dopiero później dostrzegając w wiszącym niedaleko lustrze swoją zarośniętą gębę. – A kim miałabym być?

Polska służba zdrowia przy swoich wszelkich wadach, a może właśnie dzięki nim, miała też jedną wielką zaletę – tu nic nikogo nie dziwiło.

– Już sprawdzam – oznajmiła, a po chwili miała gotową odpowiedź. – Sala numer dwieście trzydzieści dwa w zachodnim skrzydle.

Odwróciłam się i już miałam ruszyć, ale coś mnie zatrzymało.

Wiele rzeczy mogłam w życiu znieść z większym lub mniejszym żalem czy oburzeniem, ale nie mogłam przejść, nie reagując na widok pobitej kobiety. Siedziała w sportowych butach i dresach. Włosy miała pozaplatane w rozpadające się drobne warkoczyki, ale najbardziej zwracała na siebie uwagę rozległym, fioletowym wylewem oraz niezbyt przyjemnie wyglądającą opuchlizną otaczającą lewe oko. Mimo że z pewnością niewiele widziała, to i tak wpatrywała się w telefon, z którego dochodziły jakieś nieokreślone hałasy i wrzaski.

Może nie powinnam się mieszać w cudze sprawy, ale wyglądała tak nieładnie i tak psuła mi nastrój, że stawało się to także moją sprawą.

– Co ci się stało, dziecko? – spytałam zaciekawiona, bo pomijając oczywistą ludzką empatię, pewnie miała do opowiedzenia interesującą, brutalną historię, a wiadomo, że takie są najlepsze.

– A, to nic. Proszę się nie przejmować – odpowiedziała, uśmiechając się z wyraźnym trudem.

– Musisz mieć odwagę powiedzieć. Nie możesz tego w sobie dusić.

Spojrzała na mnie.

– Nadziałam się na pięść – stwierdziła beznamiętnie.

– O matko jedyna! – Aż mi się gorąco zrobiło. – Chyba nawet kilka razy.

Szczerłość była jednak przereklamowana. Tyle było brutalności i okrucieństwa w tym zdaniu. Żałuję, że spytałam, ale nie na tyle, by

nie kontynuować wciągającej rozmowy.

– Myślałam, że powiesz, że spadłaś ze schodów, a ja będę cię namawiać, żebyś walczyła.

– Właśnie walczyłam. W nocy. Trzy rundy.

– Rundy? – Więc tak to teraz wygląda? Przemoc domowa na zimno, sformalizowana do tego stopnia, że ma swoje nazwy.

– Z przerwami na odpoczynek.

– Oczywiście. Co za wyrachowanie...

– Wszystko okej, chociaż przegrałam.

– To straszne.

– Nie, nie można tak myśleć, bo to niszczy. Trzeba robić swoje. Wstać mocniejszym.

– Słuchaj, muszę już iść – stwierdziłam, przypominając sobie, że tamci przecież w każdej chwili mogą mnie odszukać. – Ale nie bądź głupia. Tak nie może być. Mylisz się, myśląc, że to normalne, że musisz to znosić, że jeżeli on jest twoim mężem i że przysięgałaś mu wierność, to ma do tego prawo. Albo że, co jeszcze głupsze, wręcz idiotyczne, że on bije z miłości, że tak cię kocha i że to dla dobra i trwałości waszego związku.

– Nie, nic pan nie rozumie – zaśmiała się.

– I nie zrozumie, ale mam nadzieję, że ty zrozumiesz, że jeszcze przypomnisz sobie moje słowa. Oby jak najszybciej.

Nie mogąc dłużej tracić czasu, zostawiłam ją i poczłapałam na swoich wielkich, włochatych stopach do windy. Wjechałam na drugie piętro, potem udałam się łącznikiem na OIOM. Zgłodniałam, poczuwszy w zarośniętych nozdrzach zapach posiłku. Dawno tego nie doświadczałam. Zajrzałam do jednej z sal. Osiem łóżek, każde inne. Telewizor ryczał na pełny regulator. Wszyscy oglądali, jak jeden facet bił drugiego. Nic dziwnego, że świat wyglądał tak, jak wyglądał. Obok łóżka starszego pana na dużym, płaskim talerzu leżały cztery niewielkie ułożone w stosik kromki chleba, dwa złożone na pół plastry szynki konserwowej, mały kawałek masła, łyżeczka keczupu oraz okrągły wafel ryżowy. Cóż to za uczta!

Wiedziałam, że jeżeli moje siły okazałyby się niewystarczające do pozbawiania życia Henryka, to w sukurs przyjdzie mi państwo polskie, które jakością służby zdrowia, głodowymi emeryturami i drożyzną było w stanie wykończyć każdego w stosunkowo krótkim

czasie, ale mnie spieszyło się jeszcze bardziej. Nie mogłam czekać, aż umrze w szpitalu na zapalenie płuc, salmonellę czy z powodu zasycia mu w brzuchu chustki do nosa. Ja musiałam mieć wynik teraz. Nie wiedziałam, ile jeszcze czasu mi pozostało, więc musieliśmy być razem natychmiast.

Henryk leżał w wieloosobowej sali. Zagęszczenie większe niż w zakładzie karnym. Na pewno było mu przykro z tego powodu. Gdyby leżał na korytarzu, miałby ciekawszy widok oraz lepszy ogłąd sytuacji. Choć w sali nie było takich przeciągów i powietrze stało, dzięki czemu bardziej przypominało przytulny, domowy zaduch.

Ucieszyłam się, że udało mi się go odnaleźć, ale zmartwił mnie stan jego zdrowia. Spodziewałam się wprawdzie, że może być to dla mnie trudne, ale i tak mnie zaskoczył. Głowę miał całą zabandażowaną, nogę w gipsie, liczne opatrunki na rękach, podpiętą kroplówkę, ale mimo to samodzielnie siedział na łóżku, pił herbatę i grał z sąsiadem w szachy. Nieśmiertelny się znalazł.

Typowo męskie. Gdy tylko się zorientuje, że kobieta chce spędzić z nim dalsze życie, to nagle cudów dokona, żeby tylko jej to uniemożliwić.

– Henryku, wiem, że niełatwo będzie ci to zrozumieć. – Podeszłam do niego i widząc jego zaskoczenie na widok mojej osoby, zaczęłam mu tłumaczyć: – Ale nie mamy czasu, więc musisz mi zaufać.

Podniósł wzrok, ale ja nie miałam czasu na tłumaczenia. Chwyciłam krzesło i wzięłam zamach, żeby jednym potężnym uderzeniem zakończyć jego smutną tułaczkę po tym beznadziejnym ziemskim padole.

Nic dziwnego, że polska służba zdrowia ma tak marne wyniki, skoro tak łatwo umrzeć w szpitalu.

– Chwila! – powiedział dziwnie zmienionym głosem.

– Tak? – spytałam z krzesłem nad głową.

– Ja nie jestem Henryk.

– No wiesz co? Jak możesz, Henryku? Nie wypieraj się siebie! Ty tchórze!

– Naprawdę nie jestem Henrykiem – powiedział załamującym się, histerycznym głosem.

Miał rację. Henryk nigdy nie wystawiłby tak głupio hetmana pod bicie gońcem.

– Gdzie jest Henryk?! – ryknęłam tak, że wszyscy pacjenci w sali drgnęli nerwowo na łóżkach, jakby każdy z nich się obawiał, że mógłby okazać się Henrykiem.

– Poszedł do łazienki.

Spojrzałam na wiszący na ścianie zegar. Pora sikania również się zgadzała.

– A że on zawsze długo siedzi – tłumaczył się dalej – to mi się zrobiło szkoda gorącej herbaty. Przepraszam.

– A kanapka?

– Była już ugryziona. Przysięgam na życie mojej żony.

Kłamał. Dokładnie wiedziałam, jaki wzór zostawia użębienie Henryka na ugryzionej kromce, a facet miał obrączkę na lewej dłoni.

Powinien ponieść karę. Co innego podjadać, a co innego dać się głupio złapać, ale w ostatniej chwili uratował go spocony i zasapany Henryk, który właśnie pojawił się w drzwiach łazienki.

– Dzień dobry – powiedział na mój widok.

Ruszyłam w jego stronę, ale wzdrygnął się zaskoczony. Byłam dla niego obca.

– Henryku, wszystko z tobą dobrze? Źle się czujesz?

– Yyyy... Dobrze się czuję... – odpowiedział zdeorientowany. – Wracam do zdrowia po wypadku...

– Wiem przecież, to dzięki mnie, to znaczy... za wiele by wyjaśniać. Już niedługo będziemy razem. Chcesz tego, prawda?

– Yyyy... a kim pan jest? Jeżeli można wiedzieć. – Rozejrzał się niepewnie, ale chyba nie znalazł zrozumienia u pozostałych pacjentów, którzy patrzyli na niego co najmniej ze zdziwieniem w oczach.

– Henryku, to ja. Nie poznajesz mnie?

– Kuzyn Tadeusz z Kazachstanu?

– Nie, do cholery!

– Właściciel piekarni na rogu Chmielnej i Żelaznej? Ile mam prób?

Podeszłam do niego i chwyciłam swoimi wielkimi, owłosionymi łapami jego chude ramiona.

– Przytul mnie zatem ten ostatni raz – powiedziałam czule.

– Wolałbym nie. Jeżeli można, to uprzejmie odmówię.

– Na pewno? – spytałam.

– Tak, tego jestem wyjątkowo pewien.

Henryk spojrział na pozostałych.

– Tak, Henryk nigdy się nie przytula – potwierdził jeden z jego kolegów.

– Tak, tak Henryk nigdy...

– Tylko te szachy i szachy.

Chwyciłam krzesło i wzniosłam je nad głowę, a wtedy kanapkowy skrytożerca wrzasnął rozpaczliwie i rzucił się na mnie. Ale ja miałam przecież siłę. O matko, jakaż ona była piękna. Pacnęłam otwartą dłonią, gdy jeszcze nadlatywał, i to wystarczyło, żeby odbić go w przeciwnym kierunku. Rozbił się o ścianę, a następnie, całkowicie pozbawiony sprawności bojowej, opadł na łóżko.

Zdaje się, że swoim desperackim atakiem bronił nie tyle przyjaciela, ile raczej cenne źródło dodatkowego prowiantu.

Po tym incydencie rozejrzałam się przezornie, ale nikt z pensjonariuszy nie przejawiał już żadnych skłonności do brawury ani zachowań autodestrukcyjnych.

Schyliłam się zatem, żeby chwycić Henryka za nogę i wyciągnąć go spod łóżka.

– Nie bądź dzieckiem – zwróciłam się do niego z politowaniem.

Spojrział na mnie zaskoczony, bo tylko ja tak się do niego zwracałam, ale nie było czasu na wyjaśnienia. Ponownie chwyciłam krzesło i pomyślałam, że to wreszcie koniec naszej udręki i wkrótce znów będziemy razem. Niestety wtedy właśnie poczułam, jak nagle, bezszelestnie i zwinnie coś wsunęło mi się pod brodę, oplotło szyję i zacisnęło się z niespotykaną siłą. Wąż?! W ułamku sekundy ścisnął mnie w śmiertelnej pułapce?! Nie, gdzie tam. To tylko czyjeś przedramię. Na szczęście moje nowe ciało było niezwykle wytrzymałe, miałam więc sporo czasu, żeby zrzucić z siebie niespodziewanego intruza. Zaplecione wokół mnie nogi uniemożliwiały jednak każdą próbę. Nie mogłam też sięgnąć za siebie silnymi, acz krótkimi rękami. Próbowałam chwycić napastnika za włosy, ale były dziwnie posplatane, nie do uchwycenia. Powoli zaczynałam czuć, jak z każdym uderzeniem serca krew zatrzymuje mi się na szyi, a głowa staje się coraz cięższa.

- Puść! – syknęłam. – Ja muszę to zrobić! Tak musi być!
- Naprawdę? – odpowiedział kobiecym głosem napastnik.
- Nic nie rozumiesz. On jest moim mężem. Przysięgałam mu wierność. Mam do tego prawo. To z miłości! Dla dobra i trwałości naszego związku!
- Faktycznie, przypominam sobie twoje słowa.
- Nic nie rozumiesz.
- I nie chcę rozumieć. Możesz już zacząć liczyć barany.
- Jakie znowu barany?

Dopiero teraz, gdy stawałam się coraz cięższa, a przed oczami widziałam już niemal tylko ciemność, dostrzegłam, że to, co oglądali pacjenci na ekranie telewizora, to powtórki jakiejś bezsensownej walki. No cóż... takie życie...

- Jeden baran przeskakuje przez płot, drugi baran przeskakuje przez płot, trzeci baran przeskakuje przez płot...

Rozdział 11

Ocknęłam się, gdy Borewicz, Szaflarska i Lepper wyciągali mnie z ciała gruzińskiego zapaśnika leżącego z powrotem w sali pooperacyjnej.

– Co się mogło stać? – zastanawiał się na głos zawiedziony ksiądz.
– Co zrobiłem nie tak?

– To tylko jakieś odruchy nerwowe – stwierdziła oddziałowa. – Jak kura biegająca z odrąbaną głową albo karp skaczący po patelni.

Sama się poruszała jak kura albo karp! Pokazałabym jej, co myślę o takich porównaniach, ale było już za późno. Wyciągnęli mnie.

Borewicz, jak na swoje flegmatyczne usposobienie, był nad wyraz ożywiony i ekspresyjny. Wykrzykiwał niepochlebne opinie na temat tego, co robiłam, i to z taką intensywnością, że po pewnym czasie, i to bardzo niedługim, zupełnie przestało robić to na mnie jakiegokolwiek wrażenie. Za dużo wątków. W dodatku jeden zjadał drugi.

Tak czy inaczej, nietrudno było się zorientować, że kara mnie nie ominie, a przyszłość sekcji zawisała na włosku. Zupełnie nie rozumiem, po co tak usilnie próbował jako jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy wskazać właśnie ten mój niefortunny epizod. Wyrzucił oczywiście z siebie znaczne ilości emocjonalnych treści, które jednak nie niosły żadnej wartości merytorycznej, na przykład to o zawiedzionej nadziei czy zdradzonym zaufaniu. Taka sobie była ta reprimenda, ale należało docenić, że próbował.

Byłam natomiast naprawdę załamana z oczywistego powodu – że nie udało mi się zabić Henryka. I nie wiedziałam, co z tym zrobić. Wszelkie siły i nadzieje odbierała mi myśl, że będę musiała na niego czekać nie wiadomo jak długo, bo jak znam życie, to zaraz zacznie żreć jarmuż z nasionami chia i będzie żył ze sto lat!

Wsadzili mnie do pociągu, a potem sami udali się kontynuować projekt. Wracałam w naprawdę podłym nastroju.

Lepsze miejsce straciło sporo ze swojego blasku. Alejki już wcześniej nie były zatłoczone, co dodawało im nieco

melancholijnego nastroju, ale pozwalało też w sposób niezakłócony podziwiać otoczenie. Teraz pustka była przygnębiająca. Udałam się więc do siedziby sekcji, gdzie zawsze było głośno i gwarno. Teraz by mi to aż tak bardzo nie przeszkadzało. Wytrzymałabym jakoś i może nawet nie zwróciłabym nikomu uwagi.

Drzwi otworzyłam z wielkim trudem. Na początku nie wiedziałam, dlaczego nagle miałyby zacząć tak ciężko chodzić. Patrząc na pusty korytarz i salę, przypomniałam sobie. Nigdy wcześniej nie otwierałam ich sama. Panował tu taki ruch, że zawsze ktoś przede mną przechodził.

Tłoczne i hałaśliwe miejsce, jakim był nasz *space*, było całkowicie puste. Migocząca świetlówka, wisząca krzywo roleta i obsypujące się z pierwszego z brzegu biurka karteczki nadawały mu postapokaliptyczny wygląd. Bardzo niefajnie.

Ale czego oni się spodziewali? Praca w niebie? To się musiało źle skończyć.

W niemądrych filmach o końcu cywilizacji był to z pewnością dobry moment na szabrowanie. Weszłam do kuchni, ale tylko z ciekawości. I aż podskoczyłam z przestachu.

– Niestety za późno, droga pani – zwrócił się do mnie przetrząsający szafki mężczyzna, który zaskoczył mnie swoją obecnością. – W całym lepszym miejscu nie ma ani grama cukru.

W takim razie nie było już co ratować.

Lepsze miejsce miało może zalety, ale miało też swoje wady. W trudnej i smutnej chwili nic by mi tak dobrze nie zrobiło jak zagłębienie się w fotelu i włożenie nóg do miski z gorącą wodą. O niczym innym tak nie marzyłam. Ale jaką miałoby mi to dać przyjemność, skoro w ogóle nie czułam zmęczenia i kompletnie nic mnie nie bolało?! Nawet zwykłe narzekanie było tu takie trudne!

Poszłam do siebie, bo dokąd miałabym pójść, jeśli pozostało mi tylko oczekiwanie na to, co Borewicz, Brygadzysta, a może i ktoś wyżej postanowią w mojej sprawie?

Natychmiast po otwarciu drzwi poczułam coś dziwnego. Zapach. Intensywny, dziwny, owocowy. Było w nim coś poruszającego. Nie wiedziałam co. Wiedziałam tylko, choć nie wiem skąd, że był to zapach porzeczek. Nagle przypomniałam sobie niewielki wiejski domek cioci Henryka, u której spędzaliśmy

wakacje zaraz po ślubie. Był tam ganek. Praktycznie nieużywany, zastawiony kwiatami, wujek Henryka czasami wstawiał tam miód, a na parapetach stały ogromne słoje z zasypanymi cukrem fermentującymi owocami. Nigdy o tym nie myślałam. Nie miałam absolutnie żadnych związanych z tym wspomnień, a jednak dzięki temu zapomnianemu zapachowi na chwilę przeniosłam się w czasie do tamtego miejsca. Ludzki umysł kryje wiele tajemnic, ale akurat nie trzeba było noblisty, by wiedzieć, że pamięć o zapachach jest w mózgu przechowywana razem z emocjami. Ot, taki zapachowy wehikuł czasu.

– Uruchomiła pani maszynę do fermentacji?! – zawołałam, przypomniawszy sobie, że przecież od niedawna nie mieszkałam sama.

– O, wróciła pani? – odpowiedziała kobieta z patologii. – W samą porę. Nie ostrzegała pani, że macie tu takie problemy z zaopatrzeniem w używki. Ale jakoś sobie poradziłam. Chce pani spróbować?

– Nie. Przekroczyła pani wszelkie granice.

– Co też pani opowiada? Wszyscy mówią, że takie dobre.

– Jacy wszyscy? – Chwyciłam ją za ramiona. – Rozmawiała pani z kimś? Ktoś tu był?

– A dlaczego konkretnie pani pyta?

– Czy pani postradała rozum? Przecież pani jest tu nielegalnie! Nie wie pani, jakie to może mieć konsekwencje, jeżeli pani nas zdekonspiruje?!

Załamać się można. Doprawdy nie wiem, jak taka osoba miałaby trafić do lepszego miejsca. Jak ona przeszła selekcję i odpowiadała na pytania? Ściągała?

– Czemu się pani tak denerwuje? – broniła się. – Przecież nikt nic nie powie.

– Skąd pani ma tę pewność? Widać już powiedzieli.

– Niemożliwe. Wszyscy jeszcze śpią.

– Jak to śpią? Gdzie?

– Tu. U nas – mówiąc to, obróciła się i wskazała w głąb pomieszczenia, gdzie każdy kawałek przestrzeni, poczynając od fotela, poprzez podłogę, na komodzie kończąc, zajęty był przez zalegającą osobę.

Jak to w życiu: każdy dobry uczynek będzie surowo ukarany. Wiedziałam, że jeżeli pomogę tej dziewczynie, to będę tego żałować. I się nie pomyliłam!

– Matko jedyna, przecież to Brygadzysta! – Spojrzałam przerażona. Już gorzej być nie mogło.

– Nie ma pani pojęcia, jak on się awanturował.

– Naprawdę? Taki zrównoważony i uduchowiony człowiek urządzał burdy po alkoholu?

– Nie, nie po alkoholu. Przyszedł już taki nabuzowany. Miał do pani spore pretensje. Najpierw za jakiś identyfikator, potem za jakieś kolejne hece na ziemi. Twierdził, że wszystkie problemy są przez panią, i powiedział, że poinformuje o tym zarząd. Generalnie był bardzo, ale to bardzo na panią pogniewany. Dużo mówił, szybko, niewyraźnie, wymachując rękami i dopiero po jednej szklaneczce trochę się uspokoił.

– Co za szczęście. – Przetarłam ręką czoło. – Pani mnie chyba wykończy.

– Po drugiej natomiast zaczął tańczyć.

– Matko jedyna...

– Po trzeciej stwierdził, że on sam wyruszy na wojnę ze złem, ale wtedy pojawił się Święty Piotr.

– Powstrzymał go, mam nadzieję.

– Próbował, ale po dwóch szklankach stwierdził, że jedzie z nim. Przed wyprawą, z której mogli przecież nie wrócić, wypili na pożegnanie, odśpiewali kilka patriotycznych pieśni i ruszyli do boju.

Złapałam się za głowę.

– Zaraz potem usłyszałam hałas – kontynuowała – więc wyjrzałam. Jeden leżał na trawniku, drugi przy ścieżce. Niech się pani nie martwi. Nic się im nie stało.

Czego ja się spodziewałam? Całe życie byłam ostrożna. Nikomu nie pomagałam. A tu teraz tak się dać wpuścić!

No nic, stało się, ale nie mogłam tego tak zostawić. Musiałam przeprowadzić z kobietą z patologii poważną rozmowę o zaufaniu,

dyscyplinie, odpowiedzialności, ale też najwyraźniej powinnam jej wyjaśnić, jaką niszczącą rolę odgrywa alkohol, i że to tylko w naszym słowiańskim zaścianku nasi przedstawiciele, których sami wybieramy, bardziej dbają o wpływy z akcyzy oraz dobre i opłacalne stosunki z lobbystami niż o nasze zdrowie.

– Do czego to podobne, proszę pani – zaczęłam – żeby babcia z dziadkiem na plaży opiekowali się wnuczkami, popijając piwko? Tu piwko, tam piwko, do obiadku, do meczyku. W umysłach ludzi kreowany jest świat, w którym wszyscy piją, i że to jest okej. Proszę mi wierzyć, że nie jest. To jest tylko i wyłącznie zmowa i manipulacja producentów alkoholu oraz przyzwalającej na to władzy. Wszyscy za to zapłacimy zdrowiem, a niektórzy życiem.

Popatrzyła na mnie, jakby niczego nie zrozumiała.

– Dlaczego pani tak się na mnie dziwnie patrzy? – spytałam.

– No bo w końcu nie wiem.

– Czego pani znowu nie wie?

– Nie wiem w końcu, czy p olać pani następnego, czy nie.

– P olać. Oczywiście, że p olać – oburzyłam się, podsuwając w jej kierunku swoją szklankę. – Cóż to za pytanie? Jeszcze nie skończyłam z panią rozmowy.

Nalała.

Uśmiechnęłam się.

Wzniosłyśmy szklanki i wypiliśmy po łyku.

Spojrzałam na stojące na półce zdjęcie Borewicza.

– Lubi pani seriale milicyjne? – spytałam.

– Nienawidzę.

Pierwszy ocknął się Brygadzista. Otworzył jedno oko, podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Gdy się zorientował, że nie jest w miejscu, w którym spodziewał się być, chciał szybko wstać, ale tylko złapał się za skronie i przeraźliwie zawył.

– Co się dzieje, u licha? – jęknął. – Co ja tu w ogóle robię?

– A wpadł pan z wizytą – odpowiedziałam.

– No tak. Coś pamiętam.

Usiadł powoli, zastanowił się, po czym spojrzał na mnie.

– A czy może mówiłem coś dziwnego? – spytał. – Jakieś niesamowite, niewiarygodne historie? Czasami po alkoholu opowiadam niestworzone rzeczy. Mam nadzieję, że w to panie nie uwierzyłyście.

– Nie, nic pan takiego nie mówił. Wpadł pan i powiedział, że dobrze nam się współpracuje, że przywraca mnie pan do zespołu projektowego, życzy powodzenia, a jak się spiszę, to złożę pan wniosek o nagrodę dla mnie.

Popatrzył na mnie dłuższą chwilę, mrużąc czerwone i spuchnięte oczy.

– Myślę – zaczął powoli – że przyszedłem raczej poinformować panią o tym, że o ile jeszcze mógłbym zignorować kradzież karty, to pani działania na ziemi nie pozostaną bezkarne. Przekroczyła pani wszelkie granice. Nikt nie dopuścił się tylu aktów złamania prawa od czasu... – Zastanowił się chwilę. – Od czasu poprzedniej imprezy, która była bardzo, bardzo dawno temu! Skończyło się pobłażanie względem pani. O wszystkim niezwłocznie zaraportuję.

Wstał, wspierając się na kimś leżącym obok.

– Ała! – zawył ktoś boleśnie.

– Przepraszam. Niechący.

– Chwileczkę. – Zatrzymałam go przy drzwiach. – Przypomniało mi się, że jednak powiedział pan coś ciekawego.

Spojrzał na mnie nieco przytomniejszym wzrokiem.

– Pan tu nie należy – powiedziałam, patrząc mu w oczy. – Pan uciekł i zaproponował utworzenie sekcji, może i by odkupić to, co pan wykrecił, a to już temat na odrębną rozmowę, ale zrobił pan to, by zalegalizować pobyt. Dlatego pan taki gorliwy, a de facto nie ma pojęcia, co robi.

– Bzdura – zaśmiał się.

Kobieta z patologii dyskretnie nachyliła mi się do ucha.

– Ma rację – szepnęła. – Nic takiego nie mówił.

– Mam świadka – oznajmiłam pewnym tonem.

– Nikt mu nie uwierzy.

– Świętego Piotra.

Spojrzał na mnie, odwrócił się i przez chwilę stał w milczeniu ze spuszczonego wzrokiem.

– Jeżeli faktycznie tak powiedziałem, to cóż... – westchnął ciężko.
– Może faktycznie wpadłem tylko powiedzieć, jak wspaniale nam się współpracuje, że przywracam panią do zespołu projektowego i życzę powodzenia.

– To miło, że pan docenia – stwierdziłam. – Lepiej późno niż wcale.

Pokręcił głową.

– A teraz proszę wybaczyć – rzuciłam na odchodne – ale bardzo mi się śpieszy.

Pobiegłam do Borewicza z nadzieją, że jeszcze nie wylecieli. Tłukłam w drzwi ile sił.

– Wiem, że pan tam jest! – wołałam, choć wcale nie miałam pewności.

– Proszę odejść – odpowiedział po jakimś czasie.

– Wiem już wszystko! – krzyczałam, nie przerywając walenia w drzwi. – Nie ma żadnego sabotażysty.

– Bardzo się cieszę.

– Wszyscy jesteśmy tu nie na miejscu.

– Proszę wybaczyć, ale nie mam dziś dla pani czasu.

– Jesteśmy egoistami i oszustami. Pan także. Chciał pan pojednać się z córką, bo nie było pana w jej życiu. Nawet nie poprowadził pan jej do ślubu. Odwiedzał ją pan. Także przed śmiercią. To jej pan szukał, udając się na ziemię. Po tym, jak załatwił jej pan miejsce w sekcji. Zdziwił się pan, widząc kogoś innego. Też Zofia.

– Bardzo ładna historyjka. Niczego pani nie udowodni. Nikt w to nie uwierzy. W niczym to już pani nie pomoże.

– Wiem, gdzie ona jest.

Zamilkł. Cisza trwała dłuższą chwilę. Potem usłyszałam kroki, szcęk otwieranego zamka i drzwi się uchyliły. Stał w nich, wbijając we mnie wzrok.

– Zawoził ją pan do przedszkola na Żytniej. Trabantom z rozbitym zderzakiem.

– Do rzeczy.

– Spotka się pan z nią, jeżeli zabierzecie mnie ze sobą.
Wyszedł w milczeniu.
Poszłam za nim.
Spotkanie na placu nie było już tak przyjemne jak zazwyczaj.
– Co ona tu robi? – spytała Szaflarska.
– Lecę z wami – odpowiedziałam.
– Po tym wszystkim, co koleżanka zrobiła? – dodał Gierek. –
Miała być internowana.
– Zbierała na nas haki – stwierdził krótko Borewicz.
Szaflarska i Gierek wydawali się zdezorientowani.
– Mamy znowu dać się nabrać?
– Beze mnie projekt raczej się nie uda.
– Z kolei z panią nie uda się na pewno.
Patrzyliśmy na siebie.
– Jestem geniuszem całkowicie pozbawionym kręgosłupa
moralnego! Jestem wam potrzebna!
Nic nie odpowiedzieli.
– Po zakończeniu projektu sama poproszę o przeniesienie.
Ustąpili mi z drogi.

Pociąg na stację Włoszczowa wjechał już spóźniony. Skąd mogło się wziąć opóźnienie? Oburzające.

Tak czy inaczej, nadąsany Borewicz zbriefował mi postępy projektu podczas mojej krótkiej absencji.

Rzecz jasna nikt nigdy nie zatrudniłby Justyny Piotrowicz na żadnym odpowiedzialnym stanowisku, ale dzięki uprzejmości zaprzyjaźnionej sekcji białoruskich hakerów ponownie udało się obsadzić kluczowe stanowisko w państwie kompletnie bezużyteczną osobą.

Na szczęście zdążyłam na kulminacyjny moment, którym miało być zaaranżowane z największą pieczołowitością pierwsze spotkanie przed pałacem prezydenckim. Miałam nadzieję, że będzie co najmniej jak w tureckiej telenoweli.

Szeregowy w otoczeniu policji patrzył pobłażliwie na osoby klęczące na Krakowskim Przedmieściu przed portretem jego brata. Sam nie ukląkł, bo dopiero co, z pominięciem kilkuletniej kolejki, wstawili mu nowe, tytanowe kolana. Nie klękał więc nie z arogancji, tylko z szacunku.

– Co robimy? – spytałam, widząc, jak szczelnym kordonem jest otoczony. – Może ściągnijmy mgłę?

– Chcemy wyeliminować go z życia publicznego, a nie żeby podczas zerowej widoczności rozjechał go autobus.

– Szkoda... to znaczy oczywiście, że nie chcemy!

– Justyna Piotrowicz kończy właśnie zajęcia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego i nie pozostało wiele czasu na przewrócenie Szeregowego po to, żeby na widok niezdarnego starca kołyszącego się na plecach niczym żuk poczuła nieodpartą chęć uratowania go. On zaś, czując jej silne dłonie gruzińskiego zapaśnika, wnet pomyśli, że tylko z nią chce przemierzać wąskie uliczki Starego Żoliborza w poszukiwaniu bezdomnych kotów. Wtedy drugi zespół zagarnia czarne deszczowe chmury, o które modlili się od dwóch miesięcy mieszkańcy czterech dotkniętych katastrofalną suszą powiatów, i zaraz na Krakowskim Przedmieściu mamy ulewę. Szeregowy rozkłada parasol, a Justyna Piotrowicz, pracowicie upinająca co rano włosy w niezbyt okazały kucyk, pożałuje swojej kunsztownej fryzury i schroni się pod nim wraz z Szeregowym. Takiej bliskości żadne z nich nie przeżyło od wczesnej młodości, kiedy to podczas pielgrzymki dobrotliwy duszpasterz ogrzewał zmarzniętą młodzież własnym ciałem.

– Doskonały plan – stwierdziłam z zapałem. – Sama bym tego lepiej nie wymyśliła.

Dmuchałiśmy więc ile sił.

Ale co to?!

Katastrofa!

Już nie takie młode płuca nie były w stanie choćby zachwiać Szeregowym, a co dopiero go przewrócić. Chwiał się za to nasz idealny plan.

Spróbowaliśmy jeszcze raz, tyle że mocniej. Nic to nie dało oprócz tego, że Gierek trochę się opluł.

– Chyba zaczyna mżyć – zauważył Szeregowy.

Podły szyderca. Sam spróbowałby tak dmuchać!

– Ostatni raz, moi drodzy, ale z całej siły! – zawołałam, zauważywszy, że kolebiąc się na rozkraczonych nogach, nadchodzi Piotrowicz. Zatrzymała się tylko na chwilę, żeby poprawić wpijające się w krok rajstopy, i ruszyła dalej.

Wzięliśmy głęboki wdech, dobrze wiedząc, że jeśli musielibyśmy na podobną okazję czekać do następnej miesięcznicy, to do tego czasu w miejscu sekcji postawią żabkę, zakłady bukmacherskie albo paczkomat.

Dmuchaliśmy jak Niemcy w farmy wiatrowe. I co się stało? Nie mogliśmy uwierzyć, widząc, że lekko poruszył się ciemnoszary kaszkiet na głowie Szeregowego.

– Dalej! Jeszcze raz! To się może udać! – zawołałam, a entuzjazm i wiara w powodzenie misji dodały nam sił.

Dmuchnęliśmy i kaszkiet...

Spadł!

Szeregowy zdołał tylko klepnąć się w siwiznę, gdy eleganckie nakrycie głowy leżało już na chodniku. Rozkraczył się, żeby łatwiej mu było się schylić, a my dokończyliśmy dzieła. Półprzytomni z przewentylowania dmuchaliśmy, popychając kaszkiet w kierunku krawężnika. Szeregowy dreptał za nim zgięty wpół, daremnie próbując go pochwycić.

Precyzyjnie niczym kierowca bmw uderzyliśmy nim w wiatę przystankową, a po wycofaniu i korekcie kierunku już wprost w stojącą obok Piotrowicz.

– Spieprzaj, dziadu! – wrzasnęła, gdy ubódł ją w przysadzisty zadek. – Ach, to pan... – poprawiła się, gdy Szeregowy wyprostował się, podnosząc z ziemi kaszkiet.

Spojrzał na nią małymi nienawistnymi oczkami. Miała na sobie sukienkę, w której z powodzeniem mogłaby wygrać każdy konkurs, którego sponsorem byłby producent zasłon lub obić meblowych. Na jej stopach lśniły skórzane pantofle, o które zabijały się kobiety, i to nie od dziś, lecz już od co najmniej półwiecza. Takiej kreacji nie

powstydziliby się amerykański projektant mody z regionalnego oddziału TVP w Białymstoku.

– Co się pani tak wydziera jak zarzynany wieprz?! – spytał oczarowany Szeregowy.

Wtedy na obszar działań wojennych wkroczyła druga samodzielna brygada szturmowo-dyweryyjna pod chwalebnym dowództwem Danuty Szaflarskiej. Okazało się, że chmury pędzone przez ponad dwieście kilometrów ze Świętokrzyskiego do tego stopnia skondensowały niesioną ze sobą masę pary wodnej, że wytworzyły całkiem zacny front atmosferyczny. Gdy dotarł on nad Trakt Królewski, walnęło jak podczas pęknięcia tamy w chińskim Hulun Buir w lipcu dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku.

Ludzie uciekali z krzykiem, chowając się pod wiatami przystanków, zadaszeniami okolicznych sklepików i restauracji, a niektórzy nawet w kościele.

Tylko Szeregowy i Piotrowicz pozostali na ulicy całkowicie przemoczeni. Szeregowy, jak się okazało, nie nosił parasola, bo robili to za niego ochraniający go funkcjonariusze, którzy jednak nie zdążyli zabezpieczyć swojego obiektu przed tak niespodziewaną i intensywną nawałnicą.

Dobrze, że rolnicy z czterech dotkniętych katastrofalną suszą powiatów najwyraźniej modlili się w sposób niechlujny i po łebkach. W przeciwnym wypadku mogliby odpowiadać za sprowadzenie zagrożenia katastrofy naturalnej skutkującej zalaniem znaczącej części zabytkowej Warszawy.

– Ślepy pan jesteś?! – wrzasnęła niczym baba z pralni, jak to mówią ministrowie o koleżankach z rządu.

– Ja ślepy? To pani stanęła mi na drodze jak ta krowa!

– Pan jesteś idiota!

Borewicz z Gierkiem złapali się za głowy, widząc, jak plan zaczynał pięknie działać.

– Zająć się nią, szefie? – spytał spóźniony policjant nadbiegający z parasolem.

Pozostali dwaj, nie czekając na rozkaz, pobiegli w stronę Piotrowicz, zachęceni wyborną okazją pryśnięcia bezbronnej kobiecie gazem w oczy. Ta jednak, widząc pędzących

dryblasów, niewiele myśląc, wzięła zamach i trzasnęła pierwszego z nich torebką prosto w łeb.

Policjant padł na ziemię od pierwszego ciosu niczym emerytowany zawodnik, z braku środków do życia biorący udział w walkach na peryferyjnych galach MMA. Chwilę leżał nieruchomo, udając, że nie żyje, a gdy upewnił się, że straciła go z oczu, szybko poczołgał się w stronę kamienicy, gdzie zamierzał bezpiecznie przeczekać do końca jatki.

W tym czasie drugi udał kontuzję: złapał się za kostkę i wyjął okrutnie, przekoziółkował, a następnie potoczył się po ziemi niczym brazylijski napastnik Neymar i zatrzymał się dopiero pod odległym o dobrych dziesięć metrów kioskiem.

Tylko trzeci, zapewne najmniej doświadczony, chwycił Szeregowego od tyłu, być może chcąc w ten sposób osłonić go przed zagrożeniem własnym ciałem. Ten jednak, nie będąc pewny intencji policjanta, wierzgał wściekle, próbując go z siebie zrzucić i uwolnić się z krępującego i wyjątkowo niedostojnego położenia.

– Co wy wyprawiacie, nieudacznicy?! – wrzeszczał. – Przecież to tylko jedna kobieta!

– Niby tak – odpowiedział policjant. – Ale przecież nie wiadomo, któremu przywali.

Szeregowy uwolnił się ze złego uścisku, prychnął kilkakrotnie i poprawił ubranie.

Nam z kolei skończyły się środki, w tym deszcz, i mogliśmy tylko czekać z nadzieją, że zrobiliśmy wystarczająco dużo i że zwierzęce instynkty dokonają dzieła.

– Zobacz pan. – Piotrowicz skinęła na Szeregowego, krzywiąc się. – Jaka jebana tęcza.

Szeregowy uśmiechnął się półgębkiem, a jego małe, rozbiegane oczka rozbłysły przedziwnym blaskiem.

Tak! Popatrzyliśmy po sobie. Coś z pewnością się wydarzyło. Choć było w tym coś obrzydliwego, czekaliśmy z zapartym tchem na ciąg dalszy. Pożałowałam, że na taki seans nie zabezpieczyliśmy jakichś przekąsek, najlepiej paluszków.

– Pani wybaczy tym osłom – powiedział Szeregowy, wskazując na policjantów. – Podobno to najlepsi ludzie. Ze specjalnej jednostki do walk ulicznych z kobietami. Zabraliśmy miliony z onkologii, żeby

ich wyszkolić. Widziała pani, jak ten daleko skoczył za ten przystanek? Jaki wygimnastykowany? Zuch!

Piotrowicz zdawała się niewzruszona, co wydawało się intrygować Szeregowego, który był przyzwyczajony do wywierania na kobietach natychmiastowego wrażenia. Oblizał usta, mlasnął, przestąpił z nóżki na nóżkę, cały czas wbijając swoje małe oczka w potężną postać Piotrowicz.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość – zaczął Szeregowy. – Ale właśnie miałem coś zjeść. Czy zechciałaby pani dołączyć?

– A co pan ma?

– Kanapkę z jajkiem.

– Z majonezem?

– A skąd?! Ze szczypiorem!

– Dobrze, bo jestem na diecie.

– Chodźmy więc.

Szeregowy stanął bokiem, wystawiając w jej kierunku łokieć, na co ona natychmiast wzięła zamach torebką. Na szczęście w ostatniej chwili zorientowała się, że nie był to nieudolny cios, tylko zaproszenie, i zamiast Szeregowego zdzielić, wsunęła dłoń pod jego rękę. Odeszli.

Łzy wzruszenia płynęły po twarzy Borewicza, gdy Szeregowy i Piotrowska kołysali się z wolna jak kaczkę w stronę skweru księdza Jana Twardowskiego. Tam, strudzeni niemal dwuminutową wędrówką, dali odpocząć krótkim, ale silnym nogom, przysiadając na chwilę na ławce.

Wyglądali razem tak pięknie, że kilkoro zagranicznych turystów rzuciło im pod nogi trochę drobnych. Oni jednak nie zwrócili na to uwagi. Szeregowy wyjął z kieszeni płaszczka zawiniętą w papier kanapkę. Rozwinął śniadaniówkę i po ulicy rozszedł się mdły zapach jajka. Podzielił ją silnymi palcami, a potem jedli. Spadające okruchy zwabiły stado walczących o najdrobniejszy kawałek chleba gołębi. Ucieszyło to ich oczy.

– Niech pani zobaczy, jaki szybki – zauważył Szeregowy, wskazując na jednego z nich.

– Faktycznie – potwierdziła z podziwem. – Jebany!

Szeregowy uśmiechnął się zadowolony, że udało mu się ją zainteresować.

– Droga pani – zwrócił się do niej rozmarzony. – Znamy się już tak długo, że chyba mogę pani zaproponować jakieś kluczowe stanowisko w organach państwa.

– To chyba nie wypada – odpowiedziała zaskoczona.

– Oczywiście, że nie wypada, ale musi mnie pani zrozumieć. Nie mam komu zaproponować. Nie mam rodziny.

– Ach, to wszystko wyjaśnia. Kompetencje mam, jeżeli chciałby pan wiedzieć.

– Ależ ja nawet nie śmiałybym podejrzewać, że pani nie ma kompetencji.

Wstał, a ona za nim.

– Chodźmy więc – oznajmił.

– Dokąd?

– Wręcę pani nominację. To ważna uroczystość, musi się więc odbyć w najważniejszym miejscu w państwie.

– W pałacu prezydenckim?

– Nie no, co pani? U mnie!

Zaśmiali się oboje i tak słodko chichocząc, odeszli.

– Nie będzie pani przeszkadzać, jeżeli po drodze kupię deczko salcesonu?

– Oczywiście, że nie.

– Dziś dowożą świeży.

– Jaki pan zaradny.

Spuściliśmy ich z oczu jedynie na krótki czas, bo Gierek chciał zobaczyć Starówkę. Potem od razu udaliśmy się na Żoliborz. Gierek w swojej małości zazdrościł Szeregowemu takiej obstawy. Strzegły go siły większe niż garnizon Westerplatte, ale że wróg, czyli kobiety z transparentami, był do pokonania, należało więc wykorzystać okazję, żeby zapisać w końcu jakieś zwycięstwo na chwalebnej karcie polskiego oręza.

Do willi wślizgnęliśmy się szparą dla kotów.

Mieszkał naprawdę ładnie. Nie było do czego się doczepić. Od razu po wejściu czuć było domową atmosferę, którą wytwarza się przez zamknięcie na długi czas wszystkich okien. Pomocne są także zabytkowe dywany oraz stare meble.

Weszliśmy do kuchni. Tam, na plastikowej wykładzinie obok przykrytego ceratą stolica stali oni. Trzymając w dłoniach

szklanki herbaty w koszyczkach, patrzyli sobie w oczy.

– Czy mi się tylko wydaje – przemówił Szeregowy. – Czy moje marzenia się spełniają i moglibyśmy stworzyć prawdziwą, tradycyjną polską rodzinę?

– Nie, nie wydaje się panu. Ja też to czuję i także tego chcę.

– Więc nie czekajmy...

– Nie czekajmy ani chwili.

Popatrzyliśmy po sobie: ja, Borewicz, Szaflarska i Gierek, i aż łyzy nam się zakręciły w oczach. Tyle pracy, wyrzeczeń, przeszkód i wzajemnych animozji, ale koniec końców się udało. Byliśmy uratowani. Nie dość, że zakochany Szeregowy, zakopany w pieluchach, smoczkach, zupkach, kaszkach, zaprowadzający do żłobka, pilnujący kalendarza szczepień, walczący z rotawirusem, wstający trzy razy w nocy, żeby podgrzać mleko, poprawić kołderkę lub sprawdzić temperaturę, odpierniczy się raz na zawsze od kobiet, to jeszcze ja, uratowawszy Sekcję Dobrych Uczynków, pozostanę w niej, a może nawet mogłam liczyć na awans. To byłoby coś. Może nawet na młodszego brygadzystę? Wtedy przysługiwałyby mi podróże służbowe bez limitu kilometrów. Ukatrupiłabym Henryka, może nawet powołałabym do tego celu projekt i zespół z własnym budżetem.

Mogliśmy już wracać, bo czas naglił, ale chcieliśmy jeszcze przez chwilę ponapawać się zwycięstwem i sadomasochistycznym widokiem mizdrzącej się do siebie pary.

– Bardzo dobrze, no to stwórzmy tę polską rodzinę – zwrócił się Szeregowy do Piotrowicz. – Tu masz szmatki do podłogi, w szafce pod zlewem są detergenty, domestos do sedesu, cif do glazury, kuwety zostaw, mam od tego ludzi, ale najpierw zrób zakupy i coś do jedzenia. Przecież ja, do ciężkiej cholery, właśnie wróciłem z pracy, w domu chlew, a ja jestem głodny! – ryknął, uderzając słoikiem z kiszonymi ogórkami w kuchenny blat.

– No ale chwila, jak to? – spytała, a jej twarz zaczęła się wykrzywiać w grymasie zwiastującym nadejście płaczu. – Już mnie nie kochasz?

Na to już nie odpowiedział.

Chwycił przebiegającego korytarzem wyliniałego kota i poszedł z nim do salonu.

Wszystko szło bardzo dobrze. Szeregowy był zakochany, ale u Piotrowicz zdawały się występować niedobory motywacji. Dlatego objawiliśmy się jej, ale na wszelki wypadek jako Święta Rodzina na wiszącym na ścianie obrazku przedstawiającym betlejemską stajenkę.

– Idzie świetnie – zwróciłam się do Piotrowicz jako Maria.

– Chyba już mnie nie kocha – odpowiedziała.

– Oczywiście, że kocha, kolezanko – potwierdził Gierek jako Józef. – Najbardziej na świecie.

– Może niech pani nie przesadza z tą działalnością polityczną – wtrącił Borewicz jako Dzieciątko. Dzieciątko ze złamanym nosem.

– Musi go pani oczarować – dodała Szaflarska, dla której zabrakło członków Świętej Rodziny, dlatego przemawiała jako osiołek.

– Nie wiem, czy będę potrafiła.

– Jest pani świetna.

– Musi pani dalej być twarda.

– Postawić się.

– Trochę nim pokierować.

– Ale to takie trudne. Nie potrafię. Nie wiem dlaczego. Tak dobrze odnajduję się w tych zajęciach domowych. To moja przestrzeń. Mogę w niej robić, co tylko chcę, czego tylko zapragnę. Mogę pracować, prasować, sprzątać, gotować.

Popatrzyliśmy na nią. Mimo tężyzny fizycznej i, co tu dużo mówić, dosyć ostrych rysów, zdawała się zagubiona i nieporadna jak dziecko.

– Co robimy? – spytał Borewicz.

– Niech pani zajdzie w ciążę – zaproponowałam.

– Co też pani mówi? – zdumiał się Borewicz.

– No, ale w jaki sposób? Przecież ja nie mogę... – odpowiedziała zaskoczona Piotrowicz.

– Nie musi pani zachodzić w ciążę naprawdę. Wystarczy, że pani go o tym poinformuje. Powinno go to odmienić. Zyskamy na czasie.

– No... ale... my... – jąkała się Piotrowicz. – No, ale my, przecież nie współzjemy...

– Nic nie szkodzi – stwierdziłam. – To żaden problem.

– Jak to żaden problem?

– Ludzie, ślepi jesteście? Nie widzicie, jakie oni wprowadzają prawo, na jakim poziomie jest edukacja seksualna? Nic nie rozumiecie? Przecież to jasne, że oni nie wiedzą, skąd się biorą dzieci!

Pokiwali głowami z uznaniem.

Nie zdążyliśmy dopracować planu, gdy wrócił Szeregowy.

– Z kim rozmawiałaś? – spytał, ściągając groźnie brwi. – Chyba nie kłapałaś przez telefon?

– Rozmawiałam ze Świętą Rodziną.

Uśmiechnęliśmy się błogo z obrazka.

– A niby o czym?

– Powinniśmy pomyśleć o dziecku.

Szeregowy szeroko otworzył oczy.

– Chyba mamy na to czas.

– Mniej niż ci się wydaje.

Piotrowicz uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. Szeregowy jednak spojrzał na nią niezwykle przerażony.

– Wiem, co chcesz mi powiedzieć! – oznajmił. – Jesteś śmiertelnie chora!

– Nie, durniu! To znaczy, ależ nie, głuptasie.

Nagle Szeregowy zastygł w bezruchu z rozdziawioną gębą.

– Czyli to... to? – zaczął się jąkać. – My będziemy mieli...

– Tak, kochany.

– No... ale... my... – jąkał się dalej, a Piotrowicz patrzyła na niego ze smętnym uśmiechem, obawiając się zapewne, że za moment odkryje prawdę. – No, ale my przecież uważaliśmy, prawda?

Piotrowicz głośno przełknęła ślinę.

– Prawda, kochanie, uważaliśmy – odpowiedziała. – Nawet bardzo.

– No właśnie. Nie chcę być natarczywy. Zwłaszcza wobec kobiety w błogosławionym stanie, ale w takim razie jak to możliwe?

– No cóż... – westchnęła ciężko i już wiedzieliśmy, że nie będzie miała siły ciągnąć tego dalej. – Nie uwierzysz...

Spojrzała na święty obrazek i już miała nas zadenuncjować, gdy Szeregowy chwycił ją za rękę, a oczy zabłyły mu nieopisanym blaskiem.

– Więc to naprawdę to?! – zawołał podekscytowany.

Piotrowicz spojrzała na niego zaskoczona.

– Niepokalane poczęcie?! – krzyknął, podskakując i klaszcząc w dłonie.

Poważnie? Nawet z ciąży będzie próbował zrobić kapitał polityczny?

Dalej sprawy potoczyły się tak szybko, że o ile wcześniej nie za bardzo panowaliśmy nad przebiegiem zdarzeń, to teraz z wielkim trudem staraliśmy się w ogóle nadażyć za akcją.

Szeregowy zgodnie z oczekiwaniami był w euforii. Ci, którzy znali go lepiej, twierdzili, że nie był w takim stanie od czasu, kiedy jeszcze w harcerstwie dał się namówić starszemu koledze Antoniemu na kąpiel nago w jeziorze.

Chciał jechać do szpitala, ponieważ z ulubionego serialu *Beverly Hills 90210* wiedział, że można zrobić niewyraźne czarno-białe zdjęcie dziecka.

– Po co? – spytała zakłopotana Piotrowicz. – Nie ma co się z tym spieszyć. Przecież to za wcześnie.

On jednak był zdecydowany. Zdjęcie płodu chciał wykorzystać do dowodu osobistego, na podstawie którego zamierzał wciągnąć go w szeregi partii, zaraz potem miał też zostać najmłodszym w historii polskiej praworządności sędzią Trybunału Konstytucyjnego oraz, w miarę rozwijających się stopniowo kluczowych kompetencji, prezesem zarządu największych spółek Skarbu Państwa.

Udaliśmy się zatem do szpitala. Kwiat narodu, dzięki sponsoringowi podatników, rządowymi limuzynami, łamiąc wszystkie przepisy ruchu drogowego, a czasami i życiorysy postronnych osób chcących po prostu skrócić w lewo. My, wieczne dusze z lepszego miejsca – komunikacją miejską, w dodatku na gapę.

– Niestety... – powiedział lekarz, gdy wpadliśmy spóźnieni na ginekologię.

– Nie jest w ciąży? – spytał zaskoczony Szeregowy.

– To tylko wzdęcie.

W żadnym szpitalu nie było natomiast tak dobrego psychologa dziecięcego, który byłby w stanie wyjaśnić Szeregowemu szczegóły. Pozostał więc niewtajemniczony w to, czego jego nieskalany umysł nie byłby w stanie przyjąć. To jednak, czego się dowiedział, wystarczyło, by się załamał. Choć nie miał najmniejszego pojęcia o rodzinie, dzieciach i ich wychowaniu, wiedział, że byłby idealnym ojcem. Już w drodze do szpitala wystarał się dla niego o zagraniczne stypendium Prezesa Rady Ministrów dla zdolnych dzieci z ubogich rodzin oraz doktorat. Tymczasem jakiś konował zniszczył jego marzenia.

To jednak nie był kres nieszczęść. W tym także moich.

Usłyszeliśmy hałas na korytarzu. Wizycie szeregowego posła towarzyszyło nadzwyczajne poruszenie. Na oddziale zebrali się pacjenci. Nie po to jednak, żeby wspierać tego, którego cierpienie, jak wiadomo, jest najważniejsze, ale z prymitywnych i niskich pobudek. Zamiast wesprzeć człowieka, któremu marzyły się kolejne przywileje, a który stracił je w jednej chwili, oni myśleli o jedzeniu. Twierdzili, że zamknięcie całego skrzydła i ściągnięcie personelu w porze obiadowej miało negatywny wpływ na funkcjonowanie placówki.

Jednym z krnąbrnych i niewdzięcznych za opiekę medyczną, którą otrzymał za swoje przez lata opłacane składki był niestety mój Henryk. Nie pamiętam, kiedy musiałam tak się za niego wstydzić. Nie dość, że podszywając się pod zaniechanego i głodnego pacjenta, przedarł się podstępem do zamkniętej strefy dla VIP-ów, to jeszcze śmiał wykraść posiłki z zaangażowaniem przygotowane przez lud stolicy dla swoich przywódców.

Spotkała go jednak za to zasłużona kara. Gdy podstępni skrytożercy umykali ze swoim haniebnym łupem, zostali wykryci przez czujny aparat państwowy i doprowadzeni przed gniewne oblicze wielkiego, a zarazem jakże niewielkiego człowieka, jakim był Szeregowy.

Niestety, wraz z Henrykiem schwytano także bandytę i manipulanta, z którym łatwo popadający w złe towarzystwo Henryk leżał w jednej sali. I to właśnie on doprowadził do tragicznych zdarzeń tego feralnego dnia.

– O, patrz, Heniu, twoja żona – powiedział ów człowiek, wskazując na leżącą na łóżku Piotrowicz. Zbyt dobrze ją zapamiętał z poprzedniego spotkania, żeby jej nie poznać.

– Znacie się? – syknął Szeregowy, którego serce wciąż jeszcze krwawiło po tym, jak jego wymarzony potomek, następca i sukcesor okazał się wzdęciem.

– Prezesie przenajświętszy, Mały Rycerzu najpiękniejszy – zaklinał się na wszystkie świętości bandyta. – Cała urazówka świadkiem...

Więcej nie trzeba było Szeregowemu, żeby poskładać fakty. Odebrano mu także i niepokalane poczęcie. Rzucił się na Henryka z wyciągniętymi przed siebie krótkimi rękami. Henryk czasu miał aż nadto i na ucieczkę, i na przemyślenia. Nikt nigdy się nie dowie, jaka wewnętrzna walka rozegrała się wtedy w jego głowie. Najprawdopodobniej jednak nie chciał puścić siatek z zapakowanym obiadem, a jego wahanie dało czas Szeregowemu na doczłapanie do celu i zaciśnięcie niewielkich dłoni na jego chudej szyi.

Pierwszy spanikował Gierek.

– Plan się sypie, koledzy i koleżanki. Wkraczamy?

Borewicz w wielkim napięciu obserwował coraz bardziej dramatyczną sytuację. A my z Szaflarską patrzyliśmy na gigantyczne krople potu spływające po jego czole. Łączyły się w coraz to większe, zupełnie jak krople deszczu na szybie, i spływały coraz szybciej, aż skapywały z brwi lub z czubka nosa. Chyba że Borewicz zdążył je wcześniej zetrzeć rękawem.

– Zmiana planów – odezwał się w końcu. – Zostawiamy tak, jak jest.

– Co też kolega mówi? – zdziwił się Gierek. – Przecież on go zabije.

– To zło, tak, to zło... – zgodził się Borewicz. – Niegodne, haniebne i nieakceptowalne. Zrobimy to tylko ten jeden raz, ewentualnie dwa, i na tym koniec!

– Mieliśmy go tylko usunąć z życia publicznego!

– Jeszcze lepiej. Pójdzie siedzieć za zabójstwo!

– I będziemy tak na to patrzeć?!

Wszyscy spojrzeli na Borewicza.

– Nie, nie będziemy – stwierdził. – Odwrócimy wzrok.

Ja jednak nie mogłam się na to zgodzić. Nie mogłam patrzeć, jak Henryk się męczy.

– Nie ma mowy – zaprotestowałam.

– O co pani chodzi?

– Nie zgadzam się.

– Przecież sama pani tego chciała...

– Ale już nie chcę.

– Niech się pani dobrze zastanowi – wycedził przez zaciśnięte zęby Borewicz. – My warunkowo zgadzamy się, żeby pani została z nami. Nie ma potrzeby nagłaśniania przykrych incydentów ani drobnych słabości, które każdemu się zdarzają.

– Muszę to przerwać.

– To jest szansa! – zapienił się Borewicz. – Porażka zniszczy sekcję!

– A niech niszczy! – wykrzyczałam mu prosto w twarz.

Pozwoliliśmy, by wezbrały w nas emocje, zapominając o tym, co mogą spowodować. Za oknem zapadły niemal całkowite ciemności przerywane co jakiś czas błyskawicą.

Szeregowy dusił Henryka. Borewicz się pieklił. A ja nie miałam pojęcia, co zrobić.

Nagle z hukiem otworzyło się okno i porywisty wiatr rozwiął nam włosy. Zasłaniając twarz przed zacinającym deszczem i oczy przed coraz częstszymi błyskawicami, stałam na środku sali ze świadomością, że muszę zdecydować o losach świata. Nie pisałam się na to, kiedy zdawałam na polonistykę.

– Ożeż kurwa mać! – wrzasnęłam.

I wtedy nagle spomiędzy ciemnych chmur przebił się mały promień światła.

– Ożeż kurwa mać? – powtórzyłam niepewnie, a jasny promień rozszerzył się, rozpędzając jednocześnie ciemną nawałnicę.

Po chwili huk, wiatr i deszcz ustały, a nad nami rozwarło się sklepienie i zostaliśmy zalani ciepłem i jasnością.

– Ej, a wy co wyprawiacie? – odezwał się z góry znajomy głos. – Takie rzeczy? Znowu mordowanie? Serio? Miały być miłość i zgoda... Dwa tysiące lat i nadal takie gówno? Załamka...

Zaraz potem sprawnym ruchem z góry zeskoczył uroczy wystrzyżony młodzieniec o zadbanym krótkim zaroście. Miał na

sobie luźną koszulkę, obcisłe spodnie i kolorowe sportowe buty.

Szeregowy spojrzał na niego oszołomiony.

– A ty coś za jeden? – spytał drżącym głosem, spoglądając to na niego, to na świetlistą otchłań w miejscu szpitalnego sufitu.

– Daj spokój. To ja.

– To ty, Jezu?

– Tak, to ja – westchnął zniecierpliwiony młodzieniec. – Ale to tutaj to jakaś masakra... Co wy wyprawiacie?

– Mała rodzinna sprzeczka. Nikomu nic do tego – wybełkotał Szeregowy, uwalniając Henryka. – Jak ja się cieszę, że przybyłeś. Jak podróż? Niemęcząca? Gdybyśmy wiedzieli, przysłałibyśmy po ciebie wojskowy samolot albo policyjny helikopter.

– Podróż jak podróż – odpowiedział Jezus, przysiadając na szpitalnej szafce i przyglądając się zgromadzonym. – Nie ma o czym gadać. Wędrowałem. Jak zawsze. Przez świat. Tylko już na samym końcu jakiś burdel się zrobił. Przez granicę nie chcieli mnie przepuścić.

– Naprawdę? Nic nie wiedziałem – zapewniał gorączkowo Szeregowy.

– Serio, serio. No to myślę sobie, trudno, wracam. Ale wrócić też nie mogłem. Stłukli mnie pałami i nawrzeszczeli, że muszę przejść, bo mnie zabiją. Ja na to: „Znowu?!”. No to idę, skoro muszę. Przelazłem przez drut kolczasty. Poharatałem sobie ręce i głowę – mówiąc to, pokazał drobne krwawiące ranki na czole i po jednej większej na wewnętrznej stronie dłoni. – Pomyślałem, nic nowego. Dam radę. Chociaż trochę zimno. Ale tam znowu mnie łapią, w środku nocy pakują do samochodu i z powrotem na mróz, do lasu.

Złapaliśmy się za głowy.

– I tak siedem razy...

– Drobne niedogodności, ale wszystko zgodnie z prawem. Poza tym to nie my, rozumiesz, Jezu, to tamci...

– No dobra, okej, nie ma o czym gadać. Nie to nie. Przyszedłem górą.

Szeregowy uśmiechnął się kwaśno, przewracając małymi oczkami na wszystkie strony. Chwycił Jezusa za ramię.

– No, a jak tam elektrownia? – spytał, uśmiechając się przymilnie.

– Podoba się?

- Oszalałeś, człowiecze? Jaka znowu elektrownia?
- A nic, nic, takie tam... Słuchaj, Jezu...
- Mów mi Synbozy321.
- A dlaczego tak?
- Taki mam nick w Minecrafcie, LOL-u i na Fortnite. Też grasz?
- Nie, nie gram. Ale dlaczego tak? Nie lepiej nazywać się bardziej tradycyjnie?
- Pewnie, że lepiej. Oczywiście chciałem bez cyfr, ale samo „Synbozy” było zajęte.
- Szeregowy uśmiechnął się, chociaż wyglądał, jakby niczego nie rozumiał.
- Świetnie, że jesteś – powiedział. – Muszę cię przedstawić kilku osobom. Wystąpisz w jednym radiu i telewizji.
- Nie, raczej nie... nie sądzę...
- Nie stresuj się. O nic nie musisz się martwić. Zatrudniamy świetnych specjalistów od public relations. Wszystko ci napiszą. Nawet lepiej, żebyś czytał z kartki.
- Chyba postradałeś rozum...
- O nic się nie martw, tylko mam jedną wątpliwość. Twój strój...
- Ty też czepiasz się moich ubrań?
- Nie, no skąd? Ale myślałem, że jeżeli przybędziesz, to w bardziej tradycyjnym stroju.
- To znaczy jakim?
- Może być taki jak poprzednio.
- Przecież to outfit sprzed dwóch tysięcy lat.
- Ale my już zrobiliśmy sporą kampanię wizerunkową. Miliony wizualizacji, obrazki, figurki, gadżety...
- Zatrzymaliście się mentalnie dwa tysiące lat temu?
- No to chociaż te spodnie – zaproponował Szeregowy, patrząc na jego rurki.
- Są spoko, takie lubię. O co ci chodzi?
- Ustaliliśmy z kolegami, że takie są... niemęskie.
- Nie zmienię.
- No trudno. Zadzwoń i się to odwoła. Już wiem. Każemy je nosić księżom. Wszystko będzie dobrze – stwierdził Szeregowy. – Zróbmy tak. Nawet nie wiesz, Jezu, jak się cieszę, że przybyłeś, ale jesteś trochę za wcześnie. Nie możemy cię teraz pokazać, bo do

wyborów jeszcze półtora roku. Cały efekt by się rozmył do tego czasu. Najlepiej, żebyś wyszedł w środku albo nawet pod koniec kampanii. Szczegóły ustalimy. Zrobimy koronację, Maryla Rodowicz zaśpiewa i Zenek też, zobaczysz. Będziemy mieli taką oglądalność, że żadna stacja nas nie przebije. Orlen za wszystko zapłaci.

Jezus zmrużył oczy, pogładził się po brodzie i popatrzył na Szeregowego w skupieniu.

– O nic się nie martw – ciągnął Szeregowy. – Do tego czasu przezimujesz sobie u Jacusia w spółkach Skarbu Państwa, kupisz parę działek, doktorat sobie załatwisz, żeby potem nie było zadymy. Nie masz pojęcia, do czego ludzie potrafią się przyczepić.

– Powiem ci tak – zaczął z namysłem Jezus – to ja już bym chyba wolał ukrzyżowanie.

– No nie wiem, nie wiem. – Szeregowy się skrzywił. – Mogłoby być. Okej. Ale to musiałyby zrobić opozycja. To nawet lepsze! Zatopilibyśmy ich raz na zawsze. Elegancko byśmy to rozegrali. Dobry pomysł!

Uradowany Szeregowy poklepał Jezusa po plecach, na co tamten spojrzał na niego z wielkim spokojem i zrozumieniem.

– Zgadzasz się? – dopytywał rozentuzjasmowany Szeregowy. – Dogadaliśmy się? Powiedz, jakie masz warunki. Wszystko się załatwi. Ulicę twojego imienia, pomnik, co tylko chcesz. Zapomnij o elektrowni, damy ci lotnisko...

– Wszystko rozumiem – powiedział powoli Jezus. – Tak jak mówisz, na razie z niczym nie wyskakujemy. Szykujemy się. Wszystko samo się ułoży.

– Na pewno? Jesteśmy dogadani?

– Tak, oczywiście. Niedługo wszyscy się znowu spotkamy.

– Do zobaczenia zatem. Nie mogę się doczekać.

– Do zobaczenia.

Jezus jeszcze raz spojrzał na szpitalną salę, po czym wzniósł się i zniknął w świetlistej otchłani.

Szeregowy zupełnie zapomniał o Piotrowicz i Henryku. Z obłędem w oczach wybiegł z sali. Zapewne realizować umówione z Jezusem zadania w celu przyspieszenia kolejnego spotkania.

Chwilę potem świetlista otchłań na suficie wciągnęła również nas.

Rozdział 12

Po wylądowaniu Brygadzysta zatrzymał nas na placu przed urzędem. Chodziło o mnie. Zanosiło się na to, że będzie magiel. Publiczna egzekucja przyciągnęła dobrych kilkadziesiąt osób ze wszystkich sekcji. Myślałam, że może liczyli na ukamienowanko, ale poszła plotka, że przybędzie Ona, Bóg, Stwórczyni we własnej osobie. A to jednak spora rzecz, nawet jak na lepsze miejsce, zwłaszcza poza sezonem i w środku tygodnia.

Czekaliśmy zatem.

Ludzie stali wyprostowani, z nadobnymi minami, szeptali, żeby przypadkiem nie zakłócić doniosłości wielkiej wizyty.

Ja miałam nadzieję, że może w jakiś sposób, choć nie wiedziałam w jaki, stanąwszy z nią twarzą w twarz, zdołam jej wyjaśnić, dlaczego musiałam to wszystko zrobić, i ona jako kobieta mnie zrozumie.

W pewnym momencie Brygadzysta poszedł do siebie i po minucie wrócił z laptopem w rękach.

– Słuchajcie! – zawołał, podnosząc dłoń dla lepszego zwrócenia na siebie uwagi. – Bóg poinformowała mnie właśnie, że bardzo chciała przybyć, ale niestety jest niezwykle zajęta bardzo ważnymi i pilnymi sprawami. – Spojrzał na ekran i zdaje się, że coś odczytał. – Bieganiem. Ale połączy się z nami na chwilę i przekaże, co postanowiła.

Podniósł laptop, jak tylko mógł najwyżej, czyli niezbyt wysoko, i obrócił ekran w stronę zgromadzonych. Część ludzi od razu zrezygnowała, machając rękami lub mrucząc coś pod nosem. Inni czekali na transmisję.

Ta wkrótce się rozpoczęła. Widać było jedynie niewyraźną, skaczącą i co chwila znikającą z kadru piękną twarz Stwórczyni. Dźwięk się urywał, przez co z trudem można było cokolwiek zrozumieć.

– Cześć, kochani – powiedziała, sapiąc i podskakując na tle pięknego górzystego pejzażu. – Ależ mamy dziś piękny dzień, i to

powietrze. Czujecie to, moi mili? Aż chce się żyć – zaśmiała się. – Taki żart. Przejdę od razu do rzeczy, bo bardzo mi się spieszy. Chodzi o panią Zofię. Niestety, nie może pani zostać z nami. Nawet jeżeli puścilibyśmy w niepamięć nielegalne wyprawy, ucieczki i wielce podejrzaną serię nieszczęśliwych wypadków, która przydarzyła się pewnemu mieszkańcowi warszawskiej Woli. Jednego dnia doświadczył on niemal tyle, co Anna Dymna przez kilka lat. Zajęcie bez zezwolenia obcego ciała, a to się nie zdarzyło od czasu, kiedy siostra Faustyna przejęła ciało Miśka Koterskiego. Wszystko moglibyśmy wybaczyć, może nawet to, że zamieniła się pani na miejsca z koleżanką, a z kolei taka pomyłka nie miała miejsca od czasu, gdy do nieba trafił ksiądz Jankowski. Ale nie możemy wybaczyć jednego. Zaufaliśmy pani. Wpuściliśmy do domu. Jak pani mogła wyjść całą krakowską podsuszaną i w dodatku nie domknąć lodówki? Wie pani, ile przez nią miałam sprzątanania?

Na te ostatnie słowa wśród zebranych rozległy się pomruki i odgłosy dezaprobaty.

– Za te wszystkie czyny powinniśmy zesać panią na najniższe poziomy piekła. Co prawda specjalnie dla pani musieliby je dodatkowo pogłębić, ale to nie byłby aż taki problem. Problem jest taki, że tam pani nie chcą.

Wzruszyłam tylko ramionami.

– Odmówili, nawet jak chcieliśmy za panią dopłacić. Ale na szczęście jest dla pani inne miejsce, znacznie gorsze, i co za tym idzie bardziej dla pani odpowiednie.

– Co to za miejsce?

– Przepraszam was, kochani, ale muszę kończyć, bo zaczynam podbieg. Pa! Buziaki! Pa!

Pomachała, uśmiechając się serdecznie, i połączenie się zakończyło.

Ludzie, którzy dotrwali na placu do tego momentu, natychmiast stracili zainteresowanie Brygadzystą, jego laptopem i moją sprawą. Nikt nawet na mnie nie spojrział. Wymienili się krótkimi uwagami i rozeszli w różnych kierunkach, pojedynczo lub w niewielkich grupkach.

Brygadzysta podszedł do mnie powoli.

– Chce pani pójść się z kimś pożegnać? – spytał.

– Nie, miejmy to już za sobą.

Ruszyliśmy w stronę budynku.

Przypomniał mi się pierwszy dzień w sekcji. Sala pełna ludzi, harmider, opisywaliśmy karteczki, byliśmy pełni entuzjazmu, mieliśmy nadzieję na lepszą przyszłość. Trudno było uwierzyć, że to już koniec, że dalej wszystko będzie się toczyć beze mnie.

Spojrzałyśmy na siebie z Szaflarską.

– Jesteśmy raczej równego wzrostu – stwierdziła.

– Moim zdaniem jestem wyższa.

– Powodzenia, koleżanko – powiedział Gierek.

– Pańska córka jest u mnie – zwróciłam się do Borewicza. – To znaczy u siebie.

– Do zobaczenia – odpowiedział.

Pomachałam im i odeszłam.

Tym razem podróż nie była przyjemna. Nie czułam narastającej bezwarunkowej miłości i akceptacji, tylko zimno, ból, samotność i strach. Jakbym została oderwana od jakiejś całości i pozostawiona bezbronna, nieporadna i sama.

Ocknęłam się po chwili. Było mi zimno, wszystko mnie bolało, chciałam krzyknąć i płakać. Dotykały mnie czyjeś ręce. Usłyszałam rozmowy. Otworzyłam oczy, ujrzałam białą salę. Poczułam zapach będący mieszanką medykamentów, tanich środków dezynfekujących i starych skarpetek. Wokół mnie było mnóstwo osób. Wszyscy w maseczkach. Kilka nachylało się nade mną. Widziałam czyjeś wielkie, wpatrzone we mnie oczy. Co najmniej jedna osoba miała nieświeży oddech.

– Gdzie ja jestem, do ciężkiej cholery? – spytałam, próbując podnieść głowę i się rozejrzeć.

– Hura! Udało się! – wrzasnął ktoś, niemal podskakując z ekscytacji.

– Brawo! – dodał ktoś inny.

– Niewiarygodne!

– Pani Zofio, czy pani mnie słyszy?! – krzyczał mi prosto do ucha chudy młodzieniec w białym kitlu.

– Niech pan tak nie wrzeszczy – odpowiedziałam. – Słyszę, a dlaczego miałabym nie słyszeć?

Spojrzał na zegarek, po czym odpowiedział:

– Przez dwa dni i sześć godzin była pani w śpiączce. Baliśmy się, że jest już pani... no wie pani, w niebie – zaśmiał się. – I że spodoba się tam pani na tyle, że nie zechce do nas wrócić.

– Bez przesady – stwierdziłam. – Co miałyby mi się tam podobać? Sama śmierć nie była zła. Ale już po tamtej stronie musieliby poprawić warunki.

– Nie do wiary. – Chudy młodzieniec się zaśmiał.

– Prawda? Nie sądziłam, że może być miejsce, zwłaszcza od setek lat tak reklamowane, gdzie karmią gorzej niż w polskim szpitalu.

– Zaraz zawiadomimy pani rodzinę. Bardzo się ucieszą.

– Mam nadzieję.

– Pani syn czuwał przy pani cały czas. Jest teraz z ojcem, który miał wypadek.

– Tak, pamiętam.

– Była pani w śpiączce. Nie może pani tego pamiętać.

– Ma pan rację. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Tak jak szybko wybuchli entuzjazmem, równie szybko ich entuzjazm zgasł.

– Wszystkiego dobrego.

– Jeszcze do pani zajrzemy.

Uśmiechnęli się, niektórzy ukłonili, prawie żaden nie zrobił zdjęcia do internetu.

Wyszli.

Na cały kwadrans, a może nawet jeszcze dłużej zostałam opuszczona, porzucona i zapomniana przez wszystkich z wyjątkiem jednej tylko pielęgniarki, która prawie wcale się nie odzywała, a na zadane pytania odpowiadała równoważnikami zdań. Po co komu takie życie?

Dopiero gdy byłam już u kresu sił, pojawili się dwaj gamonie.

Otworzyli drzwi i nawet się nie przywitali, nie powiedzieli dobrego słowa, nie wspominając już o choćby najskromniejszym poczęstunku, tylko co? Obaj w płacz!

Tak najłatwiej. I najtaniej. Jeszcze chwila, i to ja musiałabym pytać ich, czy się dobrze czują.

Potem nastąpiła dłuższa chwila czułości, którą jednak trzeba było kiedyś przerwać.

– No już, już. Puśćcie mnie w końcu – powiedziałam, próbując uwolnić się z ich objęć. – Co mnie tak ściskacie?!

– Mamo... – westchnął syn.

– Zosiu... – dodał Henryk. – To ty nas tak ściskasz.

– Ach tak, prawda – zauważyłam. – Widocznie tego potrzebowaliście. – Odwróciłam się do Henryka i szepnęłam mu do ucha: – Henryku...

– Tak? – odpowiedział równie konspiracyjnie.

– Puściłeś już totka?

– Nie. Przecież byłem w szpitalu.

– To dobrze. Pójdiesz i zagrasz. Podyktuję ci liczby. Zapamiętasz?

– Oczywiście.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

– Na pewno takie?

– Zrób, o co cię proszę.

KONIEC

Redaktorka inicjująca: Maria Tengowska
Redaktorka prowadząca: Magdalena Mojduszka

Redakcja: Krystian Gaik
Korekta: Marta Stochmiątek, Jolanta Kucharska

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9909-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo